

P · U · W · A · L
KRZYSZTOF PUWALSKI

GROM

SIŁA

•
DETERMINACJA

•
ADRENALINA

OPERATOR
594

BELLONA

P · U · W · A · L
KRZYSZTOF PUWALSKI



OPERATOR

594

BELLONA
WARSZAWA

Spis treści

Rozdział 1

Geneza

Młodość, dyskoteki, bijatyki

Treningi

Rozdział 2

Początek drogi

Pierwsza selekcja

Bordowy beret

Szkolenie komandosa

Taktyczny sprawdzian

Rozdział 3

Pierwsza lekcja

Szkolenie bojowe

Przemiana

Zawodowcy

Piotr i Paweł

Sekcja bojowa

Misja Irak

Pierwsze duże zadanie

Zaufanie

Karbala – niespodziewany atak

Ważna decyzja

Selekcja do GROM-u

Bieszczady

Rozdział 4

Siła i honor

Zacząć od zera

Piekielne sześć tygodni

Z dachu do okna

Survival

Ważny egzamin

Z powietrza

Działania specjalne

36 godzin w niewoli

Królowa taktyk

Egzamin

Królestwo Neptuna
Być jak agent 007
Nie zawsze w ciemnych okularach i garniturze
Spotkanie z legendą
Operator pirotechnik
Za żelaznymi drzwiami
Rozdział 5
Operacja Afgański Grunwald wrzesień 2007
Zasadzka
Pościg
Zakładnicy
Epilog

Projekt okładki i stron tytułowych
Paweł Panczakiewicz

Redaktor prowadzący
Joanna Markiewicz

Redakcja merytoryczna
Joanna Markiewicz

Redaktor techniczny
Marcin Adamczyk

Korekta
Zofia Gawryś
Joanna Kłós

Zdjęcie na okładce
Grzegorz Pędziński

Dziękujemy wójtowi gminy Zbójno za możliwość wykorzystania zdjęcia miejscowości z lotu ptaka.
Pozostałe fotografie wykorzystane w książce pochodzą z archiwum prywatnego autora.

Copyright © by Krzysztof Puwalski, Warszawa 2020
Copyright © for this edition by Dressler Dublin, Ożarów Mazowiecki 2020

Wydawca:
Bellona
ul. Hankiewicza 2
02-103 Warszawa
www.bellona.pl

Dołącz do nas na Facebooku:
www.facebook.com/Wydawnictwo.Bellona

Księgarnia internetowa:
www.swiatksiazki.pl

Dystrybucja:
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
www.dressler.com.pl

ISBN: 978-83-11-16002-6

Wersję cyfrową wykonano w systemie Zecer firmy Elibri.

Książkę dedykuję wszystkim, którzy nie boją się walczyć o swoje marzenia



ROZDZIAŁ 1



Geneza

Jak niesamowite siły drzemią w człowieku, że pchają go naprzód? Jak wiele możesz poświęcić, aby osiągnąć wymarzony cel? Jak ogromną moc masz w sobie, że umożliwia ci ona dokonanie niemożliwego? Kiedy dzisiaj patrzę na świat z perspektywy człowieka, który swojej pasji poświęcił całe życie, widzę, jak bardzo jestem szczęśliwy, że dokonałem takiego właśnie wyboru. Pasja to potężna moc, która pozwoli przezwyciężyć wszystkie trudności. Jeśli kochasz to, co robisz, znajdziesz sens swojego życia – i nieważne, co nim będzie, ważne, abyś robił to, co kochasz.

W książce, którą trzymasz właśnie w ręku, przeczytasz o ludzkiej wytrwałości, sile, pasji oraz pragnieniu przeżycia przygody. Poznasz historie, które towarzyszyły mi od wczesnej młodości aż do służby w siłach specjalnych. Będziesz świadkiem wydarzeń, w których uczestniczyłem wraz z kolegami, w tym pełnych adrenaliny akcji bojowych, w których z narażeniem życia ratowaliśmy zakładników i neutralizowaliśmy terrorystów. Dotkniesz realnego świata sił specjalnych, dostępnego tylko dla wybranych. Odkryję przed tobą sekrety wykorzystywanych przez nas technik. Poznasz moje metody radzenia sobie w ekstremalnie trudnych sytuacjach, dzięki którym pokonywałem wszystkie trudności. Pomogę ci odnaleźć w sobie pasję i pokażę, jak można być szczęśliwym i spełnionym człowiekiem.

Pamiętam siebie jako nastolatka dorastającego w niewielkiej malowniczej miejscowości o intrygującej nazwie Zbójno. Schyłek lat osiemdziesiątych i początek dziewięćdziesiątych XX wieku to bardzo ciekawe czasy. Polska przechodziła potężne zmiany ustrojowe, które dla niektórych były bardzo ciężkie i przyniosły ze sobą biedę i ubóstwo, a dla innych okazały się wręcz cudowne: wolny rynek, początki biznesów, kolorowa rzeczywistość amerykańskiego kina akcji. W takim świecie kształtowały się charaktery ludzi, którzy postanowili wykorzystać ten czas i iść przez życie, spełniając swoje marzenia. Jednym z nich byłem właśnie ja.

Jako chłopiec lubiłem czytać. Uciekałem z szarej rzeczywistości lat osiemdziesiątych w świat kolorowych książek i czasopism. Często odwiedzałem

wiejską bibliotekę, gdzie spędzałem wiele godzin. Pani bibliotekarka polubiła mnie i pozwalała mi zabierać do domu więcej książek, niż przewidywał regulamin biblioteki. To właśnie tam wiele lat temu po raz pierwszy zobaczyłem okładkę kolorowej gazety „Żołnierz Polski”. Przeglądając ją, nagle na jednej ze stron spostrzegłem komandosa w bordowym berecie, który biegł po torze przeszkód, a wokół palił się ogień. To było coś niewiarygodnego, nie mogłem oderwać oczu od tego zdjęcia. Z wypiekami na twarzy czekałem na kolejne numery, aby śledzić artykuły z komandosami w roli głównej. To była iskra, która rozpałała płomień w moim sercu. To wtedy w moich marzeniach namalowałem właśnie tego komandosa, którym później się stałem.

Kiedy wracam do wspomnień z tamtych lat, widzę ludzi, którzy mieli na mnie wielki wpływ. Przekazali wartości, które towarzyszą mi przez całe życie. Wierzę, że ideały, jakie wnosi się z rodzinnego domu, są bardzo trwałe i niezwykle ważne. Pamiętam, jak dziadek Adam opowiadał mi o kampanii wrześniowej, kiedy jako młody, osiemnastoletni chłopak po mobilizacji przedzierał się ze swoją kompanią w kierunku Warszawy. Był niewyszkolony i nieuzbrojony. Opisywał, jak niemieckie kule latały wokół, śmiertelnie raniąc jego kompanów. W końcu zapadła decyzja o demobilizacji i chłopaki musiały wracać na własną rękę do rodzinnych miejscowości. Potem przyszły lata okupacji. Babcia Helena straciła pierwszego męża, który został zamordowany i pochowany w zbiorowej mogile w lesie pod Rypinem, gdzie hitlerowcy dokonywali masowych egzekucji. W czasie okupacji sama wychowywała trójkę dzieci, a po wojnie ponownie wyszła za mąż – za wspomnianego wyżej mojego przyszłego dziadka – i wydała na świat kolejną trójkę, w tym mojego ojca.

Drugi dziadek, Janek, był moim idolem: silny, wytrwały, inteligentny, dociekliwy. Pamiętam, jak na wszystkich imprezach rodzinnych siedział z uchem przy odbiorniku i słuchał Radia Wolna Europa, jedyne rzetelne źródło informacji w tamtym czasie. Uwielbiałem jego historie. Wychowywał się we Francji i tam skończył szkołę. Gdy wrócił do kraju, nie potrafił pisać po polsku, nauczył się sam dopiero po wojnie, za to świetnie mówił i pisał po francusku. Często opowiadał, jak pod koniec wojny uciekający z Polski Niemcy przymusowo zabrali go do transportu jako woźnicę. Jako siedemnastoletni chłopak jechał z nimi w potwornych warunkach (była zima) w głąb Niemiec. Jedną z jego historii z tamtego okresu szczególnie utkwiała mi w pamięci: konwój kilkudziesięciu furmanek miał pokonać zamarznąłą Odrę i stanął na brzegu. Zimno, wieje przeszywający wiatr. Trzeba podjąć decyzję, jak pokonać rzekę i kto pierwszy przejedzie przez most. Na początku przeprawiali się pojedynczo, jedna furmanka za drugą. Nagle na niebie pojawiły się samoloty i zaczęło się bombardowanie. Wtedy padła komenda: „Naprzód!”. By jak najszybciej przedostać się na drugi brzeg,

wszystkie wozy wjechały na zamrzniętą rzekę. Niestety pod ciężarem koni oraz przewożonego ładunku lód zaczął pękać. To była gehenna. Ludzie topili się razem ze swoim majątkiem, bombardowani przez sowieckie samoloty. Na szczęście ci, którzy byli w pierwszym rzucie, przejechali bezpiecznie, a razem z nimi mój dziadek.

W każdej polskiej rodzinie na pewno jest wiele takich historii i takich osób jak moi dziadkowie czy babcie, które potrafiły wyczarować cudownie pachnący chleb ze świeżo zmielonego ziarna – jego niepowtarzalny zapach i smak pamiętam do dziś. Mistrzynią sztuki kulinarnej była moja babcia Regina. Wspaniałe drożdżówki jej wypieku były prawdziwym rarytasem. Najlepiej smakowały ze świeżo zrobionym masłem i mlekiem prosto od krowy. Zajadałem się nimi jako dziecko, podkradając kawałki z jak największą ilością słodkiej kruszonki.

Moja młodsza siostra Dorota była śliczną dziewczyną i obiektem westchnień wszystkich moich kolegów. Ja pamiętam ją jednak przede wszystkim jako bardzo pracowitą, mądrą i opiekuńczą młodą osobę. Wiele lat temu budowaliśmy z rodzicami dom. Były to czasy, kiedy murarz w trakcie pracy był podejmowany w domu gospodarza przynajmniej trzema posiłkami dziennie. Wymagało to mnóstwa dodatkowego wysiłku od gospodyni, której przecież nie brakowało codziennych obowiązków. Pewnego dnia nasza mama musiała pilnie pójść do szpitala na poważną operację. Wyobraźcie sobie, że moja dwunastoletnia wtedy siostra zaopiekowała się całym domem i przygotowywała posiłki dla nas wszystkich. To było coś niewiarygodnego. Do dziś jest piękną, silną i opiekuńczą kobietą, która potrafi zadbać o swoją rodzinę. Wreszcie mój ojciec, który jest człowiekiem uczciwym i honorowym. To on jako jeden z niewielu dopingował mnie do zdania egzaminów do szkoły średniej. Ale zdecydowanie największy wpływ na kształtowanie się mojej osobowości miała mama. Ta niezwykle silna i wytrwała kobieta zawsze stawiała na pierwszym miejscu dobro innych. To właśnie ona nauczyła mnie, jak troszczyć się o rodzinę i przyjaciół. Te wszystkie bardzo ważne dla mnie osoby swoim osobistym przykładem pokazały mi, jakimi zasadami należy kierować się w życiu.



Młodość, dyskoteki, bijatyki

Soboty były dla mnie niezwykle. Cały tydzień czekałem, aż przyjdzie ta upragniona i pełna nieprzewidywalnych zdarzeń noc. Ponieważ ojciec najczęściej pracował poza domem, ja, mama i siostra musieliśmy zadbać o całe gospodarstwo. Musiałem szybko dorosnąć i już jako nastoletni chłopak przejąłem opiekę nad rodziną. Wychowywałem się na wsi, mieliśmy niewielkie gospodarstwo, w którym było jednak mnóstwo obowiązków. Szczerze nie znosiłem pracy w polu, ale za to kochałem zwierzęta i zajmowałem się nimi najlepiej, jak umiałem. Późnym sobotnim popołudniem, po wykonaniu wszystkich prac domowych, wreszcie mogłem wskoczyć do wanny, potem założyć najlepsze dżinsy, podrabianą koszulkę Lacoste, popsikać się moją ulubioną wówczas wodą toaletową Adidasa i udać się na przystanek autobusowy. A tam czekali już wszyscy moi znajomi. Wieczorny autobus, którym jechaliśmy, pachniał młodością, mieszanką dezodorantów oraz feromonów, które w połączeniu były ekscytującą zapowiedzią nadchodzących wydarzeń.

Miejsca sobotnich spotkań były różne. Wszystko zależało od tego, która dyskoteka była aktualnie najbardziej popularna. Było to również uzależnione od relacji, jakie mieliśmy z chłopakami z okolicznych miejscowości, z tym bywało różnie. Jako nastoletni chłopak byłem na tyle dobrze wyrośnięty, że mogłem dodać sobie dwa, a nawet trzy lata. Dlatego nie miałem problemu z wejściem do dyskoteki już jako czternasto- czy piętnastolatek. Miało to również swoje dobre strony w przypadku dziewczyn, które brały mnie za starszego, niż byłem w rzeczywistości.

Bójki między chłopakami były normą. Zwykle nie wdawałem się w bezsensowne bijatyki, lecz kiedy w grę wchodziła pomoc moim kolegom, bez wahania dołączałem. W tamtym czasie trenowałem wietnamski styl walki vovinam viet vo dao. Dawało mi to pewność siebie i pozwalało na skuteczną obronę w niebezpiecznych sytuacjach. Pewnego razu wyszedłem z dyskoteki z dziewczyną, żeby się przejść. Zatrzymaliśmy się, aby spokojnie porozmawiać i popatrzeć sobie głębiej w oczy. Nagle zbliżyło się do nas pięciu chłopaków. Już

z daleka słychać było ich podekscytowane głosy: „To ten, to ten!”. Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, co się za chwilę wydarzy. Rozmawialiśmy dalej, nie zwracając na nich uwagi. Jednak oni przyspieszyli kroku i podeszli do nas, byli agresywni. Staliśmy w półmroku, nasze twarze były więc nierozpoznawalne. Nagle jeden z nich wyciągnął gaz i zaczął pryskać prosto w moje oczy. Drugi z napastników uderzył moją dziewczynę w twarz. Natychmiast podjąłem walkę, ale po krótkiej chwili przestałem cokolwiek widzieć. Poczułem tylko kilka bardzo silnych uderzeń, po których osunąłem się na ziemię. Zdążyłem jednak zapamiętać twarz jednego z nich. Olbrzymi strzał adrenaliny i chęć odwetu spowodowały, że szybko otrząsnąłem się i wstałem. Na szczęście obok była pompa z wodą, którą obmyłem oczy piekące od gazu. Ruszyłem za nimi.

Nie zdążyli zbyt daleko odejść. Spotkałem ich przy wejściu do dyskoteki. Nie patrząc na jakiegokolwiek konsekwencje, dwoma uderzeniami znokautowałem zapamiętanego napastnika. Wtedy rozpętało się prawdziwe piekło. Stałem sam przeciwko całej grupie miejscowych chłopaków. Bardzo szybko mnie otoczyli i czekali tylko na sygnał swojego lidera. Ja, pełen fantazji, zdjąłem ulubioną flanelową koszulę i czekałem w pozycji do walki. Poruszenie w dyskotece było tak duże, że prawie wszyscy wyszli na zewnątrz. Okazało się, że pewność siebie połączona z odwagą nawet w tak beznadziejnej sytuacji zrobiła olbrzymie wrażenie. Podeszedł do mnie jeden z miejscowych liderów, jak się później okazało, miał na imię Paweł, i spokojnie zapytał, co się stało. Krótco opisałem całe zdarzenie. Grupa była jednak tak bojowo nastawiona, że zaczęła się szarpanina. Wtedy to Paweł oraz Lidka, koleżanka ze Zbójna, stanęli po mojej stronie. Paweł był chłopakiem obdarzonym charyzmą, którego wszyscy w tej miejscowości szanowali, napastnicy odstąpili więc od dalszych ataków.

Dlaczego zostaliśmy zaatakowani? Otóż jednemu z grupy ktoś bardzo podobny do mnie odbił na tej dyskotece dziewczynę. Wściekły porzucony chłopak skrzyknął kolegów, którzy mieli dać nauczkę amatorowi cudzych dziewczyn. Wieczorem, w kiepskim oświetleniu, pomylił mnie z nim i padliśmy ofiarą tych miłosnych rozgrywek. Na szczęście udało się opanować całą sytuację. Znokautowany przeze mnie chłopak wyładował w szpitalu ze wstrząśnieniem mózgu. Kiedy doszedł do siebie i po kilku miesiącach przypadkowo się spotkaliśmy, przeprosił mnie za tę niefortunną sytuację.

Po latach spotkałem także wspomnianego Pawła, który wtedy stanął w mojej obronie. Nie uwierzycie gdzie. Był operatorem w jednostce GROM, gdy dołączyłem do Zespołu Bojowego A zaraz po kursie podstawowym. Jakie było moje zaskoczenie, kiedy się rozpoznaliśmy i przypomniał nam się historię sprzed wielu, wielu lat. Takie właśnie zdarzenia łączą ludzi na długo. Jesteśmy kumplami do dzisiaj.

Przypominam sobie również inne sytuacje, w których musiałem stanąć w obronie moich kolegów. Walki różnie się kończyły. Bywało, że wracałem do domu cały pokrwawiony, w podartym ubraniu, ze złamanym nosem. Pamiętam do dziś, jak leczyłem lima, smarując okolice oczu pastą do zębów. W tamtym czasie zawsze mogłem liczyć na mojego przyjaciela Tomka, który nigdy mnie nie zawiódł. Nierzadko zostawaliśmy sami na „polu bitwy”. Tomek również pochodził ze Zbójna. Kończyliśmy razem szkołę podstawową, później jednak nasze drogi się rozeszły: on poszedł do szkoły budowlanej do Torunia, a ja – do technikum mechanicznego w Lipnie. Świetnie jeździł motocyklem i samochodem, a także doskonale tańczył, co bardzo podobało się dziewczynom. Był chudy i wysoki, jednak w szerokich koszulach i spodniach, tak modnych w latach dziewięćdziesiątych, prezentował się świetnie. Zawsze uśmiechnięty, pełen optymizmu i fantazji. Ta fantazja sprawiała, że ciągnęło go do dobrej zabawy, ale też do ryzykownych decyzji biznesowych. Wiele razem przeszliśmy i jak to w męskiej przyjaźni, przechodziliśmy przez różne etapy. Jednak do dnia dzisiejszego zawsze możemy na siebie liczyć.



Treningi

Jakaś siła zawsze pchała mnie do sportu, a szczególnie upodobałem sobie sztuki walki. Jako nastolatek byłem wysoki, ale chudy i aby zbudować trochę masy mięśniowej, postanowiłem zacząć trenować kulturystykę. W tamtym czasie modne były siłownie w osiedlowych piwnicach i tego typu lokalach. Ja też miałem taką siłownię, którą zorganizowałem w domowym garażu. Miałem szczęście, bo mój ojciec był doskonałym spawaczem i wspólnie zrobiliśmy sprzęt do ćwiczeń. Z kawałków metalowych rur, cegieł, pustaków i betonu skonstruowałem prymitywne hantle, sztangę i ławeczkę. Cały czas je poprawiałem, aż zaczęły przypominać profesjonalne urządzenia. Zapraszałem kumpli na wspólne ćwiczenia i w końcu moje podwórko zamieniło się w salę treningową. Pamiętam, że urządzaliśmy walki w rękawicach bokserskich. Ten zorganizowany przeze mnie „klub sportowy” i treningi w moim domu stały się tak popularne, że nawet jak poszedłem do szkoły wojskowej, chłopaki ciągle przychodziły do mojego domu i trenowały. Niestety w pewnym momencie oprócz aktywności sportowej pojawiły się również elementy rozrywkowe i cała sportowa brać została rozpędzona przez moją kochaną mamę.

A tymczasem ja z pełną świadomością zamknąłem ten etap życia i całkowicie oddałem się mojej prawdziwej pasji, czyli wojskom specjalnym.



ROZDZIAŁ 2



Początek drogi

Wierzę, że jeśli bardzo czegoś pragniesz i stale o tym myślisz, to prędzej czy później to do ciebie przyjdzie i zrealizujesz swoje marzenie. Ważne, abyś miał jasno sprecyzowany cel i myślał o nim jako o czynności dokonanej, cieszył się tym tak, jakby to się już wydarzyło.

Pamiętam, jak po maturze pojechałem do Wojskowej Komisji Uzupełnień we Włocławku i zobaczyłem plakat szkół wojskowych. Był na nim dobrze zbudowany mężczyzna w czerwonym berecie, który trzymał w ręku karabin AKMS. Ze wszystkich szkół wojskowych, które były na liście, wybrałem jedną – poznańską szkołę działań specjalnych. Nie miałem wtedy pojęcia, co mnie czeka i jak potoczą się moje losy, byłem jednak pewien, że dostanie się do tej właśnie szkoły jest pierwszym krokiem mojej życiowej drogi, którą powinienem i chcę podążać.

Egzaminy do szkoły wojskowej odbywały się latem. Pojechałem w mojej ocenie dobrze przygotowany, wysportowany i gotowy stawić czoła wszystkim konkurencjom. Szkoła im. Stefana Czarnieckiego mieściła się w Poznaniu przy ul. Wojska Polskiego, nieopodal urokliwego jeziora Rusałka. Przed wejściem stał duży czołg T-34. Bardzo spodobały mi się klimat i atmosfera miejsca oraz ludzie, których tam spotkałem. Przez kilka dni przechodziliśmy różne testy sprawnościowe oraz egzaminy psychologiczne. W tamtym czasie kandydatów było bardzo wielu i nie było łatwo się dostać, jednak zdałem egzaminy z takimi wynikami, że finalnie znalazłem się w wymarzonej szkole. To był jednak dopiero początek. Nie wiedziałem wtedy, że czeka mnie jeszcze bardzo trudna selekcja do plutonu działań specjalnych.

Niedaleko szkoły mieszkał mój wujek, stary frontowiec. Pamiętał doskonale czasy II wojny światowej, w której brał czynny udział. Jako pancerniak chciał, abym podobnie jak on został czołgistą. Jak wielka była jego radość i satysfakcja, gdy po powrocie z ostatnich „cywilnych” wakacji trafiłem właśnie do plutonu pancernego!

Przez ponad miesiąc przygotowywaliśmy się do przysięgi wojskowej. Setki godzin spędzonych na musztrze wojskowej, nauce regulaminów wojskowych,

grabieniu liści (w nocy śniło mi się, że grabię sterty liści, a one ciągle rosną i rosną) oraz próbach przed przysięgą. To były czasy, kiedy krok defiladowy trenowało się, wykorzystując wojskowy pas, który trzymało się w wyciągniętych rękach – trzeba było w marszu uderzać czubkiem buta o jego brzeg. Tu też poznałem technikę czyszczenia luster w toalecie żyletką do golenia po capstrzyku (sygnał wykonywany na trąbce lub sygnałowce, oznajmujący koniec zajęć dziennych i wzywający do spoczynku i ciszy nocnej). Pobudka o 5.30, zaprawa, czyli poranne bieganie, ekspresowa toaleta i biegiem na śniadanie. Apel przed zajęciami, poddanie się kontroli czystości umundurowania, a w szczególności butów, oraz ogolenia i znowu biegiem na zajęcia. Tak kształtuje się charakter przyszłego żołnierza zawodowego. Ciągłe w pędzie, ciągle szybko. Nie pasowało mi tylko, że byłem w plutonie pancerniaków. Dlatego czekałem z niecierpliwością na egzaminy do plutonu działań specjalnych.

Życie wojskowe pełne było różnych absurdów – należała do nich na przykład cotygodniowa wymiana bielizny. Kadetowi w szkole latem przysługiwała bielizna w postaci dwóch par majtek, tak zwane BGS, oraz dwóch koszulek z krótkim rękawem. Zimą były to z kolei dwie pary kalesonów oraz dwie koszulki z długim rękawem. Mogłoby się wydawać, że nic w tym dziwnego. Tylko, że kąpiel była raz na tydzień, w łaźni, do której cały pluton szedł o określonej godzinie. Był to jedyny moment, kiedy żołnierz mógł umyć się pod prysznicem. Po kąpieli pobierało się z okienka bieliznę, zwykle za małą lub za dużą. Oczywiście nikt z nas nie kąpał się tylko raz w tygodniu. Przy tak intensywnych zajęciach byłoby to niemożliwe. Opracowaliśmy więc nowatorski system kąpieli w naszej kompanijnej umywalni. Polegał on na tym, że odkręcaliśmy krany i łączyliśmy je ze sobą, przez co były dłuższe i sprawdzały się prawie jak prysznice.

Szkolenie unitarne do przysięgi było dla mnie wyzwaniem. Miałem naturę bałaganiarza i nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego mam wszystko układać w kostkę, a łóżko musi być pościelone tak, że rzucona moneta odbija się od koca. Dlatego moje łóżko ciągle służyło za negatywny przykład i kiedy wracałem z zajęć, zawsze było wywrócone do góry nogami. Dużo czasu musiało upłynąć, zanim zebrałem się i zacząłem wszystko wykonywać poprawnie.

Podczas codziennych zajęć z daleka widywałem chłopaków z plutonu działań specjalnych ze starszego rocznika. Bardzo mi imponowali i pragnąłem jak najszybciej do nich dołączyć. W końcu przyszedł wymarzony dzień – selekcja.



Pierwsza selekcja

Kandydatów do plutonu było bardzo dużo, a miejsc niewiele. Wspólnie przygotowaliśmy się do tych egzaminów. Uczyłem się od starszego kolegi, jak poprawnie zwijać koc wojskowy, aby prawidłowo przytroczyć go do plecaka. Nie mieliśmy zbyt wielu wskazówek, a czekał nas pierwszy bardzo istotny i trudny etap, czyli marszobieg w pełnym wojskowym oporządzeniu na dystansie około 60 kilometrów. Była to moja pierwsza ważna selekcja. Nie wiedziałem wtedy, że przede mną jeszcze kilka, w tym ta najważniejsza, do której miałem przystąpić dokładnie dziesięć lat później w Bieszczadach.

W niedzielę o świcie, kiedy cała szkoła jeszcze spała, a reszta kadetów była na przepustkach w swoich rodzinnych domach, ja i inni kandydaci stanęliśmy na zbiórce do pierwszego etapu selekcji.

Po wstępnej weryfikacji zostaliśmy załadowani na wojskowe samochody ciężarowe star i zawiezieni na poligon. Cała grupa – kilkadziesiąt osób – wystartowała biegiem za prowadzącymi komandosami z plutonu działań specjalnych. Nasze wyposażenie i sprzęt przypominały czasy II wojny światowej: metalowy hełm, łopatka saperska, plecak na cienkich szelkach, paso-szelki, koc, maska przeciwgazowa, odzież ochronna OP1, dodatkowo w plecaku bielizna zapasowa, pałatka, onuce, środki czystości, menażka, zapas wody w manierce... Piekielnie niewygodne i uwierające w każdą część ciała elementy wyposażenia dokuczały z każdym krokiem coraz bardziej. I tak kandydaci zaczęli się powoli wykruszać. Pamiętam, jak biegłem w szaleńczym tempie za prowadzącymi, aby utrzymać się w czołówce. Wydawało się, że poligonowe drogi nie mają końca. Nigdy wcześniej nie zrobiłem takiego dystansu z tak niewygodnym i siermiężnym wyposażeniem.

Dzień się kończył, a my ciągle nie wiedzieliśmy, ile jeszcze przed nami. W pewnym momencie dobiegliśmy do poligonowego wzniesienia i prowadzący wydał komendę: „Stop”. Wszyscy ciężko dyszeliliśmy, a teraz mieliśmy szansę na chwilę zatrzymać się, złapać oddech i poprawić niewygodny sprzęt. Ale czekało na nas kolejne zadanie. Musieliśmy odpowiedzieć pisemnie na bardzo trudne

i niekomfortowe pytania. Jedno z nich szczególnie utkwiło mi w pamięci: „Czy poświęciłbyś swoją rodzinę, aby wykonać zadanie?”. Oddaliśmy kartki, po czym jeden z prowadzących zapytał głośno: „Kto idzie dalej? Kto zostaje?”. Okazało się, że na tym etapie następnych kilku kandydatów postanowiło zakończyć selekcję. Pozostali, którzy podjęli wyzwanie, przeszli jeszcze około kilometra, by wsiąść do samochodów i jechać do szkoły. Znowu okazało się, że determinacja w dążeniu do celu to podstawa zwycięstwa. Tego dnia wróciłem kompletnie wykończony, ale niewiarygodnie szczęśliwy. Pokonałem swoje słabości, znalazłem się w niewielkiej grupie osób, które przeszły pozytywnie ten etap i zakwalifikowały się do kolejnego.

Najtrudniej było wstać rano następnego dnia. Potworne zakwasy i pęcherze na stopach praktycznie uniemożliwiały mi poruszanie się. Czułem się, jakby moje ciało było rozrywane na kawałki. Nie mogłem ruszać rękami ani nogami.

Koledzy z sali, którzy nie brali udziału w marszobiegu, pomogli mi postać łóżko. Dowiedziałem się, że po południu mamy egzaminy sprawnościowe, czyli między innymi bieg na 3000 metrów, pływanie 50 metrów, nurkowanie, podciąganie na drążku, skoki na skrzynię. Jak wielka siła drzemie w człowieku, który ma odpowiednią motywację, że potrafi zmobilizować się do kolejnego i kolejnego wysiłku? Nawet w takiej sytuacji, kiedy rano nie możesz podnieść się z łóżka, a już po południu wykorzystujesz tę niesamowitą moc, by biegać, pływać i skakać. Tak dzieje się tylko i wyłącznie wtedy, kiedy jesteś odpowiednio zmotywowany do działania. Gdy stawiasz sobie cele, które prowadzą cię do spełnienia marzeń. Walczyłem o każdą sekundę, każde podciągnięcie, by przejść do kolejnego etapu. Zakwalifikowałem się do następnej tury. Byłem bardzo szczęśliwy, ale wiedziałem, że to ciągle nie koniec walki, że przede mną jest kolejny etap selekcji do elitarnego plutonu działań specjalnych.

Był ciepły październikowy poranek. Niewielka grupa zmotywowanych chłopaków stanęła do przedostatniego etapu selekcji. Tak jak poprzednio zostaliśmy przetransportowani samochodami ciężarowymi star na poligon Biedrusko. Ustawieni na zbiórce czekaliśmy na dalsze rozkazy. Po chwili naszym oczom ukazał się nadjeżdżający wojskowy samochód terenowy UAZ. Zatrzymał się obok nas i wysiadł z niego dobrze zbudowany porucznik Malec w czerwonym berecie. Miał niesamowicie przenikliwe spojrzenie. Przywitał nas bardzo uprzejmie i wyjaśnił zasady. Następnie wręczył nam mapy ze współrzędnymi pierwszego punktu, do którego mieliśmy dotrzeć. To był mój pierwszy kontakt z zupełnie nieznaną wojskową kulturą organizacyjną. Do tej pory wszyscy krzyczeli, kazali biegać bez możliwości jakiegokolwiek racjonalnego wytłumaczenia, aż tu nagle zjawia się zupełnie inny człowiek, który swoją charyzmą zrobił na nas tak potężne wrażenie, że nie potrzebował krzyczeć ani wymuszać czegokolwiek, a my wszyscy

staliśmy i słuchaliśmy go prawie na bezdechu. Tego dnia nie wiedzieliśmy, ile jeszcze niespodzianek nas czeka.

Początkowo marsz wydawał się prosty. Nie musieliśmy biec, wszystko robiliśmy we własnym tempie. Oczywiście zdawaliśmy sobie sprawę, że powinniśmy wykonywać zadania możliwie najszybciej – przecież była to selekcja, a my walczyliśmy o miejsce w wymarzonym plutonie. W małych grupach dotarliśmy do pierwszego punktu kontrolnego i tam dostaliśmy współrzędne kolejnego. Najważniejsze było prawidłowe czytanie mapy, ale niestety nikt z nas nie miał wielkiego doświadczenia w tej ważnej wojskowej dziedzinie. Mapy też nie były najnowsze, chociaż dosyć dobrze odzwierciedlały poligonowe bezdroża.

Mijały kolejne godziny. Zmęczenie oraz ciągła niepewność, czy dobrze idziemy, dawały o sobie znać. Jesień 1994 roku była ciepła i niezwykle kolorowa. Las wyglądał przepięknie, barwne liście opadały z drzew, a wokoło rozbrzmiewał śpiew leśnych ptaków. I w tej przepięknej scenerii my – walczący o swoje marzenia przyszli komandos. Tak upływały kolejne godziny marszu i współpracy między nami. W końcu zostało nas w grupie czterech. Reszta gdzieś zniknęła lub zagubiła się w leśnych bezdrożach. Zrobiło się już bardzo ciemno, a za nami było ponad osiemdziesiąt kilometrów marszu. Właśnie wtedy dostrzegliśmy małe światełko daleko przed nami. Zbliżaliśmy się do niego, wierząc, że oznacza kres tego potwornego wysiłku. Okazało się, że rzeczywiście był to ostatni punkt kontrolny – meta. Tak, byliśmy pierwsi! Zapisaliśmy swoje nazwiska i spokojnie czekaliśmy na dalsze rozkazy. Do dziś pamiętam, jak bardzo byłem szczęśliwy. Dotarłem do mety niesamowicie zmęczony, ale zadowolony ze świetnie wykonanego zadania.

Już wtedy okazało się, że oprócz wytrzymałości psychofizycznej testowi podlegała też umiejętność współpracy w grupie. Przekonali się o tym bardzo dotkliwie ci kandydaci, którzy postanowili działać sami. Większość z nich pomyliła leśne drogi i pogubiła się. Któregoś z tych samodzielnych kandydatów znaleziono późno w nocy w jednym z okolicznych miasteczek, odwodnionego i wyczerpanego. Kolejny raz przekonałem się, że pewność siebie i swoich umiejętności, dobre przygotowanie i współpraca w grupie oraz zdolność radzenia sobie ze stresem przynoszą pożądane efekty. Tym razem znalazłem się w grupie czterech najlepszych kandydatów do plutonu specjalnego.



Bordowy beret



Zostaliśmy przeniesieni do wymarzonej 12. kompanii kadetów. Budynek, w którym mieściła się kompania, ze względu na swoją unikatową architekturę nazywany był pałacykiem. W środku niestety był bardzo zaniedbany. Jednak dla mnie i moich kolegów był wyjątkowy, pamiętam go do dzisiaj.

Szefem kompanii w tamtym czasie był chorąży, który pamiętał doskonale kulturę organizacyjną z czasów Ludowego Wojska Polskiego. Niewysoki, łysiejący mężczyzna koło pięćdziesiątki – wydawał mi się bardzo stary. Z niecierpliwością czekaliśmy na mundury wojsk powietrznodesantowych typu US, bordowy beret i buty desantowe z dzwoneczkami. W tamtym czasie mundury US nie były tak dostępne jak dzisiaj. Chorąży zawołał nas do piwnicy, w której mieścił się jego magazyn. Kiedy zeszliśmy na dół, naszym oczom ukazała się sarta brudnych mundurów pomieszanych z nowymi i używanymi butami. „Wybierajcie sobie” – powiedział chorąży. Rozczarowani spojrzeliśmy po sobie, po czym zaczęliśmy dopasowywać mundury i buty. Jeszcze długo potem wymienialiśmy się między sobą niedopasowanymi elementami umundurowania.

Przyszedł czas na ostatni test, który musieliśmy zdać, aby dostać się do plutonu specjalnego. Ubrani w „nowe” mundury i buty udaliśmy się do sali łączności, gdzie pan chorąży łączności napisał na tablicy dziesięć znaków alfabetem Morse’a. Znałem go jeszcze z czasów harcerskich, jednak nigdy wcześniej nie pracowałem na telegrafie. Na szczęście dla większości z nas test przebiegł pomyślnie – tylko jedna osoba nie zaliczyła. W tamtym czasie łączność specjalna opierała się na kodowaniu cyfrowym właśnie alfabetem Morse’a. Cyfrowy alfabet musieliśmy znać perfekcyjnie. Ciągłe mieliśmy sprawdziany z szybkości nadawania i odbioru grup. Przyznam szczerze, że nigdy nie byłem w tym bardzo dobry, raczej przeciętny – nie stało się to moją pasją.

Szkolenie kandydatów na dowódców grup specjalnych, bo takie funkcje musieliśmy pełnić po ukończeniu szkoły, było niezwykle intensywne i wymagające. Wyselekcjonowani kadeci byli bardzo sprawni fizycznie, nieprzeciętnie inteligentni oraz świetnie prezentowali się w bordowych beretach. Muszę dodać, że w moim roczniku były tylko dwa plutony noszące takie berety: pluton rozpoznawczy, czyli chłopaki, które przeszły razem ze mną pierwszy etap selekcji, i my – niewielka, dwudziestoosobowa grupa plutonu specjalnego. Wszystkie normy sprawnościowe musieliśmy podwyższone tak, aby osiągać jak najlepsze wyniki. Szczególnie zapamiętałem normę nr 13, czyli bieg z zasobnikiem na dystansie dziesięciu kilometrów. Zwykle biegaliśmy wokół naszego stadionu, po asfaltowej drodze, i niby nic w tym dziwnego. Sprawę utrudniało jednak to, że normę trzeba było zaliczyć na początku raz w tygodniu. Zwykle odbywało się to przed wyjazdem na przepustkę, zaraz po obiedzie. Zdarzało się wtedy, że obiad lądował na drodze, ponieważ zbyt mocno obciążał nasze żołądki i stanowił zbędny balast.

Mieszkaliśmy wspólnie z plutonami specjalnymi starszego rocznika. Na początku chcieli zaprowadzić tak zwane falowe porządki: musieliśmy między innymi sprzątać u nich w pokojach, jednak bardzo szybko odpuścili. Pamiętam, że postawiłem się jednemu z nich, kiedy chciał, abym posprzątał jego salę. Dogadaliśmy się i od tej pory wszyscy wiedzieli, że wspólne rejony, czyli korytarze, umywalnie, toalety, sprzątaliśmy z plutonem rozpoznawczym, jednak własne sale każdy musiał sprzątać sam. Nigdy nie byłem zwolennikiem wykorzystywania w ten sposób swojej pozycji i później, na drugim roku, pilnowałem, aby przestrzegać tych zasad w stosunku do młodych kadetów pierwszego rocznika.

Atmosfera w 12. kompanii była bardzo dobra. Nie wchodziliśmy sobie w drogę, a starszy rocznik plutonu specjalnego bronił nas przed innymi plutonami starszych roczników.



Szkolenie komandosa

To tu, na poligonowych strzelnicach, uczyłem się posługiwania bronią, strzelania na krótkim i długim dystansie. Jako pluton specjalny mieliśmy zajęcia z jazdy terenowej wszystkimi dostępnymi w szkole pojazdami. Uczyliśmy się jeździć samochodami terenowymi UAZ, samochodami ciężarowymi marki Star, samochodami bojowymi BRDM-1, bojowymi wozami piechoty BWP 1 oraz moimi ulubionymi czołgami T-55 i T-72. Uwielbiałem jeździć czołgiem poligonowymi drogami. Ten potężny pojazd dosłownie płynął po wzniesieniach, kiedy dodawałem mu mocy. Jednym z testów na zaliczenie było przepłynięcie na drugi brzeg Odry bojowym wozem piechoty BWP 1. Ta ciężka, prawie 13-tonowa maszyna płynęła z prędkością około pięciu kilometrów na godzinę. Widziałem, jak prawie cała się zanurza i powoli płynie do przodu – dawało mi to niezłą frajdę i kopa adrenaliny. Kadeci z plutonu pancernego w tym samym czasie pokonywali rzekę czołgiem, jadąc pod wodą.

Mieliśmy bardzo różnorodne i wszechstronne szkolenie. Wykładowcy traktowali nas z szacunkiem, bo wiedzieli, ile przeszliśmy, aby dostać się do tego plutonu. My odwdzięczaliśmy się ciężką pracą. Darzyliśmy ich sympatią. Szczególnie zapamiętałem majora Morawskiego z Batalionu Szturmowego z jednostki w Dziwnowie. Prowadził wykłady z działań specjalnych. Był bardzo doświadczonym oficerem z mistrzowską klasą spadochronową, która stanowiła dla nas synonim czegoś wyjątkowego. Przekazywał nam nie tylko specjalistyczną wiedzę, lecz także życiowe wartości, które towarzyszą mi do dnia dzisiejszego. Jedną z takich niezapominanych mądrości usłyszeliśmy od niego po uzyskaniu tytułu skoczka wojsk powietrznodesantowych na uroczystym wręczeniu gap spadochronowych. Powiedział wtedy: „Chłopaki, od dzisiaj jesteście innymi, odważniejszymi i umiejącymi podejmować samodzielnie decyzje, odpowiedzialnymi ludźmi. Gratuluję wam i jestem z was dumny!”. Takie słowa pozostają w pamięci na zawsze, dodają siły do dalszego działania. Zawsze warto doceniać swoich podwładnych. Upominaj i karz ich na osobności, ale chwal przy wszystkich konkretnie za to, co zrobili.

Zimą pojechaliśmy na narty do Zieleńca – pierwszy raz w moim życiu. Wcześniej zdarzało mi się zjeżdżać na sankach, na foliowym worku wypchanym słomą, na ortalionowej kurtce, a czasem nawet na własnoręcznie skonstruowanych ze sztachet prowizorycznych nartach. Nieraz wracałem do domu w podartych na tyłku spodniach, przez co miałem sporo kłopotów. Z zimowych przygód pamiętam szczególnie dzień, w którym zostaliśmy całą klasą po lekcjach, żeby porzucać się śnieżkami. Moja podstawówka mieściła się w pięknym, ale bardzo zniszczonym XIX-wiecznym pałacu. Obok był wspaniały park, w którym rosło wiele rzadkich i chronionych gatunków drzew. Na granicy parku znajdował się strumień, którego głębokość zmieniała się w zależności od stanu wód: czasami płynął leniwie, a czasem bardziej przypominał wartką rzeczkę. Przerzucono przez niego drewniany mostek. Tego dnia wymyśliliśmy następującą grę. Podzieliliśmy się na dwie drużyny: jedna miała za zadanie przebiec z jednej strony mostku na drugą, a druga – rzucać w pierwszą śnieżkami i tak na zmianę. W pewnym momencie chłopak z drużyny przebiegających mostek poślizgnął się i wpadł do strumienia, który był wówczas dość głęboki. Zamarliśmy w bezruchu. Na szczęście złapał się wystającej deski i z naszą pomocą wydostał się z wody. Natychmiast zaczął marznąć, więc prawie biegiem odprowadziliśmy go do domu, a on biedny bał się tylko kary, jaką dostanie od ojca, który lubił bić go specjalnie przygotowanym na takie okazje kablem. Nieraz przychodził do szkoły z siniakami na nogach. Tak stało się i tym razem. Dzieci w tamtych latach były wychowywane trochę inaczej niż dzisiaj i takie sytuacje nie wydawały się niczym niezwykłym.



Pierwszy kontakt z samolotem An-2 na skokach

Wróćmy jednak do mojego pierwszego zgrupowania narciarskiego. Pierwsze kroki na nartach stawialiśmy na tak zwanej oślej łączce nieopodal Ośrodka Szkolenia Piechoty Górskiej „Jodła”. To tam po pierwszym dniu zmagania na stoku instruktor zorganizował nam swoistą selekcję: rozstawił bramki od wierzchołka góry i kazał nam przez nie zjeżdżać. Na dole od razu ci słabsi przechodzili na jedną stronę, a ci lepsi – na drugą. W końcu przysłała moja kolej. Tor był już bardzo wyślizgany, narty moich poprzedników wyłobiły głębokie kanały, które skutecznie przeszkadzały w jeździe. Bardzo chciałem dostać się do drużyny lepiej jeżdżących. Instruktor prowadzący tę grupę był niezwykle spokojny, a jednocześnie bardzo wymagający, i to właśnie od niego chciałem się uczyć jazdy na nartach. Stałem na górze i odbiłem się tak, jak umiałem najlepiej. Jechałem bardzo szybko, siłowo pokonywałem wszystkie bramki. Skoncentrowałem się na prędkości, a nie na stylowej jeździe, bo o jakim stylu mogła być mowa po tak krótkim czasie nauki. Podczas zjazdu kilka razy się zachwiałem i o mały włos nie upadłem, prulem jednak dalej. Po dojechaniu do mety zauważyłem uśmiech na twarzy instruktora. Wiedział dobrze, że brakuje mi techniki, ale mam za to serce do walki. Kolejny raz

okazało się, że odwaga połączona z determinacją pozwala osiągnąć zamierzony efekt – znalazłem się w grupie lepiej jeżdżących, ale co ważniejsze, miałem świadomość, że wygrałem ze strachem i osiągnąłem swój cel.

Jako pluton specjalny codziennie po zakończeniu jazdy wracaliśmy biegiem z Zieleńca do ośrodka „Jodła”, około ośmiu kilometrów, na obiad. Później, kiedy już służyłem w 1. Pułku Komandosów w Lublińcu, nie musiałem pokonywać drogi biegiem – normą stało się chodzenie i zawsze wszyscy szliśmy do Zieleńca, po czym również pieszo wracaliśmy po skończonej jeździe na zasłużony posiłek.

Szkolenia w szkole wojskowej były zawsze ciekawe. Oprócz jazdy na nartach mieliśmy zajęcia z bytowania w górach. Pewnego ranka po całej nocy w plenerze przyszedł do nas pan kapitan, wykładowca i szkoleniowiec i powiedział: „Co to, kurwa, za zwiadowcy? Wszędzie pełno żółtych plam na śniegu! Co to ma być?!”. Musieliśmy natychmiast zamaskować śniegiem ślady moczu w naszym obozowisku. W taki właśnie sposób uczyłem się, że bezpieczeństwo i skuteczne maskowanie to priorytet w działaniu grup specjalnych na terenie wroga.

Wreszcie przyszedł czas na pierwsze skoki spadochronowe. Było piękne upalne lato 1995 roku. Dołączyliśmy do zgrupowania spadochronowego 1. Pułku Specjalnego z Lublińca, które odbywało się niedaleko Częstochowy, w miejscowości Rudniki. Lotnisko w Rudnikach w latach dziewięćdziesiątych słynęło z międzynarodowych sukcesów w szybownictwie. Przyjechaliśmy pociągiem z Poznania. Wysiedliśmy na stacji kolejowej i resztę trasy na lotnisko pokonaliśmy pieszo. Jeszcze w nocy zaczęliśmy rozstawiać namioty. Rankiem zobaczyliśmy, jak samoloty transportowe An-26 desantują komandosów z Lublińca. Byłem pod ogromnym wrażeniem ich szybkości i ryku silników. Były również inne samoloty, dużo mniejsze, ale równie ekscytujące – An-2, które z niezwykłą swobodą lądowały na trawiastym lądowisku.



Pierwszy skok

Mój pierwszy w życiu skok oddałem z samolotu An-2. Pamiętam go doskonale, ale nie dlatego, że jakoś szczególnie się bałem, lecz z powodu zabawnych okoliczności. Instruktorem pokładowym był bardzo doświadczony chorąży z 1. Pułku Specjalnego. Kiedy samolot wszedł na wysokość 200 metrów, instruktor, zgodnie z procedurą, przystąpił do podpinania nas do przedłużaczy w samolocie – miały one za zadanie po skoku wyciągnąć stabilizator, a on z kolei, po odliczeniu żądanego czasu i wyciągnięciu uchwytu, uruchamiał spadochron główny. W tamtych latach skakaliśmy na spadochronach typu D5. Były to bezpieczne i proste w konstrukcji spadochrony, które później zostały zastąpione przez typ AD 95. Nabraliśmy już właściwej wysokości do skoku, a było to 700 metrów. Samolot wszedł na tak zwaną bojową i zapaliło się żółte światło sygnalizacyjne. Wtedy instruktor pokładowy wyciągnął z kieszeni przeznaczoną na nóż komandosa grzebień i przeczesał bardzo już przerzedzone włosy. Bezpośrednio po tym otworzył drzwi samolotu. Wszyscy, zamiast się bać, obserwowali, co robi dalej. A on po raz kolejny wyciągnął z kieszeni grzebień i ponownie przeczesał swoje bardzo rzadkie, ale stosunkowo długie włosy. Nie mogliśmy powstrzymać się od śmiechu, kiedy kolejny raz wychylił się na zewnątrz i wiatr rozwiązał jego fryzurę, ukazując sporych rozmiarów łysinę. Wtedy on ze spokojem ponownie wyciągnął grzebień i przeczesał włosy. Właśnie w tym momencie zapaliło się zielone światło, które w połączeniu z bardzo nieprzyjemnym dźwiękiem oznaczało czas na skok. Tak zapamiętałem mój pierwszy skok spadochronowy.

Aby uzyskać tytuł skoczek spadochronowego wojsk powietrznodesantowych, trzeba było oddać siedem skoków, każdy z nich inny, w tym ten najtrudniejszy – w nocy, z pełnym oporządzeniem i bronią. Te właśnie nocne skoki szkolno-bojowe oddaliśmy wszyscy z samolotu An-26. To niezwykle przeżycie, kiedy wyskakujesz z samolotu w czarną dziurę przy prędkości zrzutu 320 kilometrów na godzinę. Takie ćwiczenia i zadania kształtowały nasze charaktery, odwagę, determinację, pewność siebie oraz swoich umiejętności. Tam w powietrzu możesz liczyć tylko na siebie. Nikt nie pomoże ci w sytuacji zagrożenia, kiedy twój spadochron główny nie zapracuje i masz niewiele czasu na podjęcie decyzji o otwarciu spadochronu zapasowego.

Po całym tygodniu mocnych przeżyć związanych ze skokami chcieliśmy odreagować i trochę się zabawić. Był niezwykle ciepły, letni sobotni wieczór. Wokół roznosił się zapach świeżo skoszonej na lotnisku trawy. Niestety dowódca kompanii kategorycznie zabronił jakichkolwiek wyjść na przepustki. Sprawę dodatkowo komplikował fakt, że nie mieliśmy cywilnych ubrań, tylko nasze mundury US-y. Ja oraz kilku moich najlepszych i najbardziej niezdyscyplinowanych kumpli postanowiliśmy złamać zakaz i wymknąć się do pobliskiej miejscowości. Dowiedzieliśmy się, że niedaleko jest bardzo fajna

wiejska dyskoteka. Miejscowość, o której piszę, nazywana była tatarską wioską, ponieważ rzekomo zamieszkiwali ją potomkowie Tatarów. Czy tak było naprawdę, trudno mi powiedzieć, jednak wkrótce mieliśmy przekonać się o waleczności jej mieszkańców. Po kryjomu wymknęliśmy się z obozowiska i na skróty przez lotnisko udaliśmy się prosto do wioski.



Jeden z pokazów walki wręcz

Dyskoteki nie trzeba było długo szukać, ponieważ od głośnej muzyki aż drgały kropelki rosy pokrywające okoliczne pola. Dotarliśmy na miejsce i od progu gorąco przywitali nas mieszkańcy. Byliśmy w mundurach, więc zaciekawieni od razu zaprosili nas do środka i zaczęli częstować miejscowymi trunkami. A my z grzeczności nie protestowaliśmy. Zabawa była przednia. Otoczył nas kordon najładniejszych miejscowych dziewczyn, a chłopaki polewały pyszne wino. Wreszcie jeden z moich kumpli, Tukan, wpadł na pomysł, że zrobi pokaz walki wręcz. Nie było to nic specjalnego, ponieważ wszyscy trenowaliśmy w szkole walkę wręcz. Robiliśmy również pokazy dla różnych przedstawicieli władz

lokalnych czy państwowych. Pokaz w dyskotecie okazał się tak fascynujący, że miejscowi zapragnęli spróbować swoich sił z nami. I tak zabawa trwała w najlepsze, gdy nagle jeden z moich kumpli zauważył dziwne poruszenie na zewnątrz. Okazało się, że pod drzwiami stoi nasz dowódca plutonu, chorąży Rycio, i za wszelką cenę usiłuje dostać się do środka. Sytuacja stała się bardzo poważna, ponieważ razem z nim przyszedł po nas cały nasz pluton w pełnym oporządzeniu. Niezwykle gościnni gospodarze postanowili, że nie oddadzą nas dowódcy bez walki, i niestety wywiązała się bójka. Wszystko wymknęło się spod kontroli. Warto w tym momencie dodać, że miejscowi słynęli z bardzo celnego strzelania z procy. Sam jako młody chłopak uwielbiałem strzelać z własnoręcznie zrobionej procy i byłem w tym naprawdę dobry, dlatego zdawałem sobie sprawę, w jakim niebezpieczeństwie się znaleźliśmy. Nawet nie zauważyłem, kiedy cała dyskoteka z naszych przyjaciół siłą rzeczy stała się naszymi wrogami. Podjęli walkę z naszymi kumplami z plutonu, nie było więc wątpliwości, po której stronie mamy teraz stanąć.

Sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Na początku starałem się uspokajać obie strony konfliktu, a miałem w tym spore doświadczenie. Jednak jeden z miejscowych uznał mnie za wroga i chciał uderzyć pięścią w twarz. Nie zdążył, byłem szybszy i sprawniejszy. Zrobiłem unik i uderzyłem go z główki tak celnie, że padł na ziemię. Wtedy podbiegło do mnie trzech kolejnych i znalazłem się w prawdziwych tarapatach. W takich sytuacjach włącza się tak zwany gadzi mózg, który podpowiada, jak przetrwać. Pamiętam tylko, jak krzyknąłem do mojego kupła: „Rzuć mi hełm”, i zanim dobiegli, miałem w garści potężną broń w postaci metalowego hełmu spadochronowego. Pierwszego uderzyłem bardzo celnie w głowę, tak że od razu padł na ziemię, drugi dostał wysokie kopnięcie w twarz, a trzeci na szczęście oberwał od jednego z moich kumpli. Sytuacja była tak poważna, że spodziewaliśmy się w każdej chwili użycia przez miejscowych wspomnianych już proc, jednak ktoś dał komendę do odwrotu. Sprawdziliśmy, czy wszyscy są, i oddaliliśmy się z pola bitwy.



Ekipa „niepokornych” po wykopaniu dołu

Wracając do obozowiska, obawiałem się najgorszego, nawet tego, że nie ukończę mojej ukochanej szkoły. Na miejscu czekał na nas dowódca kompanii z wyjątkowo srogą miną. Zawołał nas do swojego namiotu i spokojnie, ale zdecydowanie oświadczył, że mamy bardzo poważne kłopoty. Do dziś nie wiem jak, ale udało nam się przekonać go, aby nie wyrzucał nas ze zgrupowania spadochronowego, co oznaczałoby usunięcie ze szkoły. Oczywiście dostaliśmy karę: tuż za naszymi namiotami kopaliśmy doły o głębokości dwóch metrów, po czym zasypywaliśmy je i kopaliśmy ponownie przez cały tydzień, a do tego dochodziła jeszcze służba poza kolejnością do końca zgrupowania. Ta sytuacja pokazała, jak zgraną drużyną był pluton specjalny. Dowiodła też dojrzałości dowódcy kompanii, który potrafił zrozumieć nasz błąd i dać nam kolejną szansę. Dzięki jego decyzji mogłem kontynuować walkę o moje marzenia. Pamiętaj, że nie okazujesz słabości, pozwalając swoim bliskim lub podwładnym na rehabilitację, jeśli zrobią coś głupiego, ale szczerze tego żałują.

Skoki spadochronowe zwieńczyły pierwszy rok mojej nauki w szkole wojskowej. Czekaliśmy z niecierpliwością na przepustki, które pozwoliłyby nam

udać się na pierwsze i w pełni zasłużone wakacje. Jednak nie wszystko miało być takie oczywiste. Większość moich kumpli już zadowolona przekraczała biuro przepustek, gotowa na przeżycie wakacyjnej przygody. Kiedy zbliżała się moja kolej, nagle pojawił się starszy chorąży Świąder. Podszedł do mnie, spojrzał spod krzaczastych brwi i powiedział:

– Słuchaj, Puwalski, jest sprawa do załatwienia.

Intuicja podpowiedziała mi, że będą kłopoty, jednak grzecznie zapytałem, o co chodzi.

– Wybierz sobie jeszcze kogoś do towarzystwa i pojedziecie ze mną w jedno miejsce.

Postanowiłem zabrać ze sobą swojego wiernego kumpla Kajmana, z którym przyjaźniłem się od samego początku szkoły. Pan chorąży zaprowadził nas do Punktu Kontroli Technicznej (PKT) w parku wozów bojowych i kazał nam wsiąść do swojego malucha.

Jechaliśmy długo, przez cały Poznań, gdy nagle zatrzymał się na jakimś osiedlu. „Wysiadajcie” – powiedział. Przed klatką schodową czekał na nas jeden z wykładowców taktyki rozpoznania. Kazał nam iść za sobą. Zaprowadził nas do mieszkania kolegi, także wykładowcy taktyki. Na miejscu okazało się, że panowie zaczęli już świętować wakacje, ale była do zrobienia jedna bardzo ważna rzecz, za którą prawdopodobnie już upłynnili środki. Pan major, który był właścicielem mieszkania, kupił bardzo drogie i eleganckie drzwi wejściowe. Jednak na miejscu okazało się, że są trochę za długie i trzeba je było dociąć na wymiar. W domu nikogo więcej nie było, prawdopodobnie cała rodzina majora wyjechała już na wakacje. Spojrzałem z niedowierzaniem na te piękne drzwi i poprosiłem o narzędzia, abym mógł je przyciąć. Jakież było moje zdziwienie, kiedy dostałem stary brzeszczot i tępą ręczną piłę do drewna. Odmierzaliśmy z Kajmanem właściwą wysokość i przystąpiłem do cięcia. Robiłem, co mogłem, ale widziałem, że piła nie daje rady i zostają bardzo nieestetyczne wyszczerbienia. W końcu jednak przycięliśmy te drzwi, a pan major, na szczęście lekko podpity, wypuścił nas ze swojego domu. Wtedy udałem się biegiem na dworzec, ponieważ miałem już w ręku przepustkę i mogłem rozpocząć wakacje!

Pierwsze wakacje minęły bardzo szybko, bo już w sierpniu musieliśmy stawić się z powrotem w szkole. Pogoda była ciągle wakacyjna, było ciepło i słonecznie. Przyjechaliśmy wszyscy na kompanię i dzieliliśmy się wrażeniami z wakacji. Dostaliśmy informację, że czeka nas dwutygodniowy obóz wodny.

Poznań położony jest na Pojezierzu Wielkopolskim, na którym oprócz gęstej sieci rzek występują również liczne jeziora, zarówno naturalne, jak i sztuczne. Zgrupowanie wodne odbywało się na jeziorze Kierskim, największym zbiorniku wodnym w granicach Poznania. Piękna pogoda sprzyjała kąpielom. Naszym

instruktorem był znany ze swoich niekonwencjonalnych pomysłów szkoleniowych pan major. Każdego dnia wymyślał niezliczone konkurencje i ćwiczenia wodne. Szczególnie utkwiał mi w pamięci egzamin na kartę pływacką. W związku z tym, że wszyscy mieliśmy dużo zajęć na basenie i pływaliśmy dobrze, major postanowił, że egzamin nie będzie standardowy. Zaczęło się od zbiórki i musztry w wodzie. Poprawialiśmy kolejno sekwencje zmiany szyku, a on z pomostu dyrygował całą grupą. Kiedy już zaczęło brakować nam sił, przyniósł dla każdego gumową atrapę karabinu AK i kazał nam z nią pływać dystanse. Okazało się, że jeden z naszych kumpli już ledwo dyszy i za chwilę utonie. Zauważył to nasz instruktor. Zaczepił mu szelki, którymi go asekurował, i kazał pływać dalej. Następnie nurkowaliśmy pod wodę po cegły wrzucane przez majora. Na koniec musieliśmy jeszcze długo skakać do wody, aby w końcu móc stanąć na ostatecznej zbiórce.

Myślę, że tak niestandardowy egzamin utkwiał nam wszystkim w pamięci na lata. Jedno jest pewne – zasłużyliśmy na nasze karty pływackie.

Wkrótce nastąpiła kolejna już jesień w szkole. Był 1995 rok. Nasz pluton szykował się do wyjazdu na wspinaczkę w góry. To kolejny etap naszego wszechstronnego szkolenia – okazja do przełamania następnych barier psychicznych oraz nauka niezwykle ważnych manualnych i sprawnościowych umiejętności. Góry Stołowe przywitały nas trudnymi warunkami. Zebraliśmy się przed wejściem na Szczeliniec. Kiedy weszliśmy na taras widokowy, w dole zobaczyłem tylko spowitą gęstą mgłą przestrzeń. Wiatr przenikał nasze mundury i prawdę mówiąc, nie wyobrażałem sobie, że za chwilę będę wisiał na linie na jakiejś półce skalnej. „Chłopaki, jutro wszyscy będziecie zjeżdżać z tej skały” – powiedział pan kapitan, jeden z instruktorów. Trudno było mi w to uwierzyć, bo nigdy wcześniej nie miałem kontaktu ze wspinaczką skałkową, a wysokość naprawdę robiła na mnie ogromne wrażenie.

Następnego dnia wcześniej rano pobudka. Zjedliśmy wojskowe śniadanie, które zazwyczaj składało się z zupy mlecznej, kilku plasterków wędliny oraz pieczywa. W wojsku w tamtych czasach nie było specjalnych rarytasów, jednak na poligonach i zgrupowaniach zawsze dostawaliśmy dodatkową porcję w postaci kawałka kiełbasy gotowanej lub smażonej z cebulką i tabliczki czekolady. Już na samym początku szkolenia wojskowego musiałem nauczyć się jeść bardzo szybko. Szczególnie w początkowym okresie służby było to nie lada wyzwaniem. W ekspresowym tempie pobieraliśmy posiłki ze szkolnej stołówki i niemal w locie zjadaliśmy zupę z chlebem. Zwykle już nie było czasu na drugie danie, ponieważ zanim wzięliśmy pierwszy kęs, podoficer już wykrzykiwał komendę: „Powstań! Wychodzą!”. Nie było rady, trzeba było szybko włożyć kotlet między dwie kromki chleba i schować go za pazuchę munduru, po czym spokojnie po kryjomu zjeść na

kompanii. Chyba przez ten „trening” do dzisiaj jem bardzo szybko i choć próbowałem, nie mogę się od tego odzwyczaić.

Zapakowaliśmy sprzęt wspinaczkowy i wyjechaliśmy naszymi niezawodnymi starami w kierunku błędnych skał. Tego dnia pogoda była bardzo łaskawa, a instruktorzy niezwykle profesjonalni i wyrozumiali. Podzielili nas na podgrupy szkoleniowe i zaczęliśmy poznawać tajniki wspinaczki skałkowej. Jak wielkie było moje zdziwienie, gdy pod koniec dnia wszyscy rzeczywiście zjeżdżaliśmy ze wspomnianej wcześniej skały! Oczywiście bałem się jak cholera, ale strach mnie nie paraliżował, tylko mobilizował do działania. Kiedy zjechałem i wypiąłem się na dole z liny, nie mogłem uwierzyć, że udało mi się pokonać lęk, a jednocześnie byłem piekielnie dumny z wykonanego zadania. Okazało się, że wspinaczka daje mi niezwykłą adrenalinę i frajdę, dlatego polubiłem ją tak bardzo, że później jako operator GROM-u zostałem instruktorem wspinaczki skałkowej.

W szkole powoli odkrywałem kolejne pasje, między innymi judo, do którego spróbowania namówił mnie mój kolega z plutonu, Adaś zapaśnik. Po południu zwykle musieliśmy sprzątać rejony. Każda kompania miała przydzielone sektory w szkole, o które musiała dbać: zamiatać, grabić liście, zbierać papierki. Ta część wojskowych obowiązków była dla mnie kompletnie niezrozumiała, ponieważ uważałem, że przyszli komandosi mają się szkolić, a nie sprzątać, zmywać naczynia w szkolnej stołówce czy wykonywać inne niezwiązane bezpośrednio ze szkoleniem czynności. Jak tylko dowiedziałem się, że jest możliwość zapisania się na treningi judo, które prowadził w szkole kwatermistrzowskiej bardzo charyzmatyczny instruktor, porucznik Kopeć, od razu to zrobiłem. Popołudniami, zamiast grabić liście, jeździłem z moim kolegą na zajęcia. Trener był niezwykle wymagający, jednak my go uwielbialiśmy.

Czasami na nasz trening byli zapraszani zawodnicy poznańskich klubów judo. Pamiętam, że kiedy walczyłem z jednym z nich, założył mi duszenie nożycowe. Nie mogłem wyrwać się z tego żelaznego uścisku i przegrałem walkę. Niecały rok później, gdy byłem już dowódcą grupy w 1. Pułku Specjalnym, dowódca kompanii, bardzo dobrze zbudowany blondyn, zarządził walki między żołnierzami i nami. Takie wyzwania uwielbiałem, stanąłem więc do pojedynku z moim kolegą Moskwą, który był ode mnie wyższy i lepiej zbudowany. Zanim dostaliśmy sygnał do ataku, dokładnie przeskanowałem przeciwnika i jego wyposażenie. Tak jak ja miał na sobie mundur, pas wojskowy i buty. Co mogę zrobić? Jakie są moje mocne strony, a jakie słabe? Obserwowałem dokładnie jego ruchy. Cała kompania na nas patrzyła i trzeba było zapracować na swoją pozycję u dowódcy i żołnierzy. Wtedy padł sygnał do walki. Nauczony doświadczeniem błyskawicznie złapałem go za poły munduru i wykonałem duszenie nożycowe, jednocześnie podcinając mu obydwie nogi. Nie było to zbyt rozsądne, ale okazało się niezwykle skuteczne.

Kumpel padł na ziemię. Nie miał najmniejszych szans. Walka zakończyła się w kilka sekund. Wiedziałem, że dobrze założone duszenie unieszkodliwi nawet najsilniejszego faceta. Zawsze w takich sytuacjach przydają się niestandardowe umiejętności, jasny umysł, szybkość, pewność siebie i odwaga.



Taktyczny sprawdzian



Powoli zbliżaliśmy się do końca nauki w szkole. Przed nami ostatni sprawdzian umiejętności – ćwiczenie taktyczne. Scenariusz całego ćwiczenia stworzono na podstawie doświadczeń naszych dowódców i przełożonych, którzy uczyli nas przez ostatnie dwa lata. Wszyscy byli weteranami jednostek specjalnych. W tamtym czasie nastąpiło coś, co zmieniło całkowicie oblicze Wojska Polskiego. Po pierwsze, parę lat wcześniej powstała Jednostka Specjalna GROM, stworzona przez płk. Sławomira Petelickiego, po drugie, rozwiązane zostały kompanie specjalne, które odgrywały niezwykle rolę w polskich wojskach specjalnych. Wszystko to spowodowało z jednej strony frustrację i odpływ, niekoniecznie do jednostek specjalnych, dobrze wyszkolonej kadry zawodowej, a z drugiej – powstanie czegoś wyjątkowego, o nieznanym do tej pory kulturze organizacyjnej, czyli właśnie jednostki GROM.

Scenariusz był typowy dla tamtego okresu. Grupa specjalna dostała zadanie: przeniknąć w struktury cywilne oraz dokonać rozpoznania obiektów strategicznych typu fabryki, obiekty użyteczności publicznej, centra dowodzenia. Dokonać rozpoznania i być w gotowości do wykonania akcji dywersyjnej.

Czas na planowanie. Podzieliliśmy się na sekcje bojowe i zaczęliśmy opracowywać plan działania w różnych wariantach. W tym dniu jednym z naszych zadań było ułożenie i przygotowanie spadochronów i zasobników do skoku. Musieliśmy tak spakować nasze zasobniki, aby oprócz rzeczy niezbędnych do wykonania zadania znalazły się tam również ubrania cywilne, środki czystości, jedzenie i woda na pięć najbliższych dni. W tamtym czasie zasobniki desantowe nie były zbyt pojemne i nie dało się w nich zbyt wiele upchnąć. Dlatego musieliśmy bardzo dokładnie selekcjonować, co możemy ze sobą zabrać.

Następnego dnia po południu zostaliśmy zapakowani na samochody ciężarowe marki Star. Po wejściu do środka ze zdziwieniem odkryliśmy, że plandeki na pace zostały zasnurowane. Do tej pory zawsze jeździliśmy odkryci, a teraz pełna konspiracja.

Jechaliśmy dość długo. Towarzyszyło nam podniecenie, zupełnie jakbyśmy jechali na prawdziwą akcję bojową. Wreszcie dotarliśmy na miejsce. Kierowca spokojnie odsnurował plandeki. Wyszliśmy na zewnątrz. Po zaczerpnięciu świeżego powietrza od razu rozpoznaliśmy miejsce. Było to dobrze nam znane poznańskie lotnisko Krzesiny. Czekaliśmy w lesie na dalsze rozkazy. „Chłopaki, ubierajcie się” – padła komenda naszego taktycznego rozjemcy. Zaczęliśmy powoli zakładać spadochrony, dopasowywać i podczepiać zasobniki, do których schowaliśmy broń krótką P-83 i pistolety maszynowe PM-63 RAK.

Krótkie sprawdzenie przez instruktorów spadochronowych na prowizorycznych liniach kontroli. Siedząc w lesie, byliśmy niewidoczni i w zupełnej ciszy czekaliśmy na samolot An-2. Samolot zatoczył koło i podjechał bezpośrednio pod nasze pozycje. W tym czasie bardzo modne było „pakowanie”. Chodziliśmy regularnie na siłownię i budowaliśmy masę mięśniową. Pod koniec szkoły ważyłem 88 kilogramów. Dodam tylko, że kiedy rozpoczynałem szkołę dwa lata wcześniej, moja waga nie przekraczała 73 kilogramów. Razem ze spadochronem głównym i zapasowym oraz zasobnikiem ważyłem ponad 120 kilogramów. Była to też dopuszczalna nośność mojego spadochronu.

Jedenastu wielkich komandosów wsiadło na pokład An-2. Pilot od początku zmagął się z naszym ciężarem, aby osiągnąć pułap wymagany do skoku. Skakaliśmy na lotnisko Bednary niedaleko Gniezna, około 60 kilometrów od Krzesin. Atmosfera na pokładzie była niesamowita, widać było same uśmiechnięte i jednocześnie skupione twarze. Obserwowaliśmy siebie nawzajem. Instruktor pokładowym był lubiany przez nas wykładowca od taktyki działań w mieście, kapitan Mielcarek, bardzo spokojny i opanowany człowiek. Uczył nas, jak poruszać się konspiracyjnie w terenie zurbanizowanym, jak zakładać skrytki i punkty kontaktowe. W tamtym czasie uczyliśmy się operacyjnych technik wywiadu, które wykorzystywaliśmy w naszych ćwiczeniach.

Kiedy byliśmy już na określonej wysokości, w punkcie zrzutu zapaliło się zielone światło. Najciężsi zawsze skaczą pierwsi. Samolot przechylał się pod ciężarem wyskakujących skoczków. Wreszcie nadeszła moja kolej. Stałem bardzo pewnie w drzwiach, po czym z całej siły wybiłem się do przodu. Wykonałem skok, a następnie odliczanie: 121, 122, 123 – uchwyt, 124, 125 – czasu. Wszystko poszło zgodnie z planem. Wylądowaliśmy wszyscy bezpiecznie, na przygodnym lotnisku, w bliskiej odległości od siebie.

Zwinęliśmy połowo spadochrony, zapakowaliśmy je do toreb transportowych i oddaliśmy w punkcie zbiórki. Czas na kolejny etap. W pobliskim lesie przebraliśmy się w ubrania cywilne i zgodnie z zadaniem ruszyliśmy na rozpoznanie obiektów strategicznych. Do przemieszczania się wykorzystywaliśmy wszystkie możliwe środki transportu. Dotarliśmy do Gniezna, gdzie musieliśmy rozpoznać miejscową fabrykę. Weszliśmy razem z pracownikami na teren zakładu i podłożyliśmy atrapy materiałów wybuchowych, po czym spokojnie wyszliśmy. Kolejny etap za nami. Następny to przemieszczenie się w rejon poligonu Biedrusko i założenie bazy.

W rejon bazy dotarliśmy już późną nocą. Zmęczeni chcieliśmy jak najszybciej podzielić obowiązki ubezpieczenia bazy i odpocząć. Wybrałem sobie miejsce, które wyglądało bardzo zachęcająco. Pod wysokim dębem znalazłem coś w rodzaju legowiska. Rozłożyłem śpiwór i bardzo szybko zasnąłem. Jakie było moje zdziwienie, kiedy wystraszony kumpel obudził mnie na moją zmianę, mówiąc: „Krzychu, podchodzi tu jakiś duży dzik. Słyszę go bardzo wyraźnie”. W okolicznych lasach było naprawdę bardzo dużo dzikiej zwierzyny, w szczególności dzików, które wielokrotnie spotykaliśmy na naszych ćwiczeniach. Okazało się, że zaanektowałem legowisko znanego lokalnym myśliwym olbrzymiego starego odyńca. Ten samotny dzik przyszedł położyć się do swojego łóżka, a tymczasem ja tam smacznie spałem! Na szczęście skończyło się to zabawnie, ale mogło zupełnie inaczej.

Noc okazała się bardzo krótka. Musieliśmy wstać długo przed świtem, aby rozpoznać kolejny cel. Tym razem było to centrum dowodzenia: umiejscowione na poligonie i dobrze strzeżone przez wartowników było bardzo trudnym obiektem do rozpoznania. Czołgaliśmy się, by nikt nas nie zauważył. Mimo dobrej ochrony udało nam się wejść na teren obiektu. Zrobiliśmy szkice i udaliśmy się z powrotem do bazy. Następnego dnia mieliśmy dokonać zniszczenia najważniejszych obiektów. Ostatnia noc i ostatnie zadanie. Do dzisiaj pamiętam, że nie wszystko poszło zgodnie z planem. Zadanie zostało wykonane częściowo. Nie udało nam się podłożyć atrapy materiałów wybuchowych i odpalić kostek dymnych wszędzie tam, gdzie było to zaplanowane. Zostaliśmy wykryci przez ochronę obiektu i musieliśmy w pośpiechu podkładać materiały. Tylko w filmowym scenariuszu

wszystko wychodzi zawsze zgodnie z planem. W życiu czasem jest inaczej. Popełniliśmy kilka błędów i dlatego ochrona nas wykryła. Finalnie jednak zaliczyliśmy ćwiczenie, które oprócz mnóstwa wrażeń dało nam także sporo do myślenia.



Autor po uroczystej promocji z mamą, tatą i siostrą

I tak zakończyła się moja dwuletnia przygoda w szkole działań specjalnych. Ten okres życia uważam za szczególny. Poznałem tu wielu wspaniałych ludzi, od których bardzo dużo się nauczyłem. Pożegnałem się również z czterema kolegami z mojego plutonu, którzy nie ukończyli szkoły. Szczególnie miło wspominałem trzech z nich: Tukana, Purola i Cichego. Każdy z nich miał ogromny temperament i duszę komandosa. Tukan i Purol do tego świetnie śpiewali i grali na gitarze. To dzięki nim wszystkie nasze wyjazdy, poligony i ćwiczenia były niezapomniane. Cichy wylądował w końcu w legii cudzoziemskiej i przez kilka następnych lat przysyłał nam pocztówki.

Pamiętam dobrze naszego dowódcę kompanii Jacka Kuropaczewskiego, z którego czasem sobie żartowaliśmy, ale on i tak zawsze stawał po naszej stronie. Kultura organizacyjna wykładowców, dowódców plutonów, naszego nowego szefa kompanii chorążego Janickiego – pasjonata i kolekcjonera militariów – pozwalała nam rozwijać zainteresowania i pasje. Choć oczywiście zdarzały się wyjątki.

Umiejętności, które nabyliśmy w szkole, bardzo dobrze przygotowały nas do pracy w 1. Pułku Specjalnym w Lublińcu, do którego zaraz miałem trafić.



ROZDZIAŁ 3



Emblemat 1. Pułku Specjalnego



Pierwsza lekcja

Lubliniec to śląskie miasteczko malowniczo usytuowane w bezpośrednim sąsiedztwie pięknych lasów. W tamtym czasie słynęło z samych instytucji specjalnych, między innymi szpitala psychiatrycznego, kobiecego więzienia o zastrzonym rygorze oraz jednostki specjalnej. Po pełnym wrażeń miesięcznym urlopie, podczas którego wydałem całą moją pierwszą szkolną odprawę na imprezy i jeszcze narobiłem sporo długów, już nie mogłem się doczekać wyjazdu do jednostki. Razem z kolegą przyjechałem dzień wcześniej, aby ewentualnie załatwić sobie jakieś zakwaterowanie. Było piękne sierpniowe popołudnie 1996 roku. Zmierzaliśmy w kierunku biura przepustek, przed którym na ławeczce wygrzewał się chorąży sztabowy – dyżurny biura. Jeszcze nie zdążyliśmy do niego dojść, a on już rozpoznał w nas młodych żołnierzy po szkole.

– Chłopaki, dzisiaj nie macie co tutaj robić. Idźcie na piwo, a jutro przyjdziecie rano do pracy i wszystko sobie załatwicie – powiedział.

I tak właśnie zrobiliśmy.

Trafiłem do 5. Kompanii Specjalnej, której dowódcą był potężnie zbudowany porucznik. Trzymał twardą ręką zarówno kadrę zawodową, jak i wszystkich żołnierzy służby zasadniczej. Pamiętam takie zdarzenie: jako młody dowódca grupy poszedłem na kompanijne strzelanie, a po strzelaniu na zbiórce dowódca pyta, czy wszystko było dobrze, czy coś byśmy zmienili w szkoleniu, a może coś nam się szczególnie nie podobało? Starsi dowódcy milcząco popatrzyli po sobie, a wtedy ja podniosłem rękę i powiedziałem, co mi się nie podobało i jak można to zmienić. Do tych uwag przyłączył się mój kolega Taśma, z którym kończyłem szkołę. Niestety okazało się, że przyjęte przeze mnie założenie, że dowódca naprawdę chce wysłuchać naszej opinii, było błędne. Porucznik nic nie odpowiedział, a my rozeszliśmy się do swoich obowiązków.

Po powrocie nadzorowałem czyszczenie broni na kompanijnym korytarzu. W pewnym momencie woła mnie i mojego kolegę podoficer dyżurny kompanii i mówi, że w siłowni czeka na nas pan porucznik. Otworzyłem drzwi do siłowni,

a tam na ławeczce leży dowódca i wyciska olbrzymi ciężar. Kiedy nas zobaczył, odłożył sztangę na stojak, wstał, podszedł bardzo blisko i powiedział:

– Chyba wam się w głowach popierdoliło, młodzi. Wybierajcie: parzyste czy nieparzyste weekendy.

Popatrzyliśmy po sobie, wiedząc już, jak bardzo mamy przerażane. Do końca wakacji na zmianę trzymaliśmy nadzory – czyli od pobudki do capstrzyku pilnowaliśmy żołnierzy służby zasadniczej. W tamtym czasie nikt nie pytał o nadgodziny czy dni wolne za przepracowane weekendy. Tak zapamiętałem pierwszy kontakt z moim nowym przełożonym i pierwszą lekcję zasad panujących w 5. Kompanii Specjalnej.





Szkolenie bojowe

Szkolenie w tamtych latach skupiało się na grupach specjalnych i dywersyjno-rozpoznawczych, które miały działać na terenie wroga. Regulaminy taktyczne przewidywały zrzucanie żołnierzy na tyły przeciwnika. Wspólnie trenowaliśmy wszystkie możliwe scenariusze. Jednym z zadań było rozpoznanie specjalne, zasadzka, napad, najście. Ponieważ jednostka graniczyła z rozległymi lasami, mieliśmy duże możliwości treningowe. Bardzo modne w tamtym czasie były marsze w terenie. Ponieważ nie było zbyt dużego budżetu na paliwo, a flota samochodowa była uboga, wszędzie chodziliśmy pieszo. Większość zajęć kończyła się pętlą taktyczną, a jednym z jej elementów był marsz ubezpieczony. Tak pokonywaliśmy dziesiątki kilometrów.



Marsz ubezpieczony

Nasz dowódca był człowiekiem bardzo ambitnym i wymyślał coraz ciekawsze zadania do wykonania. Mówiło się, że idziemy na „działania”. Żołnierze służby zasadniczej byli z reguły ochotnikami i w związku z tym mieli dość wysoki poziom motywacji do służby, co bardzo ułatwiało szkolenie. Oczywiście zdarzali się malkontenci, jednak ogół grupy skutecznie ich eliminował. Żołnierze odbierali bardzo zaawansowane jak na służbę zasadniczą szkolenie. Potrafili skutecznie obsługiwać broń – zarówno swoją, jak i przydzielaną im na czas ćwiczeń stosowaną w państwach NATO (w którym jeszcze wtedy nie byliśmy). W magazynie jednostki znajdowała się kolekcja broni z różnych państw – którą często zabieraliśmy na strzelnicę, aby każdy z nas nauczył się z niej strzelać. Żołnierze kompanii specjalnych lub dywersyjno-rozpoznawczych skakali na spadochronie, wspinali się po skałach, jeździli na nartach. Niektórzy mieli inne specjalności, na przykład pływackie. Broń i wyposażenie w tamtym okresie były bardzo przeciętne, można nawet powiedzieć, że przestarzałe. Strzelaliśmy z pistoletów maszynowych Glauberyt, karabinków z rozkładaną kolbą, kbk AKMS, lub z drewnianą – AK GN, a także z karabinów maszynowych PK. Każdy miał

przydzieloną broń odpowiednią do swojej specjalności. Żołnierze dźwigali bardzo ciężkie stare śpiwory w zasobnikach desantowych LWP, dopiero w późniejszych latach wprowadzone zostały zasobniki desantowe wz. 93. Od razu po przyjeździe do jednostki starsi koledzy rekomendowali nam zakup plecaków, śpiworów oraz karimat, ponieważ w tamtym czasie te z przydziału były bardzo słabej jakości. Mimo pewnych braków sprzętowych jako żołnierze byliśmy zmotywowani i potrafiliśmy naprawdę świetnie działać.

Bardzo dobrze wspominam te czasy. Pamiętam, jak walczyliśmy na corocznych zawodach grup specjalnych o punkty dla swojego batalionu, a także naszą kreatywność, kiedy musieliśmy zorganizować w terenie jakieś lokum lub transport. Obiekty do wykonania poszczególnych zadań były zwykle położone daleko od siebie, a czas na dojazd do nich – bardzo limitowany, dlatego nieraz korzystaliśmy z transportu lokalnej społeczności, jeździliśmy pociągiem, czasem nawet towarowym. W budce dróżnika dogadywaliśmy zatrzymanie pociągu na chwilę i niepostrzeżenie wsiadaliśmy do pustych przedziałów lub przestrzeni bagażowych, aby szybko dojechać do celu. Tak właśnie w tamtym okresie szkoliło się żołnierzy do działania na terenie przeciwnika, organizowania punktów kontaktowych, planowania zasadzek, marszu ubezpieczonego oraz bazowania i przetrwania w terenie.

Sprawność fizyczną szlifowaliśmy wspólnie w należącym do jednostki Ośrodka Sprawności Fizycznej lub ukrytym w Czarnym Lesie torze francuskim. Bardzo lubiłem walkę wręcz i wielokrotnie prowadziłem zajęcia z żołnierzami, przygotowując ich do pokazów. Niestety treningi często kończyły się poważnymi kontuzjami. Pamiętam szczególnie dwa takie przypadki. Pierwszy z nich dotyczył jednego z moich najsprawniejszych żołnierzy. Tuż przed pokazem żołnierskich umiejętności, który miał odbyć się na mistrzostwach Polski w żużlu, na stadionie w Częstochowie, zrobiliśmy próbę generalną. Wspomniany komandos miał rozbić dachówki trzymane przez innego żołnierza uderzeniem nogami podczas salta w tył. Wszystko było świetnie przygotowane, wyglądało spektakularnie i za każdym razem wychodziło perfekcyjnie. Jednak tego dnia asystujący żołnierz miał służbę i za niego przyszedł inny. Wydawało nam się, że wytłumaczyliśmy mu bardzo dokładnie, co ma robić, a on posłusznie pokiwał głową. Wszystko było gotowe. Na komendę komandos wybił się w powietrze i uderzył jak zwykle nogami w dachówki. Jednak tym razem efekt był zgoła inny. Asystujący kolega tak mocno trzymał dachówki w rękach, że uderzający w nie komandos nie mógł wykonać pełnego obrotu i z wielką siłą uderzył twarzą w ziemię. Kiedy go podniosłem, zobaczyłem, że ma złamany nos i zakrwawioną twarz. Opatrzyliśmy go w jednostkowej izbie chorych, a on mimo urazu postanowił jechać z nami na pokaz. Nie wykonał już jednak tego konkretnego akrobacyjnego elementu.

Komunikacja jest niezwykle ważna. Czasem wydaje nam się, że nasz rozmówca wszystko rozumie, jednak może być zupełnie inaczej. Gdybym wtedy powiedział mu, aby trzymał te dachówki delikatnie, na pewno uniknęlibyśmy kontuzji jednego z najlepszych komandosów z mojej kompanii. Takie detale jak nieodpowiedni dobór słów czy niepełny komunikat mogą spowodować nieporozumienie, które w konsekwencji zepsuje zadanie.

Innym razem mieliśmy pokaz walki nożem. Każdy komandos w jednostce skutecznie rzucał nożem. Mieliśmy specjalnie przygotowane miejsce, gdzie ćwiczyliśmy rzuty nożami i łopatkami saperskimi. Jak zwykle tuż przed pokazem odbywaliśmy ostatni trening. Żołnierze byli bardzo dobrze przygotowani i postanowili zrobić ten trening „na bojowo”, czyli z nożem wyciągniętym z pochwy. Dosłownie chwilę później jeden wbił drugiemu nóż w dłoń tak mocno, że przeszedł na wylot. Natychmiast musieliśmy opatrzeć żołnierza i wycofać go z pokazu, co oczywiście zmieniło cały scenariusz. Tak właśnie życie uczyło nas pokory wobec siebie i swoich umiejętności.

Niestety w tamtych czasach pokazy były integralną częścią szkolenia i wykonywaliśmy ich mnóstwo. Żołnierze rozbijali spektakularnie płonące dachówki czy płyty betonowe na swoim ciele, wykonywali układy z bronią oraz salta i inne akrobatyczne popisy. Żołnierze, których pamiętam i którymi miałem przyjemność dowodzić, byli niezwykle wytrwali, odporni i nie marudzili z byle powodu. Wszystko robiliśmy razem i kiedy odchodzili do cywila, często dziękowali nam za czas, który spędzili w jednostce.

Lata dziewięćdziesiąte to czasy, kiedy polskie mafie bardzo mocno infiltrowały jednostki w poszukiwaniu wyszkolonych chłopaków. Zdarzało się, że niektórzy „żołnierze mafii” byli wysyłani do naszej jednostki, aby uczyć się „fachu”. W naszej jednostce uczyliśmy komandosów różnych technik eliminowania przeciwnika, od walki wręcz po techniki nożem, kończąc na broni. W tym czasie komandosi z Lublińca mieli naprawdę duży potencjał bojowy, a wielu z nich kontynuowało później służbę w różnych jednostkach, np. w GROM-ie.

Naszym dowódcą batalionu był oficer, który niedawno ukończył elitarny kurs francuskich sił specjalnych. W jednostce znany był między innymi z organizowania morderczych wielokilometrowych marszy. Po objęciu dowództwa postanowił zorganizować nietypowe ćwiczenie taktyczne. Zawołał mnie do swojej kancelarii, która znajdowała się na strychu naszego batalionu.

– Puwał, zorganizuj sobie najlepszych chłopaków z batalionu, mam dla ciebie zadanie specjalne – powiedział.

Uwielbiałem takie wyzwania, znałem mojego dowódcę i wiedziałem, że zapowiada się coś niezwykłego, jednak to, co za chwilę miało się wydarzyć,

przerosło moje oczekiwania. Już wcześniej robiłem różnego rodzaju niestandardowe akcje, ale ta, jak się okazało, była szczególna.

– Niedaleko Lublińca, w osadzie otoczonej lasami, mieszka pewien człowiek. Jutro po południu masz porwać go z jego domu. – Pokazał mi jego zdjęcie i dał współrzędne jego domu.

Na kompanii specjalnej miałem grupę zgranych chłopaków. Wyróżniali się niestandardowym myśleniem, odwagą oraz brawurą, co idealnie wpisywało się w naszą robotę. Aby skutecznie wykonać to zadanie, potrzebowałem dwóch niezależnie działających sekcji. Zadaniem pierwszej, rozpoznawczej, było założenie posterunku obserwacyjnego, obserwacja i przekazywanie na bieżąco informacji, a druga, szturmowa, mobilna, miała wykonać uderzenie.

Zebrałem wszystkich, opowiedziałem o akcji i zaczęła się burza mózgów. Wiedzieliśmy, że sprawa jest bardzo delikatna i działamy na pograniczu prawa. To było ćwiczenie, jednak cel i jego rodzina o tym nie wiedzieli. W pułku specjalnym niejednokrotnie działaliśmy, wykorzystując legendy, przebrania, skrytki ze sprzętem, punkty kontaktowe. Tak funkcjonowały w tamtym czasie grupy specjalne.

Po szybkim przeanalizowaniu mapy zobaczyłem, że miejsce otoczone jest rozległymi lasami i prowadzi do niego tylko jedna utwardzona droga. Dawało nam to możliwość skrytego podejścia i założenia w niewielkiej odległości od obiektu posterunku obserwacyjnego (PO). W tamtym czasie nie było jeszcze Google Maps i nie mieliśmy możliwości korzystania z żadnych zdobyczy technologicznych, dlatego szybko zdecydowałem, że w pierwszej kolejności wyślę samochodem cywilnym grupę rozpoznawczą.

Wsiedliśmy do samochodu jednego z moich komandosów, volkswagena jetty, i pojechaliśmy zrobić rekonesans. Na miejscu okazało się, że nasz cel ma pokaźną hodowlę psów husky, które swobodnie biegają po podwórku, oszczekując wszystko, co się rusza. Nie była to dla nas dobra wiadomość. Nie wiedziałem również, czy spodziewa się ataku.

Po powrocie na kompanię usiedliśmy wspólnie i zaczęliśmy szczegółowo planować operację. W tak małej osadzie wszyscy doskonale się znają i każde nietypowe wydarzenie natychmiast wzbudza zaciekawienie. Jak wejść do domu, by domownikom nie wydawało się to podejrzane i aby nasz cel nie uciekł? Jak ominąć kilkanaście biegających psów i odciągnąć ich uwagę? Na te i inne pytania musieliśmy pilnie znaleźć odpowiedzi.

Szybko przyszedł nam do głowy diabelski pomysł. Jeden z nas przebierze się za księdza. Jakimś cudem mieliśmy na kompanii sutannę, która należała do brata jednego z żołnierzy. To ja zostałem wytypowany na tego „złego” księdza, który ma wzbudzić zaufanie domowników.

Czas szybko mijał, grupa rozpoznawcza gotowa była już do wyjścia. Zabraliśmy broń, niezbędny sprzęt maskujący i obserwacyjny potrzebny do założenia PO, racje żywnościowe i wodę, po czym pod osłoną nocy przemieściliśmy się na pace honkera w rejon działania. Grupa szturmowa z kolei przygotowała swoje prywatne samochody i czekała w gotowości na dalsze rozkazy. W tamtym czasie łączność w pułku specjalnym nie była najmocniejszą stroną, dlatego na ćwiczeniach wielokrotnie korzystaliśmy również z naszych telefonów komórkowych, które wówczas były jeszcze nowością, a ceny za rozmowy były kosmiczne.

Ze względu na bezpieczeństwo operacyjne wysiedliśmy około dwóch kilometrów od obiektu i resztę drogi pokonaliśmy marszem ubezpieczonym. Była piękna, ciepła letnia noc, a ze względu na bliskość lasu aż roiło się od komarów. Przed północą dotarliśmy w rejon, po czym możliwie blisko założyliśmy PO, który dawał nam dobry wgląd w teren. Na posesji było ciemno.

Noc na posterunku minęła bardzo szybko. Rano, kiedy słońce oświetliło zagrodę, zobaczyłem dokładnie rozmieszczenie budynków, główne wejście do domu, podwórko oraz budynki gospodarcze, w tym kilkanaście kojców na psy. Na szczęście okazało się, że gospodarz naprawia bramę wjazdową i zamknął w kojcach wszystkie zwierzęta. Niestety około godziny dziewiątej wyjechał. Spodziewałem się, że taki scenariusz może się wydarzyć. Wykonywał swoje codzienne zajęcia, a my nie zdążyliśmy zrobić mu tak zwanego zdjęcia dnia, z którego dowiedzielibyśmy się, jak zazwyczaj wygląda jego plan zajęć. Po prostu nie było na to czasu.

Przed południem zorganizowałem punkt kontaktowy, na którym przekazałem mojemu zastępcy, a jednocześnie dowódcy grupy szturmowej, szczegółowe szkice posesji. Dopracowaliśmy jeszcze ostatnie detale i rozeszliśmy się do swoich grup. Nie wiedziałem, kiedy wróci nasz cel, nie miałem też podanej konkretnej godziny ataku, co dawało mi pewną swobodę w podjęciu decyzji.

Około godziny 14.00 cel wrócił do domu. Grupa szturmowa podjechała samochodami i ukryła się w lesie, czekając na mój sygnał. W tym czasie zameldowałem mojemu dowódcy, że jestem w gotowości do uderzenia i czekam na jego decyzję. Dowódca potwierdził i przekazał mi, że po przechwyceniu mężczyzny mam wykonać jeszcze jedno zadanie (jakie – o tym za chwilę).



Nie ufaj pozorom

W lesie wyciągnąłem z plecaka sutannę i przebrałem się – muszę przyznać, że wyglądałem bardzo wiarygodnie, nawet chłopaki z grupy żartowali, że nadają się na księdza. Pełna gotowość bojowa, wszyscy na pozycjach. Spokojnie wyszedłem z lasu i jak gdyby nigdy nic udałem się w asyście jednego z komandosów na posesję. Cel nagle zniknął gdzieś na podwórku, straciliśmy go z oczu. Widziałem, że grupa szturmowa już jedzie i dosłownie za chwilę będzie pod bramą. „Co teraz? Jak mam go zlokalizować? Nie ma na nic czasu, chłopaki już jadą”, myślałem. Ponieważ brama była w remoncie, podszedłem prosto do drzwi wejściowych i zapukałem. Otworzyła mi młoda kobieta, najprawdopodobniej żona.

– Szczęść Boże, jestem nowym wikarym w parafii i chciałbym poznać mieszkańców – powiedziałem.

Nieświadoma niczego kobieta uśmiechnęła się bardzo przyjaźnie.

– Szczęść Boże, bardzo mi przyjemnie, nie widziałam księdza do tej pory, zapraszam do domu.

Nagle zza zakrętu wyjechały dwa samochody i podjechały spokojnie pod bramę posesji. Nasz cel dosłownie w tym momencie się pojawił i podszedł do

bramy. Z samochodów wysypało się pięciu wysportowanych chłopaków i w mgnieniu oka unieruchomili mężczyznę. Zamknąłem drzwi i dołączyłem do nich. Wszystko działało się błyskawicznie. Mężczyzna był bardzo waleczny i stawiał zaciekle opór. Wyciągnąłem z kieszeni taśmę monterską i kilkoma sprawnymi ruchami zakleiłem mu usta, a jeden z chłopaków energicznie nałożył mu na głowę brezentowy worek. Kiedy wpychaliśmy go do auta, z domu wybiegła jego żona, robiąc mnóstwo hałasu, ale szybko odjechaliśmy. To musiał być dla niej prawdziwy szok. Zdawałem sobie sprawę, że zaraz zadzwoni po policję, jednak musieliśmy wykonać zadanie.

Dowódca w międzyczasie podał mi współrzędne punktu przekazania porwanego (około 10 kilometrów od domu porwanego). W samochodzie legendowaliśmy się jako rosyjska mafia. Widziałem, jak nasz bohater walczy, próbuje coś powiedzieć, a jednocześnie liczy zakręty, pochylając się w odpowiednią stronę na każdym z nich. Widać było, że jest bystry i mimo olbrzymiego stresu nie stracił głowy.

Po kilkunastu minutach kluczenia po bezdrożach zatrzymaliśmy się na leśnej drodze i wyprowadziliśmy z samochodu skutego mężczyznę z workiem na głowie.

– *Biegi, mołodiec* – powiedziałem po rosyjsku.

Mężczyzna, z początku niechętnie, po chwili ruszył. Nie było to wcale takie proste – miał skute z tyłu ręce i zasłonięte oczy. Był naprawdę dzielny – sapiąc i dysząc, pokonywał kolejne metry, co jakiś czas potykając się i przewracając. W taki sposób pokonał około trzech kilometrów. W końcu na leśnej drodze przed nami zobaczyłem szefa kompanii. Przekazał mi informację od mojego dowódcy, żebym zatrzymał się i rozkuł porwanego. Powoli zdjąłem mu worek z głowy i delikatnie odsłoniłem mu oczy. Spocony, brudny, zdyszany, niewiarygodnie zły, spojrzał na mnie groźnym wzrokiem.

– Jeśli będziesz spokojny, to cię rozkuję – powiedziałem tym razem po polsku.

Mężczyzna kiwnął głową. Kiedy chłopaki zdjęły mu plastikowe kajdanki, zaczął nam grozić. Na szczęście zza zakrętu wyszedł nasz dowódca z uśmiechem na twarzy i skrzynką zimnego piwa.

Nigdy nie dowiedziałem się, jak skończyła się ta historia, nie wiem również, co sprawiło, że nasz dowódca dał mi takie zadanie – wiem tylko, że żołnierze wojsk specjalnych są potężnym narzędziem do wykonania każdego rodzaju operacji, zaś dzielny bohater naszej historii przeszedł zupełnie nieświadomie jako jeden z pierwszych w tamtym czasie szkolenie SERE (Survival, Evasion, Resistance, Escape), czyli przetrwania w niewoli.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych w 1. Pułku Specjalnym zaczęły się szkolenia z żołnierzami amerykańskimi i brytyjskimi jednostkami specjalnymi. Ćwiczenie u boku komandosów SAS czy Green Berets było dla nas niezwykłym

wyróżnieniem. Właśnie wtedy po raz pierwszy zjeżdżałem na linie ze śmigłowca z brytyjskim SAS-em, skakałem z pełnym wyposażeniem z wysokości 200 metrów z samolotu C-130 Hercules. Było to niesamowite doświadczenie, które zaowocowało zwiększeniem motywacji do dalszego rozwoju umiejętności i planem przejścia do jednostki GROM.

Koniec lat dziewięćdziesiątych i początek dwutysięcznych to całkowita zmiana struktury 1. Pułku Specjalnego. Kończy się pobór do zasadniczej służby wojskowej i jednostka powoli staje się w pełni zawodowa. Wielu najlepszych żołnierzy zostało w jednostce po odsłużeniu służby zasadniczej, aby kontynuować już jako żołnierze zawodowi.



Przemiana

Wróćmy jednak na chwilę do roku 1998. To wtedy wydarzyło się coś, co zupełnie odmieniło moje życie, spowodowało, że zaszła we mnie potężna przemiana. W tym roku zostałem wysłany na kurs francuskiego do Łodzi. Nigdy wcześniej nie uczyłem się ani tego języka, ani żadnego innego zachodniego. W technikum miałem język rosyjski, z niego pisałem maturę. Później w szkole wojskowej również uczyłem się języka rosyjskiego. Zajęcia prowadziła bardzo miła, sympatyczna, ale przede wszystkim merytoryczna nauczycielka i z wielką przyjemnością uczyłem się pod jej okiem.

Kiedy dowiedziałem się, że mam się uczyć się francuskiego, ucieszyłem się z dwóch powodów. Po pierwsze, mój dziadek wychowywał się we Francji i władał doskonale tym językiem. Pomyślałem, że z jego pomocą będę mógł szlifować moje nowo nabyte umiejętności. Po drugie, w tamtym czasie pojawiały się możliwości wyjazdów na kursy zagraniczne, między innymi do Francji. Wszystko razem spowodowało, że z wielkim zapałem uczyłem się podstaw tego pięknego, lecz piekielnie trudnego języka. Nauczyciele byli wobec nas bardzo wymagający, oprócz jednej pani, która nigdy nie zrealizowała do końca żadnego tematu. Starszym naszej grupy był pan pułkownik, który swoimi nienagannymi manierami przypominał mi przedwojennego oficera: przystojny, inteligentny, elokwentny, robił ogromne wrażenie na wszystkich. To on biedny musiał zagadywać tę leniwą nauczycielkę, aby jakoś zagospodarować czas na zajęciach.

Na kursie zaprzyjaźniłem się z kilkoma młodymi oficerami, z którymi w wolnych chwilach chodziliśmy na piwo. Tej właśnie przełomowej nocy wracaliśmy z karaoke. Obok biura przepustek słychać było głośną muzykę. Zaciekała nas ta sytuacja i postanowiliśmy sprawdzić, co się tam dzieje. Wtedy to tuż przed drzwiami agresywnie zatrzymał nas wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna. Poprosiliśmy go, aby pozwolił nam wejść na chwilę do środka, a w odpowiedzi on brutalnie popchnął jednego z moich kolegów. W takich sytuacjach zawsze odzywał się we mnie instynkt opiekuńczy. Czułem się odpowiedzialny za zespół, który w tym przypadku stanowili moi kupie. Poprosiłem

go, aby więcej nie odpychał mojego kolegi i pozwolił nam wejść. Wtedy on wziął zamach i chciał uderzyć mnie pięścią w twarz. Nastąpiła szybka akcja, to trwało zaledwie sekundy. W jednej chwili spadł na niego grad uderzeń pięściami i nogami. Zaatakowany przeze mnie przeciwnik osunął się na ziemię. Czuję, że nie jest dobrze. Podniosłem go delikatnie i zobaczyłem lima pod oczami. Posadziłem go na krześle i poszliśmy spać.

Na drugi dzień rozpętała się potężna afera. Do mojego pokoju wbiegł jeden z oficerów, którego wczoraj broniłem. „Krzysiek, jest niedobrze” – powiedział. Okazało się, że ten postawny mężczyzna był adiutantem i kierowcą generała uczestniczącego w kursie. Dodatkowo miał go rano zawieźć na bardzo ważne spotkanie. Sprawa wyglądała niezwykle poważnie. Na szczęście do akcji wkroczył nasz starszy grupy, pan pułkownik. Z niezwykłym spokojem i wrodzoną dyplomacją przekonał pana generała, aby nie wszczynał awantury. Ja natomiast musiałem przeprosić pobitego przeze mnie żołnierza, co nie było wcale takie proste ze względu na jego urażoną dumę, ego i dużą liczbę siniaków. Groziły mi najgorsze konsekwencje, jednak umiejętności negocjacyjne pana pułkownika, sporo szczęścia oraz pomoc komendanta szkoły językowej, który również stanął po mojej stronie, spowodowały, że sprawa została wyciszona. Wtedy zdałem sobie sprawę, że muszę radykalnie okiełznać mój temperament.

Długo myślałem o swoich wcześniejszych przygodach: przypadkowe dziewczyny, bójkę, imprezy, lima pod oczami, kilkakrotnie złamany nos. Miałem 24 lata i podjąłem jedną z najważniejszych decyzji mojego życia. Od tej chwili całą moją energię przekierowałem na rozwój siebie i swoich umiejętności, opiekę nad bliskimi i służbę mojemu krajowi. Dlatego wszyscy ci, którzy poznali mnie później, uważają mnie za osobę bardzo opanowaną, wyciszoną i odpowiedzialną. Taki właśnie się stałem. Ale jak mówi stara indiańska mądrość, każdy z nas ma w sobie dwa wilki: jednego okrutnego, złego i brutalnego, a drugiego dobrego, spokojnego i odpowiedzialnego. I to od ciebie zależy, którego w danym momencie zdecydujesz się karmić. Tak jest również ze mną.

Pamiętaj: niezależnie od tego, w jakim momencie swojego życia jesteś, zawsze możesz wybrać, kim chcesz być. To wszystko zależy od ciebie. Co więc musisz zacząć robić, abyś mógł cieszyć się ze swoich sukcesów, być szczęśliwy, abyś miał wokół siebie cudownych, kochających ludzi? Zaczynaj o tym myśleć, bo sami tworzymy swoją przyszłość. Cesarz rzymski i jeden z moich ulubionych filozofów Marek Aureliusz powiedział: „Nasze życie jest takie, jakim uczyniły je nasze myśli”. Nawet się nie zorientujesz, kiedy wszystko zacznie układać się tak, jak to sobie wymyśliłeś. Ja zrozumiałem to stosunkowo późno, ale mój entuzjizm i wrodzony optymizm nadawały ton wszystkiemu, co działo się, zanim to zrozumiałem.

Bardzo szybko pojawiły się pozytywne efekty mojej przemiany. Od kiedy pamiętam, interesowałem się historią, czytałem wiele książek historycznych, pasjonowała mnie sztuka wojenna. Jedną z moich ulubionych pozycji była *Sztuka wojny* Sun Tzu. I tu nagle pojawiła się szansa na studia. Jednostka organizowała grupę, która miała możliwość studiowania w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Częstochowie na kierunku historycznym. Zapisalem się bez wahania. Pięcioletnie studia magisterskie prowadzone były w systemie zaocznym. Dowódca jednostki udzielał nam urlopów na naukę i wszystkie zjazdy. Taka forma bardzo mi odpowiadała. Oczywiście nie było łatwo. Mnóstwo obowiązków służbowych, ciągłe wyjazdy, poligony, ćwiczenia i kursy, między innymi bardzo wymagający kurs instruktora spadochronowego wojsk powietrznodesantowych – wymagało bardzo dużej dyscypliny, determinacji i samozaparć, by to wszystko pogodzić. Jednak nauka szła mi bardzo dobrze. Byliśmy zdyscyplinowaną i zgraną grupą. Większość z nas pochodziła z tego samego środowiska. Pomagaliśmy sobie na wszystkich etapach nauki.

Zbliżał się egzamin magisterski. Długo zastanawiałem się, jaki temat pracy wybrać. Ponieważ Zespół Bojowy, w którym służyłem, dziedziczył tradycje 1. Samodzielnej Kompanii Commando, bardzo chciałem napisać monografię tej niezwykłej jednostki, która została utworzona 28 sierpnia 1942 roku z rozkazu Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych gen. broni Władysława Sikorskiego w Wielkiej Brytanii. Jednostka komandosów, nazywana od koloru беретów zielonymi diabłami, wstąpiła się wieloma bohaterskimi czynami w czasie II wojny światowej. Komandosi brali udział między innymi w bardzo ciężkich walkach o Monte Cassino, gdzie straty kompanii wyniosły 52 rannych i 8 zabitych. Podczas powstania warszawskiego szykowali przerzut do okupowanej ojczyzny, jednak Brytyjczycy nie wyrazili zgody na pomoc. Rozważano jedynie symboliczny zrzut kilkunastu komandosów, ale 5 sierpnia rozkaz ten odwołał Naczelny Wódz gen. Sosnkowski. 15 sierpnia 1944 roku 1. Samodzielna Kompania Commando została przekształcona w batalion komandosów, któremu w listopadzie nadano nazwę 2. Batalion Komandosów Zmotoryzowanych. Byłem dumny, że mogłem poznać tych ludzi i ich tradycje, ale przede wszystkim ich kulturę organizacyjną przejawiającą się w sposobie komunikacji, wysokiej kulturze osobistej oraz świetnym wyszkoleniu, co udowodnili, strzelając z nami na naszej strzelnicy.



Emblemat 1. Samodzielnej Kompanii Commando

Interesowałem się również lotnictwem wojskowym i dlatego ostatecznie postanowiłem napisać pracę magisterską o lotnictwie Polski i Niemiec lat 1933–1939. Wybrałem ten okres nie bez przyczyny. Po I wojnie światowej, 28 czerwca 1919 roku, podpisany został w Wersalu traktat pokojowy, na którego mocy Niemcy nie mogły między innymi mieć lotnictwa wojskowego. Jednak w 1933 roku, po dojściu Hitlera do władzy, nastąpiła całkowita zmiana w polityce i Niemcy zaczęły się bardzo intensywnie zbroić, przygotowując się do wojny. Jedną z czołowych gałęzi zbrojeniowych było lotnictwo wojskowe. Praca, którą napisałem, była na tyle dobra, że mój promotor zaproponował mi zrobienie doktoratu pod jego nadzorem. Jednak do tego nie doszło: już wtedy wiedziałem, że szykuje się bardzo intensywny czas w moim życiu. W 2003 roku, gdy tylko zdążyłem obronić pracę magisterską, Jednostka rozpoczęła przygotowania do wyjazdu na pierwszą zmianę polskiego kontyngentu (PKW) w Republice Iraku. Zaczynał się zupełnie nowy rozdział w mojej historii: wojna, pierwsze akcje bojowe i sprawdzenie się w sytuacjach realnego zagrożenia życia.



Zawodowcy

Zanim jednak przejdę do opowieści z Iraku, które były niezwykle ekscytujące, pełne akcji i adrenaliny, chciałbym wrócić do moim zdaniem przełomowej daty w historii wojsk specjalnych, czyli 11 września 2001 roku. Tego pamiętnego dnia wracałem z kumplami po pracy moim oplem astrą z Lublińca do Częstochowy, gdzie wtedy mieszkałem. W radiu usłyszeliśmy komunikat o ataku terrorystycznym na terytorium Stanów Zjednoczonych przeprowadzonym za pomocą uprowadzonych samolotów pasażerskich. Seria ataków na budynki World Trade Center oraz Pentagon, których sprawcami byli, jak się później okazało, przedstawiciele organizacji Al-Ka'ida. Na początku wydawało nam się to nieprawdopodobne, żeby terroryści zaatakowali bezpośrednio terytorium USA. Była to jednak prawda i zapowiadała nową kartę w historii konfliktów zbrojnych. Te zmiany dotyczyły również mnie, ponieważ zrewolucjonizowały działanie międzynarodowych sił specjalnych i objęły także moją jednostkę. Nagle do jednostki komandosów przyjechały samochody wypełnione sprzętem i wyposażeniem wojskowym. Wtedy zaczęły formować się pierwsze zespoły bojowe. Zanim to jednak się stało, każdy, kto chciał być żołnierzem zespołu bojowego, musiał przejść selekcję – w tym i ja. Przypomnę tylko, że byłem wówczas już od pięciu lat dowódcą grupy specjalnej. Wtedy wydawało nam się, że to nietrafiony pomysł, aby selekcję przechodzili także żołnierze, którzy już są w jednostce. Jednak szybko zrozumiałem, że nowo powstałe zespoły bojowe potrzebują silnych, zmotywowanych dowódców i żołnierzy, którzy swoim osobistym przykładem, determinacją oraz bardzo dobrym wyszkoleniem wyniosą jednostkę na jeszcze wyższy poziom.

Po raz kolejny stanąłem na starcie, a metą miał być zespół bojowy w 1. Pułku Specjalnym Komandosów. Selekcja została ułożona na bazie doświadczeń żołnierzy GROM-u, których już w tamtym czasie poznałem i miałem przyjemność z nimi pracować. Szczególnie zapamiętałem jednego z nich – Wichra. Poznaliśmy się na kursie instruktorów spadochronowych wojsk powietrznodesantowych we Wrocławiu w 2000 roku. Ten wyjątkowy chłopak w szarym berecie zrobił na mnie

spore wrażenie. Bardzo szybko się zakumplowaliśmy. Obserwowałem jego niekonwencjonalne podejście do zadań, entuzjazm, ale również olbrzymi krytycyzm wobec ogólnowojskowej kultury organizacyjnej. Często powtarzał: „Nienawidzę oficerów”, co wymawiał z charakterystycznym dla siebie „r”.

W tamtym czasie kurs instruktorów spadochronowych był uważany za jeden z najbardziej elitarnych w Wojsku Polskim. Samo zakwalifikowanie się było czymś wyjątkowym i dawało żołnierzowi pewien prestiż. Wicher był jednym z pierwszych operatorów GROM-u, którzy przeszli elitarne szkolenie z brytyjskim SAS-em i amerykańską Delta Force. Bardzo dużo rozmawialiśmy o szkoleniach, szczególnie na temat strzelania, taktyki oraz sprzętu, jakim w tamtym czasie dysponował Lubliniec i GROM. Na kursie skakaliśmy między innymi na spadochronach SW-5, SW-12 i kadetach. Pamiętam, jak Wicher przywiózł z jednostki GROM spadochron typu „plecy-plecy” i pożyczył mi go do skoku. Byłem pod ogromnym wrażeniem. Takie proste, lecz w tym czasie nieoczywiste gesty budowały relacje, podnosiły morale, ale również pokazywały, że żołnierze wojsk specjalnych mogą i powinni sobie nawzajem pomagać. Wicher miał niezwykle temperament i niewyparzony język. Wielokrotnie przez to popadał w kłopoty, ale nigdy nie zawahał się przed wygłoszeniem swojego zdania w sytuacjach, które kłóciły się z jego kodeksem honorowym. Na imprezie kończącej kurs lekko podpity żołnierz podszedł do niego i zaczął go prowokować. Sytuacja była poważna i pewnie skończyłaby się bijatyką, jednak w porę zauważyłem, że dzieje się coś niepokojącego, i pomogłem ją opanować. Kultura organizacyjna żołnierzy GROM-u tak bardzo odbiegała od tej pozostałych żołnierzy WP, że dziś aż trudno w to uwierzyć. Tajemniczy, niepokorni, świetnie wyszkoleni, bezkompromisowi – tak ich wtedy zapamiętałem.



Kurs instruktorów spadochronowych – tuż przed skokiem

Jeśli chcesz przewodzić ludziom, musisz dać przykład. Musisz na własnej skórze odczuć wszystkie trudy i niedogodności, aby w końcu stać się wiarygodnym – i dotyczy to również tego, co mówisz, ale przede wszystkim tego, co robisz. W wojskach specjalnych, ale też w innych organizacjach, w których poziom ekspercki członków jest bardzo wysoki, szczególnie istotne są wiedza i osobiste doświadczenie.

Dlatego też ważne dla mnie było pozytywne ukończenie selekcji. Prawdę mówiąc, nie przygotowywałem się do niej szczególnie. Byłem wysportowanym i bardzo zmotywowanym dwudziestosiedmioletnim mężczyzną. W Pułku Specjalnym często odbywaliśmy wielokilometrowe marsze na orientację, zarówno w dzień, jak i w nocy. Las był naszym drugim domem, czuliśmy się w nim bardzo swobodnie, niezależnie od pory roku. Jednak selekcja, jaką miałem przejść, pozostanie na zawsze w mojej pamięci. Zbiórka kandydatów na lublinieckim stadionie, dokonanie formalności i od razu pierwsze zadanie: bieg na dystansie 3000 metrów. W tamtym czasie biegałem stosunkowo szybko, nie miałem więc problemów ze zmieszczeniem się w przewidzianym na ocenę bardzo dobrą czasie 12 minut. Po biegu przemieściliśmy się w kierunku Czarnego Lasu, gdzie znajdował się tor sprawnościowy „francuz” o długości 410 metrów. Tor ten,

wymyślony pierwotnie na potrzeby legii cudzoziemskiej, bardzo dobrze sprawdzał się również jako weryfikacja sprawności i wytrzymałości żołnierza wojsk specjalnych. Ściany z łańcuchów, druty kolczaste, pod którymi trzeba było się czołgać, płoty, które trzeba przeskoczyć, betonowe rowy i w połowie toru wysoka kładka, którą trzeba było pokonać góra, nie dotykając przy tym metalowych części przeszkody. To wszystko sprawiało, że trzeba było wykrzesać z siebie niezwykle pokłady energii, aby przebiec go jak najszybciej. Piaszczysta nawierzchnia toru dodatkowo utrudniała zadanie. Biegłem bardzo sprawnie, pokonując metodycznie wszystkie przeszkody. Czułem piasek w ustach i żar w płucach, ale wiedziałem, że z każdym metrem zbliżam się do mety. Kiedy do niej dobiegłem, szczęśliwy jak maratończyk po ukończonym biegu, padłem na ziemię.

Krótki odpoczynek i kolejna konkurencja – pływanie. Całą grupą przemieściliśmy się nad staw Posmyk, który leży w centrum rozległych Lasów Lublinieckich, w turystyczno-wypoczynkowej dzielnicy Lublińca o nazwie Kokotek. Był ciepły październikowy dzień, jednak woda o tej porze roku była po prostu zimna. Naszym zadaniem było przepłynięcie 50 metrów, w mundurach, w jak najkrótszym czasie. Każdy z nas przed startem zanurzał się na chwilę w lodowatej wodzie, aby przyzwycząić organizm do temperatury. Niektórzy żołnierze już na tym etapie rezygnowali, a tym samym odpadali z selekcji. Przyszła moja kolej. Skoczyłem do wody i chciałem jak zwykle przepłynąć cały dystans moim ulubionym stylem, czyli kraulem, jednak kiedy zanurzyłem głowę, okazało się, że zimna woda tak obkurcza naczynia krwionośne, że powoduje potężny ból głowy. Natychmiast zmieniłem taktykę i wynurzyłem głowę. Taki sposób był może mniej stylowy i efektywny, ale za to pozwolił mi płynąć dalej. Mundur, który miałem na sobie, dodatkowo obciążał i spowalniał ruchy. W takich trudnych chwilach skupiam się zawsze na tym, by myśleć, że jest to zadanie, które trzeba wykonać jak najlepiej. Daje mi to potężną dawkę siły i energii. Zadaniowe podejście jest charakterystyczne dla ludzi, którzy potrafią pokonać samych siebie i przekraczają kolejne granice wytrzymałości. W takich sytuacjach trzeba maksymalnie skoncentrować się na zadaniu i wyłączyć wewnętrznego krytyka, który podpowiada ci, abyś tego nie robił, bo nie dasz rady. Dasz radę, tak samo jak ja dałem. Dopłynąłem i szczęśliwy wyszedłem na pomost. Zaliczyłem etap sprawnościowy. Teraz czekał mnie dużo trudniejszy – górski. To właśnie na tym etapie miałem przekonać się, jak ważna jest współpraca w grupie i umiejętność rozkładania sił w czasie, a co najważniejsze, jak daleko mogę przesunąć granicę swojej wytrzymałości psychofizycznej.

Etap górski rozpoczął się w jednym z najpiękniejszych rejonów Polski – w Kotlinie Kłodzkiej, a konkretnie w Górach Stołowych. Ta przepiękna kraina geograficzna leży w Sudetach. Znałem ją już wtedy bardzo dobrze, ponieważ

wielokrotnie brałem udział w szkoleniach narciarskich czy wspinaczkowych w tych okolicach, gdy byłem jeszcze w szkole wojskowej, a potem w 1. Pułku Specjalnym. Jednak tym razem miałem poznać ją z zupełnie innej perspektywy.

W tej selekcji wszyscy znaliśmy się bardzo dobrze. Byliśmy żołnierzami z tej samej jednostki, co więcej, instruktorzy z selekcji również byli żołnierzami naszej jednostki. Domyślałem się, jak musiało im być trudno egzaminować i odrzucać kolejnych kandydatów spośród nas, tym bardziej że większość z nich sama nigdy nie przeszła selekcji. Takie dostali zadanie i robili, co mogli, aby rzetelnie je wykonać. Dzisiaj z perspektywy moich doświadczeń szanuję ich profesjonalne podejście. Zapamiętałem szczególnie Alka, niezwykle energicznego i kreatywnego żołnierza, który każde zadanie wykonywał z wielkim poświęceniem.

Zebraliśmy się wszyscy przed dobrze mi znanym budynkiem Ośrodka Szkolenia Piechoty Górskiej „Jodła”, tak zwaną Ekierką. Instruktorzy ustawili nas na zbiorce i rozdali racje żywnościowe na pięć kolejnych dni. W tamtym czasie były to głównie konserwy, suchary saperskie, cukierki owocowe oraz skondensowane mleko w tubce. Było tego naprawdę bardzo dużo i musieliśmy szybko dokonać wyboru, co jest najbardziej potrzebne. Jak uzupełnić racje tak, aby zabrać jak najmniejszą ilość najbardziej wartościowego jedzenia? Ułożyłem wszystko na trawie. Wyciągnąłem torebki foliowe i zacząłem samodzielnie komponować racje. Wiedziałem, że muszę uzupełnić olbrzymi wydatek energetyczny, który będę miał każdego dnia. Jednocześnie wybierałem żywność, która szybko się wchłania i daje mnóstwo energii na długi czas. Pasztet wojskowy może nie był smaczny, ale szybko się trawił, dając dużo energii, i nie obciążał przy tym organizmu, mleko skondensowane to mnóstwo węglowodanów w postaci cukru, mielonka drobiowa dostarczała białka, suchary – węglowodanów, cukierki owocowe dawały energię, ale przede wszystkim uzupełniały endorfiny podczas słabszych momentów w czasie kryzysu, który dopada każdego w czasie ekstremalnego wysiłku.

Jednak najważniejsza w tym wszystkim była woda. To ona zapewniała przeżycie. Możesz pokonywać kolejne kilometry głodny, jednak odwodniony daleko nie zajdziesz. Wiedziałem, że nie ma możliwości zabrania wody na wszystkie dni, postanowiłem więc spakować dwie 1,5-litrowe butelki oraz amerykańską plastikową manierkę M1961, która od dłuższego czasu była nieodzownym elementem mojego wyposażenia i mogła mi posłużyć do nabierania wody. Znałem te tereny i wiedziałem, że są bogate w czyste górskie źródła, w których płynęła niezwykle smaczna woda. Oprócz tego spakowałem bawełnianą bieliznę na zmianę, ciepłą odzież na noc, wojskową kurtkę i spodnie z goreteksu oraz drugie buty na zmianę. Wojskowy plecak Alpinusa był naprawdę ciężki, a dodatkowo dźwigałem dwuosobowy namiot, pod którym miałem spać przez

kolejne dni. Dogadałem się z moim kumplem Adasiem, który był zapaśnikiem i miłośnikiem sztuk walki (trenowaliśmy razem judo jeszcze w szkole wojskowej), że podzielimy się namiotem: ja zabrałem płachtę, a on stelaż. Było to dość ryzykowne, jednak podjęliśmy to ryzyko i wystartowaliśmy.

Pierwsze dni to głównie próba zniechęcenia psychicznego. Nieustanne sprawdziany, bieganie określonych odcinków, długie marsze, krótkie spanie. Nie wiedzieliśmy, kiedy nastąpi koniec zadania, i musieliśmy cały czas być przygotowani na kolejne wyzwania. Szybko doszliśmy z Adamem do wprawy w rozkładaniu i składaniu namiotu, który zapewniał nam wygodne jak na te warunki spanie. Gorzej było z miejscem na biwakowanie, ponieważ instruktorzy zwykle wybierali bardzo niewygodne strome zbocza i tam mieliśmy się rozbić. Szybko zauważyłem jednak pewną prawidłowość, a mianowicie, że kolejność, w jakiej kończyliśmy dany dzień, dawała dobre albo złe miejsce biwakowe. Dlatego chociażby z tego powodu warto było każdego dnia walczyć o jak najlepszą lokatę. Zapamiętałem szczególnie jedną noc, kiedy padał ulewny deszcz i wiał ostry górski wiatr. Wtedy obydwaj doceniliśmy komfort naszego małego namiotu, chociaż były momenty, że o mało go nie związało razem z nami.

Miałem świadomość, że każdy następny dzień przybliży mnie do końca selekcji, nie wiedziałem jednak, ile dni jeszcze przede mną. Przez całą selekcję nie wolno nam było mieć zegarków, dlatego nie wiedzieliśmy, która jest godzina i jak długo już idziemy. Każdego dnia wstawałem niezwykle obolały, z potężnymi zakwasami, a do tego miałem ogromne pęcherze na stopach, które w nocy przebijałem igłą i przeciągałem przez nie nitkę, której zadaniem było odprowadzenie płynu, co miało spowodować szybsze gojenie. Rano potrzebowałem kilku kilometrów rozruchu, aby zapomnieć o bólu, który mi towarzyszył przy starcie. Adam był bardzo pozytywną osobą, motywowaliśmy się nawzajem każdego dnia. Nawet kiedy byliśmy potwornie zmęczeni, zawsze znajdowaliśmy wieczorem czas, aby chwilę porozmawiać.

Z biegiem dni odpadało coraz więcej chłopaków. Jedni rezygnowali z powodu kontuzji, inni pogubili się na trasach i nie dotarli do celu. Zaczynała się walka z samym sobą. Kręte, niekończące się górskie drogi złamały psychę niejednemu twardemu facetowi. Jednym z najgorszych odcinków był wielokilometrowy marsz na azymut. Nic w tym szczególnego, jednak część drogi prowadziła torowiskiem i trzeba było iść po kamieniach kolejowych. Każdy, kto kiedykolwiek po nich szedł, wie, jakie to nieprzyjemne. Wielu z nas miało rany na stopach. Na tym etapie też odpadło kilku chłopaków.

Ostatni dzień to marsz przez szczyty górskie. Moje nogi, choć bardzo spuchnięte, dzielnie mnie niosły. Popijając źródlaną wodę z górskich strumieni z mojej amerykańskiej manierki, zbliżałem się coraz bardziej do mety. Jednak

ciągle nie wiedziałem, kiedy nastąpi koniec tego marszu. Wyobrażałem sobie, że to już za następnym zakrętem – i kolejnym, i jeszcze następnym... Wreszcie zauważyłem, że ścieżka idzie bezpośrednio w dół do wioski i już z daleka widać asfaltową drogę. Doszedłem do rzeki, a tam czekał instruktor, który kazał mi wejść do wody. Kiedy zanurzyłem stopy w chłodnej górskiej rzece, poczułem się cudownie. Jednak ciągle nie wiedziałem, co dalej. Przeszedłem może jeszcze ze 150 metrów, kiedy za zakrętem moim oczom ukazał się wojskowy autobus, którym przyjechaliśmy na selekcję. Tak, to była meta selekcji! Potwornie zmęczony, ale szczęśliwy wszedłem do środka. Chwilę po mnie do mety dotarł również Adaś. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że wkrótce przede mną kolejna selekcja – tym razem do jednostki GROM.

Postawiony cel motywuje nas do działania. Gdy wierzysz w to, co robisz, wiesz, że musisz wygrać. Po selekcji miałem bardzo spuchnięte nogi, prawie do kolan. Leczyłem je przez kilka tygodni, pęcherze jeszcze długo schodziły, razem ze skórą, ale wiedziałem, że to tylko kontuzje, które prędzej czy później miną. Cel był zrealizowany. Jednak nie wszystkim chłopakom udało się przejść selekcję za pierwszym razem. Część podchodziła do niej nawet czterokrotnie, zanim wreszcie ukończyła ją z pozytywnym wynikiem. Oni również pokazali, jak bardzo są zdeterminowani, aby osiągnąć cel. Dlatego jeśli masz w swoim otoczeniu osoby, które walczą o swoje marzenia, pozwól im je realizować, dopinguj, zagrzewaj do walki, motywuj, a oni dadzą z siebie wszystko. Zwykłe ciepłe słowo wypowiedziane szczerze daje o wiele więcej energii niż sztucznie powtarzane puste hasła.



Piotr i Paweł

W jednostce komandosów wszystko zaczęło się zmieniać. Już nie było kompanii specjalnych, tylko zespoły bojowe, z dowódców grup specjalnych zmieniliśmy się w dowódców sekcji bojowych. Od tej pory pododdziały bojowe kompletowane były wyłącznie w drodze selekcji i spośród żołnierzy zawodowych. W tym samym czasie wydzielony pododdział jednostki wziął udział w operacji Amber Fox w Macedonii. Na tę misję wyjechało 24 żołnierzy, którzy pełnili służbę, należąc do Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Macedonii. Odpowiadali za strefę w okolicach miejscowości Kumanowo i Lipkowo. Na tych właśnie terenach trwały walki między Macedończykami a Albańczykami. Głównym zadaniem tych żołnierzy była ochrona VIP-ów, w tym obserwatorów międzynarodowych, ale mieli też być w gotowości do skrytego patrolowania terenu, wyznaczania oraz zabezpieczania lądowisk dla śmigłowców oraz odbijania zakładników. Współpracowali z żołnierzami z Holandii, Francji, Grecji oraz Niemiec. Podczas drugiej zmiany kontyngentu 4 marca 2003 roku doszło do tragedii. Stało się to w okolicach Kumanowa, podczas patrolu, w którym jechało czterech żołnierzy i tłumaczka. Chłopaki, dbając o dobre relacje z miejscowymi, zabrały dodatkowo na stopa macedońskie małżeństwo. Nagle ich honker wjechał na dwie ułożone na sobie miny przeciwpancerne, które eksplodowały pod lewym tylnym kołem. Samochód przeleciał kilkanaście metrów i uderzył prawym bokiem o ziemię. Było już po zmroku. Potężny wybuch wyrzucił dwóch żołnierzy siedzących z tyłu kilkadziesiąt metrów dalej. Piotr i Paweł leżeli nieprzytomni. Wszystkimi rannymi zajął się kierowca i paramedyk Jogi. Niestety chłopaki zmarły kilkadziesiąt minut po eksplozji. Pozostali ranni przeżyli. Z tej dwójki szczególnie pamiętam Piotra Mikułowskiego, ponieważ wcześniej był moim żołnierzem na kompanii specjalnej. Dobrze zbudowany, zawsze uśmiechnięty, bystry, pełen optymizmu.

Kiedy dotarła do nas ta tragiczna wiadomość, mój zespół trenował taktykę i strzelanie na poligonie w Wędrzynie. Przerwaliśmy ćwiczenia i udaliśmy się autobusem do jednostki, aby z honorami ceremoniału wojskowego przywitać zwłoki naszych żołnierzy na lotniskach w Dęblinie i Malborku. Potem jeszcze

wiele razy brałem udział w takich smutnych uroczystościach, zarówno polskich, jak i zagranicznych żołnierzy zmarłych na misjach w Iraku i Afganistanie.



Sekcja bojowa



Zespół Bojowy B, do którego trafiłem po selekcji, był dla mnie najlepszym miejscem w Pułku Komandosów, jakie mogłem sobie w tamtym czasie wyobrazić. Składał się z dwóch grup bojowych, jedna o specjalności górskiej, a druga spadochronowej. Starannie wyselekcjonowani żołnierze stanowili elitę jednostki. Wysportowani, zmotywowani, pełni energii do działania. Zostałem dowódcą sekcji w grupie spadochronowej. Dowodziłem pięcioma komandosami o nieprzeciętnych cechach charakteru. Każdy z nich miał swoją specjalizację: moim zastępcą był Horbo, kierowcą i paramedycznym Kornik, pirotechnikiem Adams, specjalistą od broni Diabeł, a łącznościowcem Lopez. Ten ostatni był z nich wszystkich najbardziej niepokorny, i bardzo charakterny. Każdy z nich wносił coś szczególnego do sekcji.

Byłem bardzo wymagający wobec mojej sekcji, ale oni również wymagali wiele ode mnie. Nasze relacje były bardzo bliskie. Spędzaliśmy razem mnóstwo czasu: poligony, kursy, ale również spotkania towarzyskie, które jeszcze bardziej scalały nas jako zespół. Wiedzieliśmy, że możemy na sobie polegać w każdej sytuacji. Praca z ludźmi o silnych osobowościach jest wyzwaniem, ale tylko tacy

nadają się do działania w organizacji, w której wymagany jest bardzo wysoki poziom. Szkoliliśmy się bardzo intensywnie: skoki spadochronowe, wspinaczka wysokogórska, taktyka działań specjalnych, strzelanie. To wszystko nas spajało i motywowało do działania. Byłem naprawdę dumny ze swoich chłopaków, które wyróżniały się na tle całego zespołu.



Ćwiczenia CSAR z komandosami amerykańskich sił specjalnych, Kraków, 2002 rok

Pamiętam wyjazd na poligon na Osowcu zaraz na początku naszej wspólnej służby. Twierdza Osowiec to miejsce usytuowane w zwięzieniu bagien biebrzańskich. Wybudowana pod koniec XIX wieku na polecenie cara Aleksandra II miała stanowić osłonę kolei i szlaku komunikacyjnego Białystok–Królewiec. Twierdza jako jedna z nielicznych nigdy nie została zdobyta. To były przygotowane z dużym rozmachem ćwiczenia z wykorzystaniem środków lotniczych. Moja sekcja dostała zadanie odnalezienia strąconego pilota zgodnie z procedurami *combat search and rescue* (CSAR: poszukiwanie i ratowanie w walce, polegające na odnalezieniu personelu lotniczego lub żołnierzy w niebezpieczeństwie w strefie działań bojowych, zapewnieniu im pomocy i dostarczeniu ich w bezpieczne miejsce). Byliśmy sekcją bojową, która została przeszkolona przez amerykańskich żołnierzy sił specjalnych po 11 września 2001 roku do wykonywania tego typu zadań. Wcześniej trenowaliśmy z pilotami z 49. Pułku Śmigłowców Bojowych z Pruszcza Gdańskiego. Byli świetni. Mieli niesamowite umiejętności, a wielu z nich było istnymi mistrzami akrobacji. Trenowaliśmy wspólnie na terenie Lasów Lublinieckich, lotniska w Rudnikach, w okolicach Pruszcza Gdańskiego, jak

również na wojskowych poligonach. Uczyliśmy pilotów i personel lotniczy survivalu i przetrwania w niewoli, co mogło się okazać niezwykle potrzebne w wypadku zestrzelenia samolotu i znalezienia się na terenie wroga.



Ćwiczenia CSAR tuż przed przerzutem w rejon działania

Zadanie, które otrzymałem na tych ćwiczeniach, było na pierwszy rzut oka proste – przerzut śmigłowcem w rejon pozostawienia, przemarsz do rejonu działania, odnalezienie strąconego pilota, odebranie z wyznaczonego miejsca, powrót do bazy. Z centrum dowodzenia dostałem odpowiednie koordynaty oraz dane do poszukiwania pilota. Spakowaliśmy sprzęt i czekaliśmy na przerzut. Tym razem jednak nie wykonywaliśmy ćwiczenia z naszymi zaprzyjaźnionymi pilotami z Pruszcza Gdańskiego. Tego dnia lecieliśmy śmigłowcami wielozadaniowymi PZL W-3 Sokół. Szybka odprawa z pilotami, potwierdzenie współrzędnych lądowiska, wsiadamy na pokład i lecimy. Jak zwykle na każdą akcję zabieraliśmy mnóstwo specjalistycznego wyposażenia, do tego dochodziły racje żywnościowe, woda, broń, radiostacje i amunicja. Wszystko razem było bardzo ciężkie.

Lecieliśmy wzdłuż biebrzańskich mokradeł, była piękna, złota polska jesień, cudowne widoki – niezliczone ilości ptaków, łosie i inne zwierzęta, które można było dostrzec z pokładu śmigłowca. Moją uwagę przykuło jednak miejsce lądowania. Pilot pomylił kwadrat lądowania i wysadził nas w samym środku bagien. Wyszliśmy ze śmigłowca i od razu wiadomo było, że coś jest nie tak. Jak tylko usiedliśmy w ubezpieczeniu okrężnym, wyciągnąłem mapę i porównałem ze współrzędnymi z GPS, żeby ustalić, gdzie jesteśmy. W tamtym czasie GPS nie był standardem, miałem jednak to szczęście, że pierwszy profesjonalny GPS dostałem od żołnierza amerykańskich sił specjalnych, który szkolił nas właśnie z procedur CSAR. Nie wyobrażał sobie, aby takie zadania realizować bez tego przydatnego narzędzia.

Okazało się, że jesteśmy w zupełnie innym miejscu i niemożliwe, abyśmy dotarli z całym wyposażeniem do celu. Dookoła bagna, woda, a dodatkowo chmary komarów, które zaczęły nas dosłownie pożerać. Zapytałem Lopeza, czy ma łączność z pilotami, którzy nas pozostawili. Odpowiedział, że ma. To była dobra wiadomość. Teraz pytanie, kto podejmie decyzję o zmianie scenariusza ćwiczenia i po nas przyleci. Próbowałem nawiązać kontakt z centrum dowodzenia, jednak bez rezultatu. Wiedzieliśmy, że jeśli piloci nie przylecą po nas do zachodu słońca, to zostaniemy na tych bagnach do rana. Powoli zaczęliśmy zapadać się w wodzie i błocie, jednocześnie cały czas próbując nawiązać łączność z centrum dowodzenia. Tutaj świetnie sprawdził się Lopez, który robił, co mógł, aby to się udało. W końcu podjąłem decyzję, aby samodzielnie wezwać śmigłowiec, który przetransportuje nas w wyznaczone miejsce.



Podczas podejścia do obiektu

– Lopez, wołaj śmigło – powiedziałem.

Na szczęście był stosunkowo niedaleko, ponieważ desantowało inną sekcję specjalną na wyznaczony obiekt. Byliśmy w mocnym deficycie czasowym, jednak gdy na horyzoncie ujrzeliśmy sylwetkę śmigłowca w świetle zachodzącego słońca, uznaliśmy, że jest jeszcze szansa na realizację zadania.

– Horbo, zacznij wektorować – poleciłem.

Wektorowanie polegało na namierzaniu na siebie śmigłowca za pomocą kompasu. Wektorowanie śmigłowca powinno rozpocząć się po pozytywnej identyfikacji rozbitka przez jego załogę. Odczytujemy na kompasie kurs przeciwny o 180 stopni. Odczytany w ten sposób kurs należy podać załodze. Był coraz bliżej. Już na podejściu poprosiłem, aby pilot przekazał do bazy informację o całej sytuacji. Pilot podleciał możliwie najbliżej nas, jednak ze względu na warunki nie mógł przyziemić. Po kolei wrzucaliśmy nasz sprzęt na pokład śmigłowca, aby na samym końcu samemu wdrapać się do środka. Jako ostatni „zamknąłem bramkę” i wszedłem na pokład. Tym razem sam pilnowałem trasy i poprosiłem, aby pilot wysadził nas możliwie blisko celu.

Zbliżał się wieczór, warunki pogodowe znacznie się pogorszyły. Nad otaczającymi nas mokradłami zaczęła pojawiać się coraz większa, zawieszona mgła. Temperatura spadała, a nasz rozbitek mógł być ranny. Zaczęliśmy marsz ubezpieczony. Diabeł z karabinem maszynowym PK na czele, za nim nawigator Horbo, paramedyk Kornik, ja, Lopez i zamykający szyk miner Adams. Lopez zameldował przez radio, że osiągnęliśmy miejsce lądowania i przemieszczamy się po rozbitka. Zapowiadała się długa noc.

Obiekt, do którego zmierzaliśmy, to magazyny wojskowe, które znajdowały się pod stałą ochroną i dodatkowo były otoczone wysokim płotem. Po dwudziestu minutach marszu zrobiliśmy dziesięciominutowy postój. Ponieważ byliśmy już bardzo blisko obiektu, zaczęliśmy nasłuchiwać ewentualnych strażników czy pozoracji, która również działała na obiekcie. Było cicho, jednak tej nocy gęste chmury prawie dotykały drzew, przez co ciągle mieliśmy kłopot z łapaniem satelitów. Nasz GPS nie mógł precyzyjnie namierzyć rozbitka. Ponieważ płot był wysoki, musieliśmy znaleźć dogodny punkt, aby wejść na teren obiektu. Adams już od dłuższego czasu szukał takiego punktu i wreszcie mówi do mnie:

– Puwał, tu przechodzimy.

Rzeczywiście miejsce, które znalazł, było na tyle dogodne, że mogliśmy z naszymi ciężkimi plecakami pokonać górę ogrodzenia.

Jeśli grupa poszukiwawcza nie namierzy rozbitka bezpośrednio po opuszczeniu śmigłowca, radiotelegrafista wywołuje go przez radiostację. Pyta o jego położenie, a rozbitek podaje je hasłem położenia miejsca. Wtedy dowódca odkodowuje jego lokalizację i następnie grupa udaje się w kierunku rozbitka. Tak też zrobiliśmy.

Lopez wywołał przez radio rozbitka i po odkodowaniu położenia zaczęliśmy iść w jego kierunku. Niestety rozbitek, aby uniknąć złapania przez pozorację, schował się w gęstym lesie, gdzieś między magazynami. Mieliśmy poważny problem z jego odnalezieniem. Krążyliśmy w bardzo bliskiej odległości, jednak nadal nie mogliśmy go namierzyć. Dodatkowo ciągle traciliśmy zasięg satelitów. Powoli zaczynało świtać. Nagle w unoszącej się między drzewami mgłę zauważyliśmy sylwetkę człowieka. To był nasz rozbitek. W takiej sytuacji dowódca, łącznościowiec i miner mają za zadanie identyfikację rozbitka, a pozostali ubezpieczają w okolicy. Po pozytywnej identyfikacji udaliśmy się z rozbitkiem w miejsce przeczekania. Paramedyk sprawdził stan zdrowia naszego poszukiwanego. Był wyziębiony, ale sprawny fizycznie. Teraz musieliśmy przemieścić się do punktu odebrania. W oczekiwaniu na śmigłowca żartowaliśmy sobie z całej sytuacji, jednak już wtedy wiedziałem, że nie będzie łatwo. Zmieniłem scenariusz i samodzielnie podjąłem decyzję o naszym transporcie.

Po wylądowaniu w bazie od razu zostałem wezwany na punkt dowodzenia, gdzie usłyszałem na wstępie:

– Puwalski, urządziłeś sobie polatanko?

– Tak, panie majorze, podjąłem taką decyzję – przyznałem kierownikowi ćwiczenia. Następnie szczegółowo wyjaśniłem całą sytuację.

Zapanowała niezręczna cisza. W końcu kierownik ćwiczenia się odezwał:

– Puwalski, ty zawsze musisz zrobić po swojemu.

Podejmowanie decyzji jest kluczowe dla działania w każdej organizacji. Dobrze zmotywowany zespół ekspercki, a takim właśnie był mój team, jest w stanie dodatkowo utwierdzić w słuszności podejmowanych decyzji. Wszyscy byliśmy zgodni, że nie możemy czekać, trzeba było szybko działać. Niestety nie wszyscy mają odwagę podejmować niewygodne decyzje, przez które narażą się przełożonym. W tym konkretnym wypadku mogło skończyć się to naprawdę źle i akcja poszukiwawcza mogła objąć moją sekcję, a nie „straconego pilota”, jak było w scenariuszu ćwiczenia. Już niedługo miało się okazać, że na misji w Iraku będę musiał podejmować decyzje czasem niewygodne i trudne, ale zawsze zgodne z moim kodeksem honorowym i mając na celu dobro moich chłopaków.



Misja Irak

Piękne, upalne lato 2003 roku. Właśnie wróciłem z urlopu, kiedy dowiedziałem się, że wylatujemy do Iraku na naszą pierwszą misję bojową. Siedzieliśmy z chłopakami niedaleko jednostki, w ogródku klimatycznej restauracji, pod parasolami, które dawały chłód i ukojenie, i popijaliśmy zimne piwko. Wiedziałem, że będę dowodził całą grupą bojową, czyli czterema sekcjami. W mojej grupie znaleźli się między innymi doświadczeni dowódcy: Heniu, Wiśnia i Jacko. Wszyscy kończyliśmy tę samą szkołę, jednak żaden z nas nie miał jeszcze doświadczenia bojowego. Zналиśmy się od wielu lat i wiedziałem, że mogę na nich liczyć, ponadto mieli naprawdę zgranych chłopaków w swoich sekcjach.

Zaczęły się przygotowania do wyjazdu. Serce do walki każdy z nas miał, o czym mieliśmy się wkrótce przekonać, jednak sprzęt i uzbrojenie pozostawiały wiele do życzenia. Dostaliśmy kamizelki taktyczne Lubawa oraz kamizelki kuloodporne, które miały płytę balistyczną tylko z przodu. Żartowaliśmy między sobą, że polski żołnierz nigdy nie odwraca się plecami do przeciwnika. Dodatkowo były one przeznaczone raczej dla wartowników, ponieważ wysokie kołnierze, naramienniki i dodatkowe doczepiane elementy mocno ograniczały swobodę ruchów. Żołnierze wojsk specjalnych muszą być bardzo mobilni, dlatego sprzęt, którego używają, jest pozbawiony takich części. Pistolety P-83 9 mm Makarow, karabinki 5,56 wz. 96 Beryl oraz karabiny maszynowe 7,62 mm PK/PKS, wszystko bez optoelektroniki. Nie mieliśmy również noktowizorów, bez których praca na współczesnym polu walki w nocy jest mocno ograniczona. Wszyscy zdawaliśmy sobie doskonale sprawę, jaki sprzęt posiadamy, jednak robiliśmy co w naszej mocy, aby jak najlepiej przygotować się do naszej pierwszej misji. Odbywaliśmy również szkolenia – dużo rozmów o kulturze Bliskiego Wschodu, mało konkretów na temat możliwych zagrożeń oraz ich neutralizacji. Na tym etapie nie zналиśmy dokładnie naszych zadań. Przygotowywaliśmy się do operacji specjalnych, ochrony VIP, akcji bezpośrednich, CSAR oraz konwojowania i patrolowania.

Już wkrótce mieliśmy znaleźć się w składzie Samodzielnej Grupy Powietrzno-Szturmowej jako kompania specjalna. Jednak zanim to nastąpiło, czekał nas

dwutygodniowy obóz szkoleniowo-przygotowawczy w Stargardzie (wtedy jeszcze Szczecińskim). To jedno z najstarszych miast Polski, położone niedaleko Szczecina na Równinie Pyrzycko-Stargardzkiej, nad rzeką Iną. Podczas II wojny światowej uległo poważnym zniszczeniom, zostało jednak w dużej mierze odbudowane. Ma wiele pięknych zabytków, znajduje się tam między innymi Rynek Staromiejski z Kolegiatą Najświętszej Marii Panny Królowej Świata, Bramą Wałową czy Basztą Tkaczy. Jednak nas głównie interesowały tak zwane czerwone i białe koszary, nazywane tak od koloru cegieł, z których były zbudowane. Nasza grupa stacjonowała w koszarach białych i tu na miejscowym poligonie trenowaliśmy procedury patrolowania, zatrzymywania i konwojowania. Mieliśmy spokój, co oznaczało, że nie „odwiedzało” nas zbyt wielu kontrolujących. Pamiętam jednak szczególnie jednego generała, który przyjechał na wizytację – nie spodobał mu się nasz szyk patrolowy. Był według niego nierówny, a poza tym, a właściwie co gorsza, mieliśmy nieregularne wyposażenie. Już wtedy kupowaliśmy sobie własne kamizelki, rękawiczki taktyczne, plecaki, camelbaki i inne drobne elementy wyposażenia, które były niezbędne w warunkach pustynnych.

Wieczorami trenowaliśmy w jednostkowej siłowni, biegaliśmy lub spędzaliśmy czas w naszej ulubionej dyskotece Mango. Pewnego wieczoru, gdy siedzieliśmy tam i piliśmy drinki, zabrakło nam naszego ulubionego utworu Krzysztofa Krawczyka *To, co dał nam świat*. Postanowiliśmy szybko to nadrobić i chłopaki zamówiły taksówkę. Kiedy samochód podjechał, kierowca zapytał:

– Gdzie jedziemy?

– Po Krzysia, panie kierowco, do białych koszar – odpowiedział Wałek.

Kierowca uśmiechnął się sympatycznie, a ponieważ woził nas wielokrotnie, podjechał bezpośrednio pod biuro przepustek.

– Proszę poczekać – poprosił Wałek. – Zaraz wracam.

Po kilku minutach Wałek wrócił i mówi:

– Może pan jechać.

– A gdzie Krzyś? Nie chce z wami jechać? – zapytał nieśmiało kierowca.

Wtedy Wałek wyciągnął z kieszeni płytę Krzysztofa Krawczyka i mówi:

– Nie no, jedzie z nami.

Bardzo szybko minęły kolejne dni przygotowań i nawet nie spostrzegłem się, kiedy staliśmy na płycie lotniska i pakowaliśmy się do dużego amerykańskiego samolotu pasażerskiego, którym mieliśmy za chwilę lecieć do Kuwejtu. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, jakie przygody czekają nas w tym zupełnie innym kulturowo świecie: nowe doświadczenia, pierwsze akcje bojowe i w tym ta najważniejsza dla mnie, która mogła zmienić historię całego polskiego kontyngentu.

Lot upłynął bardzo szybko i komfortowo. Stewardesy na pokładzie były bardzo miłe, ciągle się uśmiechały i troskliwie się nami opiekowały. Serwowały posiłki oraz zimne i ciepłe napoje. Pewnie nieraz leciały z żołnierzami i wiedziały, że część z nas może już nigdy nie wrócić do domu.



Pierwszego dnia po wylądowaniu w bazie na pustyni w Kuwejcie

Wylądowaliśmy w Kuwejcie. Był środek nocy. Wyszliśmy z samolotu i uderzyło w nas gorące powietrze. Na początku łudziłem się, że stoję przy silniku, lecz szybko przekonałem się, że to po prostu klimat Kuwejtu. Sprawnie przemieściliśmy się podstawionymi autokarami do amerykańskiej bazy wojskowej na pustyni. Pierwsze dni były ciężkie: zamieszkaliśmy w namiocie, w którym zepsuła się klimatyzacja, temperatura wewnątrz dochodziła do 50 stopni. W dzień uciekaliśmy do stołówki (DFAC, difak), aby choć trochę się ochłodzić i wypić coś zimnego. To była pierwsza poważna misja bojowa polskiego wojska we współpracy z koalicją międzynarodową na czele ze Stanami Zjednoczonymi.

Niestety typowo wojskowa „kultura organizacyjna” rażąco odstawała od standardów traktowania żołnierzy amerykańskich czy brytyjskich. Absurdalne przepisy wojskowe, z którymi mieliśmy do czynienia, sprawiały, że powstawały tak niepotrzebne funkcje jak na przykład sierżant owoc, którego głównym zadaniem było wydzielanie polskim żołnierzom po jednym owocu. Na szczęście szef firmy, która prowadziła difak, szybko go przepędził.

Ciągle słyszeliśmy, że to misja stabilizacyjna, i takie było na początku podejście niektórych żołnierzy. Korzystając z każdej wolnej chwili, ulepszałyśmy nasze wyposażenie, malowałyśmy broń i trenowałyśmy procedury patrolowania. Temperatura była potworna, codziennie amerykański MEDEVAC zabierał do szpitala kogoś z udarem słonecznym. My też cierpieliśmy w nieklimatyzowanym namiocie, odparzając się od hektolitrów potu. Wkrótce dostaliśmy informację o przerzucie do Iraku. Szykowaliśmy się do transportu do strefy działań wojennych, jednak w bazie nie było czuć takiej atmosfery, wręcz przeciwnie – miałem wrażenie, że większość żołnierzy (oprócz nas) nastawia się na spokojne przedłużone „wakacje”. Rzeczywistość jednak miała być zupełnie inna i niedługo później pojawiły się pierwsze ofiary śmiertelne.

O świcie podjechały autobusy i zapakowaliśmy się do środka. Wydawało się to trochę dziwne – w końcu jechaliśmy do strefy działań wojennych. Pomyślałem, że do granicy z Irakiem będziemy przemieszczać się zwyczajnie, jak w Polsce, a następnie w silnej eskorcie z powietrza i ziemi dojedziemy do miejsca docelowego, czyli bazy w Al-Kut. Jakże byłem naiwny. Ruszył duży konwój autokarowy. Na granicy z Irakiem wysiedliśmy i ku mojemu wielkiemu zdziwieniu zobaczyłem, że ochraniani jesteśmy przez dwie trzyosobowe amerykańskie załogi w hummerach. Dowódca naszej kompanii, naginając zalecenia polskiego dowództwa PKW, już wcześniej rozkazał wydać nam całą amunicję, którą załadowaliśmy we wszystkie magazynki, a resztę zabraliśmy do autobusu.

Droga prowadziła przez pustynię. Co jakiś czas mijaliśmy biedne irackie wioski, a w nich dzieci przy drodze proszące o wodę i jedzenie. Nie widziałem wcześniej takich smutnych obrazów. Było to dla mnie duże przeżycie. Z autokarów na zmianę prowadziliśmy obserwację 360 stopni. Jechaliśmy długo, z noclegiem w bazie pośredniej. W końcu dotarliśmy do polskiej bazy w Al-Kut. Przywitała nas Samodzielna Grupa Powietrzno-Szturmowa.

Pierwsze dni w bazie minęły na organizacji zakwaterowania. Dostaliśmy duży namiot, w którym niestety nie było łóżek, spaliśmy więc na karimatach na podłodze. Mój organizm musiał się przyzwyczaić do klimatu oraz miejscowej flory bakteryjnej. Szczególnie utkwiała mi w pamięci sytuacja, kiedy podczas rozbudowy ochrony bazy rozciągałem koncertinę, czyli drut ostrzowy, zwany też brzytwiastym, wokół naszych namiotów. Zahaczyłem o nią ręką i rozciąłem na

niewielkiej powierzchni kciuk. Bardzo szybko opanowałem krwawienie i przystąpiłem do dalszej pracy. Jednak zauważyłem, że ręka puchnie mi coraz bardziej i bardziej. Po półgodzinie dłoń była już naprawdę solidnie spuchnięta. Wtedy wreszcie poszedłem do naszego kompanijnego medyka Florka. Ten doświadczony paramedyk szybko zdiagnozował problem i podał mi stosowny antybiotyk. Tak zareagował mój organizm na pierwszy kontakt z obcą florą bakteryjną. Później na misjach wielokrotnie miałem różne skaleczenia, jednak już nigdy nie potrzebowałem tak szybkiej pomocy.



Dziecko proszące o wodę – temperatura wynosiła około 50 stopni Celsjusza

Al-Kut to około czterystutysięczne miasto, stolica prowincji Wasit we wschodnim Iraku, na Nizinie Mezopotamskiej, nad Tygrysem. Prowincja graniczy z Iranem. Mieszkańcy, dumni ze swojego pochodzenia i kultury, często nazywali siebie Persami, odwołując się do historii państwa.

Baza zajmowała bardzo duży obszar i została wybudowana jeszcze za czasów Saddama Husajna. W jej centralnym punkcie znajdowało się lotnisko z dwoma

pasami startowymi. Nie była używana od operacji Pustynna Burza w 1991 roku. W starych, rozwalających się budynkach można było znaleźć dokumenty irackich żołnierzy, które pamiętały czasy jej świetności. Oprócz nas w bazie stacjonowali żołnierze z brygady ukraińskiej oraz amerykańskiego korpusu marines. Baza była w pierwszym stadium rozbudowy, jeszcze nie było sanitariatów ani łaźni. Sikaliśmy do plastikowych rur wkopanych w ziemię, resztę spraw załatwialiśmy do wykopanego dołu. Marines byli dobrze przygotowani na wojnę z logistycznego punktu widzenia: mieli ze sobą wojskowe namiotowe łaźnie, kuchnie polowe, a nawet specjalne wojskowe pralki, które prawdopodobnie pamiętały jeszcze wojnę w Wietnamie, dzięki którym utrzymywaliśmy jako taką czystość. Od nich też dostaliśmy specjalne preparaty do impregnacji mundurów, co pozwalało nam skutecznie chronić się przed miejscowymi insektami. W bazie panowała bardzo dobra atmosfera. Posiłki jadaliśmy w prowizorycznej stołówce. Amerykańska logistyka zaczęła rozbudowywać bazę. Zespoły EOD (*explosive ordnance disposal*) pod amerykańskim dowództwem zabierały naszych minerów, którzy pomagali im w wysadzaniu pozyskanych bomb, amunicji i materiałów wybuchowych. Trenowaliśmy swoje procedury, przygotowując się do ewentualnego działania.



Początek rozbudowy bazy w Al-Kut

Pewnego gorącego dnia siedzieliśmy w namiotach podczas przerwy lunchowej. Wyszedłem na chwilę na zewnątrz i zobaczyłem dwóch polskich żołnierzy znacząco odbiegających ubiorem i wyglądem od wojskowych standardów. Okazało się, że przyjechało dwóch operatorów z GROM-u: Naval i snajper Janek. Od dłuższego czasu kręcili po bazie i nikt się nimi nie zainteresował. Nasz dowódca przechwycił ich do naszego namiotu i zaczęliśmy rozmawiać. Okazało się, że zostali wysłani do szkolenia polskich żołnierzy. To była dla nas naprawdę gratka. Chłopaki miały olbrzymie doświadczenie w operacjach bojowych przeprowadzanych wcześniej w Zatoce Perskiej i Bagdadzie. Byli pełni entuzjazmu, niezwykle zmotywowani i chętni do działania. Wydawało nam się niezrozumiałe, że nikt się nimi nie interesuje. Zaczęliśmy wspólne treningi, rozmowy o sprzęcie i pomysłach na ulepszenie naszych wozów bojowych typu tarpan. To były naprawdę dobre dni. Chłopaki uczyły nas technik operacyjnych, konwojowania, CQB (czarnej taktyki) oraz dzieliły się swoim doświadczeniem.

Solidnie przepracowaliśmy ten czas i powoli szykowaliśmy się do przerwania naszej kompanii do bazy w Babilonie.



Śp. Andrzej Adamczyk „Adams” z grupą amerykańskiego EOD

Babilon to starożytne miasto, w którym według Starego Testamentu miała być budowana olbrzymia wieża. Księga Rodzaju podaje, że w zamyśle była to budowla jednocząca całą ludzkość. Jednak nie spodobało się to Jahwe, który pomieszał języki budowniczym i powstały z tego różne narody. Współcześnie wieża Babel symbolizuje przedsięwzięcie niemożliwe do zrealizowania, chaos i dezorientację. I to właśnie w Babilonie mieściło się dowództwo Wielonarodowej Dywizji Centrum-Południe: 8500 żołnierzy z 23 państw. Polacy stanowili zdecydowaną większość, bo było nas tam prawie 2500. Po raz pierwszy w historii dowodziliśmy tak dużym międzynarodowym kontyngentem. Dywizja odpowiadała za ochronę pięciu prowincji (Babilon, Wasit, An-Nadżaf, Al-Kadisijja i Karbala), zajmujących obszar 64 058 kilometrów kwadratowych. Na jej czele stanął gen. dyw. Andrzej

Tyszkiewicz, a ja zostałem jego osobistym ochroniarzem. Moim zadaniem było dbanie o jego bezpieczeństwo podczas całej zmiany. Oczywiście oprócz tego wykonywałem inne obowiązki jako dowódca grupy bojowej, takie jak planowanie i dowodzenie konwojami, planowanie oraz organizowanie operacji specjalnych. Pan generał nie był zbyt wylewnym człowiekiem, wręcz przeciwnie, raczej powściągliwym. Dużą wagę przykładał do wyglądu swoich żołnierzy i często ich w tej kwestii napominał. Wysoki, wyprostowany, zawsze nienagannie ogolony i ubrany. Towarzyszyłem mu we wszystkich wyjazdach i spotkaniach, na które lataliśmy śmigłowcami lub jeździliśmy konwojami razem z moją kompanią. Zawsze zabierałem ze sobą jednego lub dwóch chłopaków do pomocy. Zwykle byli to Horbo i Zwierzak. Stanowiliśmy bardzo zgrany team. Adiutantem generała był mój kolega Stachu, którego poznałem na tej misji. Z wyglądu zupełnie nie przypominał stereotypowego adiutanta, za to miał wszelkie atrybuty ochroniarza – był wysoki, dobrze zbudowany, bystry, a co najważniejsze, nigdy nie przeszkadzał nam w robocie.



Baza w Babilonie – widok z pałacu Saddama Husajna



Pierwsze duże zadanie

Sytuacja kobiet w Iraku zdecydowanie odbiegała od standardów, do jakich przyzwyczajeni byliśmy w Polsce. Kultura i religia muzułmańska stawiały je w hierarchii społecznej niżej od mężczyzn i widać to było na każdym kroku. Kiedy kobiety jechały samochodami, siedziały zwykle na pace razem ze zwierzętami, a w najlepszym wypadku ściśnięte z tyłu razem z córkami. Wykonywały również ciężkie prace fizyczne. Pamiętam, że pewnego poranka siedziałem na posterunku obserwacyjnym, kiedy moją uwagę zwróciła młoda kobieta, która przyszła do gaju palmowego nieopodal swojego gospodarstwa z sierpem, żeby ścinać trawę dla zwierząt. Słońce stało jeszcze nisko nad horyzontem, a powietrze było przyjemnie chłodne. Kobieta z niezwykłą wprawą nakosiła sporo trawy, po czym cały swój urobek umieściła na rozłożonej parcianej płachcie. Musiało to być naprawdę ciężkie. Zastanawiałem się, co z tym dalej zrobi, kiedy spostrzegłem, że w jej kierunku leniwie podąża mężczyzna, prawdopodobnie jej mąż. Pomyślałem, że zabierze to wszystko do gospodarstwa, aby nakarmić zwierzęta. Podszedł do niej, coś powiedział i złapał za skrzętnie przygotowany pakunek. Kobieta ustawiła się tyłem do niego, on zaś wrzucił jej to na plecy. Kobieta aż przysiadła pod ciężarem, po czym wolno i niezdarnie ruszyła do przodu. „Wow”, pomyślałem, „dobrze że chociaż zabierze ten sierp, po który się właśnie schylił”. Nic podobnego. Mężczyzna wbił sierp w wystającą z zawiniętego pakunku trawę, po czym wolnym krokiem poszedł do domu. Tak w tamtym czasie wyglądały prawa kobiet w Iraku.

Zbliżało się jedno z największych wydarzeń od czasu upadku reżimu Saddama Husajna. Na Uniwersytecie Babilońskim nieopodal miasta Al-Hilla, znajdującym się w pobliżu ruin starożytnego Babilonu, w dniach 4–7 października 2003 roku odbyło się jedno z największych zgromadzeń kobiet w Iraku. Ponad 150 kobiet wzięło udział w konferencji „The Heartland of Iraq Women’s Conference”, zorganizowanej przez kobiety dla wolnego Iraku, przy wsparciu Amerykańskiego Kongresu Islamskiego i Fundacji Iraku oraz sponsorowane przez Biuro Inicjatyw Przemiany Międzynarodowej Agencji USA i Koalicję Tymczasową. Uczestniczki pochodziły z pięciu południowo-środkowych prowincji: Babil, Karbala, Najaf, Ad-

Diwanijja i Wasit. Zaproszono kobiety zaangażowane w zakładanie centrów i organizacji dla kobiet w tych prowincjach. Większość uczestniczek była lekarkami, prawniczkami, nauczycielkami i inżynierami. Konferencja gościła także delegacje z Basry i Kurdystanu. Celem było omówienie aspiracji kobiet w nowym Iraku, zainspirowanie ich do realizacji planów oraz określenie strategii, jak to można osiągnąć.



Tuż przed rozpoczęciem konferencji „The Heartland of Iraq – Women’s Conference”

Dostałem zadanie przygotowania wsparcia i ochrony tej konferencji. To było bardzo duże wyzwanie, bo wiedzieliśmy, że nie jest to popularny temat i możemy spodziewać się ataków zarówno na zgromadzone kobiety, jak i na sam obiekt. Przeprowadziliśmy rekonesans na terenie uniwersytetu oraz kampusu, w którym miały mieszkać uczestniczki konferencji. Dodatkowo spotkałem się z oficerami amerykańskich służb specjalnych, aby ustalić szczegóły i podzielić zadania. Naszym było zabezpieczenie obiektu oraz konwojowanie i ochrona uczestniczek na

terenie kampusu. Dowódca kompanii uznał to zadanie za priorytet i przydzielił mi do pomocy cztery sekcje bojowe. Dodatkowo miałem do dyspozycji irackich policjantów. Usiedliśmy wspólnie z dowódcami sekcji i podzieliliśmy zadania. Ochronę mieliśmy prowadzić przez pięć kolejnych dni. To było duże obciążenie dla wszystkich, ponieważ wymagało pracy 24 godziny na dobę. Nie ufaliśmy do końca irackim policjantom, dlatego i tak trzymaliśmy całodobową ochronę kampusu. Poza tym wiedzieliśmy, że jest to bardzo delikatny temat, a nie mieliśmy w zespole kobiet, które mogłyby nam pomóc. Na szczęście szefową konferencji była młoda, ładna, bystra i odważna pracownica amerykańskiej agencji rządowej. Spotkałem się z nią kilka razy, aby szczegółowo omówić zasady naszej współpracy. Doskonale orientowała się w kulturze muzułmańskiej i samodzielnie podróżowała po mieście, co było dosyć ryzykowne i zastanawiające. Widać było, że ma spore doświadczenie operacyjne, zna miasto i zasady, jakie w nim panują.

Roboty było bardzo dużo, spaliśmy po kilka godzin na dobę. W dzień konwojowaliśmy uczestniczki konferencji na uniwersytet, a po wykładach zawoziliśmy je autokarami z powrotem na kampus, gdzie dodatkowo prowadziliśmy całodobową ochronę. Wszyscy pracowali na pełnych obrotach. Mimo że konferencja odbywała się w październiku, było bardzo gorąco. Kilkanaście godzin dziennie w pełnym oporządzeniu dawało się każdemu we znaki. Codziennie dostawałem informacje wywiadowcze o możliwym ataku na uniwersytet, co zmuszało nas do zwiększenia wysiłków i wzmagало naszą czujność. Każdorazowe sprawdzanie sali konferencyjnej przed rozpoczęciem wykładów, posterunki obserwacyjne na dachu uniwersytetu, patrole piesze na terenie uniwersytetu – to tylko niektóre z zadań, które codziennie wykonywaliśmy. Noce spędzaliśmy na dachach budynków kampusu, z których dokładnie było widać obiekty w najbliższym otoczeniu. Zadaniem irakijskiej policji było patrolowanie oraz utworzenie kordonu zewnętrznego wokół obiektu, który miał skutecznie odstraszać nieproszonych gości. Współpraca między nami była naprawdę dobra. Organizatorzy konferencji przywozili nam lokalne jedzenie, które bardzo nam smakowało, jednak nasze organizmy nie do końca przywykły do miejscowych specjałów i wielu z nas miało poważne problemy żołądkowe. Wysiłek, jaki włożyliśmy w zabezpieczenie tego bardzo ważnego, ale również ryzykownego wydarzenia, był olbrzymi, jednak wszystko poszło zgodnie z planem i konferencja zakończyła się sukcesem.

Podczas konferencji uczestniczki prowadziły różne debaty, które zaowocowały licznymi pomysłami. W dyskusjach brały udział między innymi kobiety, które powróciły z uchodźstwa i opowiadały o życiu w demokratycznym kraju. Uczestniczki miały okazję posłuchać ekspertów z różnych dziedzin, między innymi prawa konstytucyjnego i wyborczego. Nie zabrakło reprezentantek kurdyjskich

kobiet, które podzieliły się swoimi doświadczeniami z zakresu obrony praw kobiet na obszarach kurdyjskich, które nie były objęte kontrolą Saddama Husajna. Konferencję zamknął ambasador USA Paul L. Bremer, administrator CPA.



Pamiątkowe zdjęcie na kampusie uniwersyteckim po zakończeniu konferencji

Tak zakończyło się jedno z najważniejszych wydarzeń w tamtym czasie – konferencja kobiet w odradzającym się państwie irackim. Jako grupa bojowa zdobyliśmy kolejne doświadczenia: każdy z nas inaczej zapamiętał tamte dni, każdy miał swoje zadania, ale wszyscy odpowiadaliśmy wspólnie za bezpieczeństwo ponad 150-osobowej delegacji kobiet przez pięć kolejnych dni.

Po powrocie do bazy w Babilonie byłem potwornie zmęczony. Deficyt snu, presja, potencjalne zagrożenie oraz konieczność utrzymania chłopaków w ciągłej gotowości były dla mnie ogromnym wyzwaniem. Gdy wróciłem do bazy, zdjąłem ciężki sprzęt i padłem na łóżko – zmęczony, ale zadowolony z dobrze wykonanego zadania.



Zaufanie

Bardzo ważnym aspektem zarówno w wojskach specjalnych, jak również innych organizacjach, gdzie zespół stanowią pracownicy o wysokich kwalifikacjach, jest dawanie im dużej swobody i zaufanie, że dzięki swoim umiejętnościom i cechom charakteru podejmą dobrą decyzję.

W Iraku dowódca powierzył mi zadanie przygotowania obiektu do ochrony przed przyjazdem delegacji państwowej z Polski. Po dotarciu na miejsce zobaczyłem żołnierzy z innej polskiej jednostki biegających po dachach budynku. Przy bramie wjazdowej nie było nikogo z polskiej ochrony, tylko lokalni policjanci, do których, jak już wspomniałem, mieliśmy bardzo ograniczone zaufanie. Postanowiłem porozmawiać z dowódcą tych żołnierzy. Okazał się młodym i niedoświadczonym oficerem, który traktował bardzo hierarchicznie wszystkich otaczających go ludzi. Ponieważ żołnierze sił specjalnych zwykle nie noszą dystynkcji, nie wiedział, jaki mam stopień, próbował więc za wszelką cenę się tego dowiedzieć i ewentualnie potraktować mnie „po żołniersku”. Przekazałem mu grzecznie informację, że będę tutaj dowodził do chwili przyjazdu delegacji państwowej. On zaś wyraźnie dał mi do zrozumienia, że sam fakt, że ma wyższy stopień, decyduje o tym, że jest tu dowódcą. Wtedy zadzwoniłem do mojego szefa, który dowodził całym oddziałem specjalnym – i opowiedziałem o sytuacji, jaką zastałem. Jego decyzją oficer musiał uznać moje zwierzchnictwo i podporządkować się moim rozkazom.

Okazało się, że obiekt graniczy z posterunkiem policji, z którego właśnie zbiegł przestępca. Z rozmowy z policjantami wywnioskowałem, że może nadal znajdować się gdzieś w okolicy. Do przyjazdu delegacji zostało niewiele czasu. Dowódca policjantów był chętny do pomocy, rozumiał powagę sytuacji i natychmiast wysłał patrol w teren. Poleciałem chłopakom sprawdzenie wszystkich pomieszczeń, wyjść awaryjnych oraz przygotowanie bezpiecznego miejsca dla VIP-ów. Łącznościowiec wysłał do dowódcy informację o sytuacji na obiekcie. Ustawiliśmy ubezpieczenia snajperskie na dachu budynku ze wzmocnieniem karabinów maszynowych. Pomieszczenia były sprawdzone, czekaliśmy tylko na informację od dowódcy

policjantów. Nagle pod bramę budynku podjechały trzy policyjne pickupy. W jednym z nich na pace zobaczyłem skutego mężczyznę. Policjanci wyciągnęli pojmanego z samochodu i bardzo szybko przetransportowali go do celi. Widziałem, jak brutalnie z nim postępowali, jednak był on w ich jurysdykcji, więc nie mogłem z tym nic zrobić. Takie były zasady. W tym momencie wszystko już było gotowe do przyjęcia delegacji. Wysłaliśmy meldunek, że czekamy. Delegacja w asyście naszych chłopaków pojawiła się o wyznaczonym czasie. Wszystko przebiegło zgodnie z planem.



Chwila przerwy

Mój dowódca na szczęście zdawał sobie sprawę, że moje kompetencje, mimo niższego stopnia, przewyższają kompetencje nieorganizowanego i niedoświadczonego oficera. Danie mi dużej swobody, nawet w tak hierarchicznej organizacji jak wojsko, pozwoliło na dokończenie niebezpiecznego zadania.

Swoboda w podejmowaniu decyzji wyzwala w podwładnych bardzo dużą motywację. Daje też znacznie lepsze efekty od tradycyjnego podejścia nakazowo-rozdzielczego, które niestety dominuje w większości organizacji – zarówno

wojskowych, jak i innych. Jest tylko jedno „ale”. Samodzielność podwładnych w podejmowaniu decyzji przynosi wspaniałe efekty tylko wtedy, gdy granica odpowiedzialności między szefem i podwładnym została właściwie wytyczona.



Karbala – niespodziewany atak

Tak jak wspominałem wcześniej, do moich obowiązków należała również ochrona generała Tyszkiewicza. Pewnej nocy obudził mnie mój dowódca kompanii. Szanowałem to, że zwykle przychodził osobiście i przekazywał mi bieżące informacje przed każdym wylotem z generałem. Tej nocy, choć był bardzo opanowanym mężczyzną, przyszedł lekko podenerwowany.

– Słuchaj, Krzychu, musisz szybko się zebrać i udać na lądowisko śmigłowców.

– Co się stało? – zapytałem.

– W Karbali dzisiaj około 1.15 w nocy na posterunku irackim zostali zastrzeleni trzej żołnierze amerykańscy. Masz natychmiast lecieć z generałem Tyszkiewiczem do Karbali.

Z informacji wywiadowczych wiedzieliśmy, że jest niespokojnie, a w mieście szykują się zamieszki. Szybko pozbierałem sprzęt, obudziłem Zwierzaka i pojechaliśmy honkerem na lądowisko. Zwierzak był bardzo bystry i spostrzegawczy, z wyglądu przypominał mi trochę Saracena, świetnie grał w piłkę i uwielbiał szybkie samochody.

Na lądowisku czekała grupa bojowa z kawalerii powietrznej. Byli to młodzi żołnierze, wysportowani, silni i chętni do działania, jednak z bardzo małym doświadczeniem. Na dworze było jeszcze ciemno i polskie śmigłowce nie mogły wystartować. Usiadłem na ławce i obserwowałem sytuację. Załogi śmigłowców zaczęły się krzątać wokół swoich maszyn. Nagle pojawił się polski kapelan. „Coś się chyba stało”, pomyślałem. Podeszedł do chłopaków z kawalerii i zaczął odprawiać jakieś modlitwy, wyglądało to trochę dziwnie. Chociaż jestem człowiekiem wierzącym i wyniosłem z domu wielki szacunek do religii, nie mogłem zrozumieć, co on wyprawia. Zaczął żegnać chłopaków tak, jakby mieli wszyscy zginąć w tej akcji. Na pewno nie poprawiło to ich morale, a tym bardziej nie dodało odwagi. Gdy tylko skończył, podeszedłem do nich i powiedziałem, że wszystko będzie dobrze.

Wtedy przyszedł pułkownik, dowódca grupy bojowej, i zapytał, czy mamy rękawice do zjazdów na grubej linie, ponieważ przewidują desantowanie w mieście. Trochę mnie to zdziwiło, bo lecieliśmy w ochronie pana generała. Znałem go i nie wyobrażałem sobie, że będzie zjeżdżał na linie ze śmigłowca.

Zaczęło świtać, na horyzoncie za palmami daktyłowymi pojawiało się leniwie wschodzące słońce. Po chwili przyjechał samochód z dowódcą oraz jego amerykańskim doradcą. Przywitałem się z generałem oraz pułkownikiem i wsiedliśmy do odpalonego już śmigłowca. W trakcie lotu generał wypytywał swojego doradcę o szczegóły tragedii, która wydarzyła się dzisiejszej nocy. Okazało się że dowódca żandarmerii – pułkownik – oraz jego dwóch żołnierzy przyjechali rutynowo sprawdzić posterunek iracki znajdujący się w mieście. Jak zwykle wyszli, aby przywitać się z policjantami irakijskimi i sprawdzić, czy wszystko u nich porządku. Nagle policjanci otworzyli ogień z bardzo bliskiej odległości do zupełnie nieprzygotowanych na to żołnierzy. Cała trójka zginęła na miejscu.

Ponieważ odległość do bazy w Karbali nie była duża, wkrótce śmigłowiec szykował się do lądowania. Po wylądowaniu generał w naszej asyście udał się do majora amerykańskiej żandarmerii, który stał w pobliżu zwłok poległych żołnierzy. Leżały na samochodzie w czarnych workach. Widzieliśmy, jak bardzo był przejęty tym, co się stało. Nakłaniał generała, aby udał się z nim w miejsce, w którym zginęli żołnierze. W mojej ocenie nie było to rozsądne, ponieważ z informacji wywiadowczych wiedzieliśmy, że w mieście jest bardzo niespokojnie. Generał jednak zgodził się i polecił zebrać konwój. W tamtym czasie w obstawie generała jeździliśmy naszymi przerobionymi honkerami. Pozdejmowaliśmy z nich wszystkie niepotrzebne elementy, na przednim zderzaku zamontowaliśmy oponę, która miała służyć do przepychania z drogi innych pojazdów. Ponadto na pace zrobiliśmy ławeczki do siedzenia, aby każdy żołnierz mógł sprawnie prowadzić obserwację w swoim sektorze. Dodatkowo zamontowaliśmy wieżę dla gunnera, który z tej pozycji mógł swobodnie strzelać ze swojego karabinu maszynowego PK. To pozwalało nam na skuteczne prowadzenie obserwacji 360 stopni oraz bezpieczne strzelanie w swoich sektorach. Generał zwykle jeździł ze mną chevroletem tahoe, bardzo wygodnym i ekskluzywnym samochodem, jednak nieopancerzonym, co w tych warunkach było bardzo ryzykowne. Ponadto cywilne auto bardzo rzucało się w oczy w szyku samych wojskowych pojazdów. Postanowiliśmy zmienić schemat i do tahoe wsiadłem ja razem ze Zwierzakiem, a generała posadziliśmy w opancerzonym hummerze, który dołączył do kolumny naszych samochodów wojskowych. Razem z nim jechali pułkownik i major. Ruszyliśmy do miejsca zdarzenia.



Powrót z Karbali z gen. Andrzejem Tyszkiewiczem

Trasę pokonaliśmy dosyć sprawnie, znaleźliśmy miasto, byliśmy zgrani, a nasze procedury pokonywania skrzyżowań i wąskich gardeł dobrze się sprawdzały. W takich sytuacjach trzeba mieć uwagę skupioną na zewnątrz, obserwować sektory górne i dolne. Zabudowa w miastach irackich to zwykle wielokondygnacyjne budynki, a w ich oknach i na dachach często kryli się bojownicy.

Major amerykańskiej żandarmerii wskazał dokładnie miejsce, gdzie zostali zastrzeleni żołnierze, około 40 metrów przed nami. Błyskawicznie wysiadłem z samochodu i podszedłem, aby otworzyć drzwi hummera, którym jechał generał.

Okolica wyglądała pozornie normalnie: uliczny bazar, a w tle wysokie, kilkupiętrowe budynki ustawione w literę U. Znaleźliśmy swoją robotę. Zwierzak na czele, ja za generałem, major po mojej prawej stronie, pułkownik obok generała. Powoli zbliżamy się do punktu zero.

Było dosyć spokojnie. Ludzie krzątali się, robiąc zakupy na bazarze, zwyczajny ruch uliczny, nic specjalnego. Jednak intuicja podpowiadała mi, że zaraz coś się wydarzy. Nagle Zwierzak dał sygnał, że na godzinie dwunastej, w oknach budynków, widzi kilku mężczyzn z bronią przyjmujących pozycje strzeleckie. Do wskazywania zagrożenia używaliśmy identyfikacji godzinowej, ponieważ była

szybka i precyzyjna. Nagle wszyscy przechodnie jakby wyparowali, wokół nas nie było nikogo. To był bardzo wyraźny znak, że coś się szykuje. Już byliśmy praktycznie w punkcie zero, kiedy błyskawicznie złapałem generała chwytem transportowym i w mgnieniu oka przemieściłem się z nim do opancerzonego hummera. Gdy wracaliśmy śmigłowcem do bazy w Babilonie, generał zapytał, dlaczego tak szybko wrzuciłem go do samochodu. Amerykański pułkownik spojrzał na mnie, uśmiechnął się i powiedział: *He did a great job.*



Jedna z akcji bezpośrednich – zatrzymanie terrorystów

Bystrość i spostrzegawczość Zwierzaka oraz moja szybka decyzja pozwoliły na wyciągnięcie generała ze strefy zagrożenia i przetransportowanie w bezpieczne miejsce. W takich sytuacjach należy zwracać uwagę na szczegóły i wszystkie odstępstwa od normy. Trzeba błyskawicznie podejmować decyzje. Czasem ułamki sekund decydują o życiu lub śmierci. To ochrona odpowiedzialna jest za bezpieczeństwo VIP-a i musi szybko reagować na zmieniające się warunki. Czasem VIP nie chce współpracować lub próbuje „dowodzić”. Wtedy

dyplomatyczna perswazja, pewność siebie i konkretne argumenty muszą spowodować, że podda się naszym sugestiom. Tylko wtedy będzie bezpieczny, a ochrona będzie mogła robić dobrze swoją robotę.



Wizyta w bazie hiszpańskiej w Ad-Diwaniji w ochronie gen. Mieczysława Bieńka

Podczas trwania misji wykonaliśmy wiele różnych operacji specjalnych: konwojowanie VIP-ów, akcje bezpośrednie, w trakcie których aresztowaliśmy niebezpiecznych przestępców, rozpoznanie specjalne, ochrona budynków administracji rządowej oraz pomoc medyczna lokalnej ludności. Nawiązaliśmy współpracę z operatorami amerykańskiej 5th Special Forces Group. Mieliśmy okazję zobaczyć ich kulturę organizacyjną, swobodę działania oraz razem z nimi wykonywać operacje bojowe. Było to niezwykle doświadczenie, poznaliśmy zupełnie inny świat sił specjalnych. Każdy z nas przeżył tę misję po swojemu i przywiózł z niej własne wspomnienia. Najważniejsze, że wróciliśmy wszyscy razem cali, zdrowi i pełni entuzjazmu, bogatsi o nowe doświadczenia. Cieszyłem

się, że po raz pierwszy mogłem sprawdzić się w realnych akcjach bojowych, które z narażeniem życia wykonywałem wspólnie z moim zespołem świetnych chłopaków. Podczas tej misji przekonałem się po raz kolejny, że zawsze mogę na nich liczyć. Dowódca dywizji, pan generał Tyszkiewicz, ufał mi i wiedział, że w mojej obecności jest bezpieczny. Sześć miesięcy wspólnych wyjazdów oraz ten jeden szczególny, który mógł zmienić historię polskiego kontyngentu wojskowego, nauczyły nas zaufania do siebie. Poznałem również nowego dowódcę, który miał zastąpić obecnego i przyjechał na rekonesans. Towarzyszyłem generałowi Bieńkowi podczas jego wizyty w hiszpańskiej bazie w Ad-Diwaniji oraz innych bazach. Łatwość nawiązywania relacji, umiejętności komunikacyjne oraz pewność siebie zawsze pomagały mi w rozwiązywaniu pojawiających się problemów.



Autor z ambasadorem Ryszardem Krystosikiem przed jednym z pałaców na wodzie Saddama Husajna w Bagdadzie

Ponieważ wierzę, że ludzie na naszej drodze nie pojawiają się bez przyczyny, chciałbym wspomnieć szczególnie dla mnie ważną osobę z tego okresu, Ryszarda

Krystosika, polskiego dyplomate, ambasadora RP w Iraku w latach 2004–2007. Ten wyjątkowy człowiek był doradcą dowódcy dywizji generała Tyszkiewicza. Miałem okazję poznać go podczas wyjazdów z generałem. Był niezwykle inteligentny, skromny, ciepły, profesjonalny. Ćwiczyliśmy czasem razem na prowizorycznej siłowni, która znajdowała się przy budynku dowódcy międzynarodowej dywizji. Ten sześćdziesięcioośmioletni wtedy mężczyzna wyciskał ciężary jak młody chłopak. Opowiedział mi wiele ciekawych historii z czasów, kiedy jako tłumacz pracował w Wietnamie i Laosie. Praca z nim była wielką przyjemnością. Pokazał mi, gdzie na lotnisku w Bagdadzie znajduje się sklep bezcłowy, w którym można było kupić dobry alkohol, papierosy, słodczyce oraz markowe perfumy. Nauczył mnie sztuki dopasowywania zapachu do konkretnej kobiety. Ta unikatowa umiejętność przydaje mi się do dzisiaj.

Niestety zarówno generała Andrzeja Tyszkiewicza, jak i ambasadora Ryszarda Krystosika nie ma już wśród nas. Cieszę się, że mogłem spotkać tych ludzi na swojej drodze. Zawsze pozostaną w mojej pamięci.



Ważna decyzja

Misja w Iraku dobiegła końca. Wróciłem z niej mocniejszy, bardziej pewny siebie i swoich umiejętności. Jednak to miał być dopiero początek mojej drogi bojowej. Wiedziałem, że takie jest moje przeznaczenie, i chciałem dalej podążać tą drogą. Dlatego podjąłem decyzję, która kolejny raz miała przewrócić moje życie do góry nogami. Selekcja do GROM-u – teraz to stało się moim celem.

Nie byłem sam – wielu komandosów z Lublińca zdecydowało podobnie. Nie mieliśmy złudzeń i wiedzieliśmy, że jeśli chcemy się dalej rozwijać, musimy przejść selekcję i zostać operatorami GROM-u. Okazało się, że prawie cała moja sekcja bojowa postanowiła w niej wystartować. Mieliśmy duże doświadczenie. Sam przeszedłem już kilka razy selekcje, które zawsze kończyły się dla mnie sukcesem. Wiedziałem jednak, że próbuję się dostać do najbardziej elitarnej jednostki specjalnej w Polsce i jednej z najlepszych na świecie. Poprzeczka była bardzo wysoko, a ja uwielbiałem takie wyzwania.

Pomimo wielu obowiązków służbowych zacząłem metodycznie przygotowywać się do testu. Nauczony doświadczeniem z poprzednich selekcji wiedziałem, że im lepiej się przygotuję, tym większe mam szanse. Nie brałem pod uwagę jakiegokolwiek innej opcji – w grę wchodziło tylko pozytywne ukończenie selekcji. Zacząłem intensywnie biegać, pływać, nurkować na basenie, trenowałem podciągnięcia w systemie od 1 do 10, od 9 do 1. Polega to na tym, że najpierw podciągasz się raz, następnie dwa razy i tak aż do dziesięciu, po czym schodzisz w dół: dziewięć, osiem, aż do jednego podciągnięcia. Podczas całego ćwiczenia wykonujesz sto podciągnięć. W ten sposób wzmacnia się mięśnie i poprawia wytrzymałość. Trenowałem od wielu lat między innymi krav magę, która według mnie jest prosta i bardzo skuteczna jako system walki. Spędzałem godziny w lesie – wyznaczałem sobie punkty na mapie, które potem musiałem znaleźć. Mój kolega rozpiisał mi trening biegowy, według którego przygotowywał się do maratonu. Pozwoliło mi to osiągnąć dużą wytrzymałość biegową. Na lublinieckim stadionie trenowałem szybkość, czyli bieganie na dystansie stu metrów. Wykorzystywałem każdą okazję, aby budować swoją wytrzymałość, szybkość i sprawność. Pytałem

też chłopaków, którzy z sukcesem ukończyli selekcję do GROM-u, jakich zadań mogę się spodziewać, na co muszę szczególnie zwrócić uwagę. Wyjechałem również w Tatry, gdzie w Wojskowym Ośrodku Szkoleniowo-Kondycyjnym w Groniku z moim kumplem z jednostki spędziłem trzy tygodnie, chodząc intensywnie po górach z obciążeniem. Na hali sportowej trenowałem wejścia na linę różnymi technikami. Zawieszaliśmy też drabinkę speleo, aby uczyć się prawidłowej techniki wchodzenia po niej. To był naprawdę intensywny czas. Trenowałem, kompletowałem sprzęt, w międzyczasie wysłałem stosowne dokumenty do GROM-u i z wielką niecierpliwością czekałem na informację zwrotną.

W końcu przyszedł do mnie tajemniczy list, w którym znalazłem informację, że jestem zaproszony do wzięcia udziału w pierwszym etapie selekcji. Byłem bardzo szczęśliwy, ponieważ wiedziałem, że już w tym momencie wielu odpada, a zaproszenia wysyłane są jedynie do tych kandydatów, którzy przeszli wewnętrzną weryfikację.



Selekcja do GROM-u

Była słoneczna jesień 2004 roku. Po nocnej podróży samochodem z Lublińca do Warszawy wreszcie dojechaliśmy całą grupą na miejsce. Punkt zbiórki kandydatów był w lesie przy skrzyżowaniu ulic Żołnierskiej i Marsa. Tam czekał na nas autobus, którym pojechaliśmy do Centrum Szkolenia Policji w Legionowie, gdzie przystąpiliśmy do egzaminów sprawnościowych oraz testów psychologicznych. Na zbiórce całej grupy zobaczyłem, jak wielu chłopaków przyjechało spełnić swoje marzenie. Byliśmy wszyscy młodzi, wysportowani i gotowi na wyzwania. Niektórych kandydatów znałem osobiście i wiedziałem, gdzie służyli. Nie skupiałem się jednak w tym momencie na aspekcie towarzyskim. W takich sytuacjach koncentruję się wyłącznie na zadaniu, oczekuję na to, co będzie się zaraz działo.

Po podzieleniu na mniejsze grupy rozeszliśmy się na podpunkty. Na jednym z punktów mieliśmy podciąganie na drążku. Byłem silny i wiedziałem, że świetnie sobie poradzę. Zawisłem na drążku, a instruktor podał komendę start. Zacząłem się szybko i swobodnie podciągać. Byłem bardzo zaskoczony, kiedy z jego ust usłyszałem: „Trzy, trzy, trzy, trzy, cztery, cztery, pięć, pięć” i tak dalej. Po chwili zrozumiałem, że instruktor przykłada olbrzymią wagę do techniki i wyprostowanych rąk po każdym podciągnięciu, przez co nie zalicza mi kolejnych powtórzeń. Do tej pory nikt nie zwrócił mi uwagi na ten podstawowy błąd. Nie wiem, ile powtórzeń wykonałem, ale instruktor zaliczył mi zaledwie 15. Nie znaliśmy górnych norm, ale wiedzieliśmy, że musimy robić wszystkie ćwiczenia na maksa. Na szczęście pozostałe konkurencje, czyli brzuszki, spięcia na poręczach, wejście na linę, bieg na sto metrów, poszły mi naprawdę dobrze. Dalej pływanie, nurkowanie, skok z pięciometrowej wieży do basenu – wszystko tak, jak trzeba.

Zostały dwie konkurencje – bieg na dystansie 3000 metrów oraz walka wręcz. Ponieważ było nas bardzo dużo, zostaliśmy podzieleni na dwie grupy. Niestety ja trafiłem do tej, która zaczynała od walki wręcz. Sala walki wręcz znajdowała się na piętrze budynku. Z okien było widać stadionową bieżnię, na której pozostali kandydaci przygotowywali się do biegu. Weszliśmy wszyscy na matę. Instruktor

wyjaśnił zasady i zaczęła się rozgrzewka. Trenowałem walkę wręcz wiele lat i była to moja pasja, lecz nie spodziewałem się, co mnie czeka. Przez ponad godzinę turlaliśmy się po macie w różne strony – błędnik wariował. Do tego niezliczone ilości pompek, przysiadów, brzuszków, sprinty na macie, przewroty w przód i w tył, kopnięcia, ciosy proste i sierpowe. Kiedy już byliśmy wyczerpani, instruktor podzielił nas na pary i zaczęły się sparringi. Co kilka minut wymienialiśmy się między sobą. Nieważne, jaki miałeś wzrost czy wagę, walczyłeś z każdym. Były podbite oczy, kontuzje rąk i nóg, tryskała krew. Od razu było widać, kto się dobrze czuje w tym środowisku.

Po ponad dwóch godzinach katorżniczej walki wręcz i wcześniejszych konkurencjach ledwo schodziłem po schodach. Przede mną ostatni sprawdzian – bieg na dystansie 3000 metrów. Wypiłem kilka łyków przywiezionego jeszcze z misji w Iraku cytrynowego napoju gatorade. Ten napój izotoniczny tego dnia smakował jak nigdy dotąd. Jeszcze kręciło mi się w głowie, kiedy stanąłem na starcie. Ruszyliśmy. Bieg na tym dystansie jest dość specyficzny. Nazywa się go marszobiegiem. Do dzisiaj zachodzę w głowę dlaczego. Normy są tak wyśrubowane, że trzeba biec cały dystans naprawdę szybko. Zwykle taki bieg pokonywałem grubo poniżej 12 minut. Tym razem po kilku okrążeniach stadionu zaczęły się pode mną uginać nogi. Czuję, że są jak z waty. Cały dzień ciężkich egzaminów, nocna podróż, a na koniec walka wręcz – to wszystko dawało mi się we znaki. W takich sytuacjach najważniejsza jest psychika. W tym momencie widziałem tylko jedno – metę, do której biegłem tak szybko, jak tylko mogłem. I tak właśnie ukończyłem bieg. Nie był to mój życiowy rekord, ale zmieściłem się w 12 minutach. Byłem szczęśliwy i dumny, bo po raz kolejny wygrałem z samym sobą. To ty jesteś dla samego siebie największym przeciwnikiem, kiedy twój wewnętrzny głos podpowiada ci: „Zatrzymaj się, odpocznij, to nie ma sensu”. Wtedy musisz zebrać się w sobie i odrzucić wewnętrznego pesymistę. Możesz to zrobić, podobnie jak ja to zrobiłem. Z taką reakcją twojej psychiki możesz spotkać się zawsze i wszędzie, na każdym etapie życia. Ważne, abyś umiał rozpoznać ten głos i nie poddać się mu. Dopóki oddychasz, możesz wszystko.

Po egzaminach sprawnościowych przystąpiliśmy do rozwiązywania testów psychologicznych. Pięć godzin testów osobowości, na inteligencję, na prawdomówność, sprawdzających pracę w zespole i wiele innych zadań psychologicznych, które musieliśmy jak najszybciej rozwiązać. Był już wieczór, kiedy kończyliśmy. Po tak długim i ciężkim dniu umysł też jest zmęczony, ale po to właśnie poddaje się uczestnika takiemu wysiłkowi. Sprawność fizyczną można wyćwiczyć na bieżni czy w hali sportowej, jednak psychiki nie da się do końca wytrenować. Po testach czekał nas kolejny etap – górski w Bieszczadach.

Ten niezwykle wymagający test wymyślony przez brytyjskie siły specjalne sprawdza kandydata na wielu płaszczyznach. Wielogodzinne marsze na orientację testują twoją inteligencję, psychikę i determinację. Nigdy nie wiesz, kiedy dzień się kończy, a kiedy zaczyna. Zawsze są jakieś niespodzianki. Nie ma jednego najlepszego rozwiązania, zmieniają się warunki pogodowe, jak to w górach, zmienia się też twoja kondycja psychofizyczna. Test jest tak skonstruowany, że każdego dnia robi się coraz trudniej. Musisz zmieścić się w bardzo wyśrubowanych limitach czasowych. Idziesz na olbrzymim deficycie kalorycznym, energetycznym oraz snu. Jesteś mokry, wyziębiony, głodny, a do tego cały czas towarzyszy ci ból. Jeśli jednak chcesz spełnić swoje marzenie o dostaniu się do wymarzonej jednostki specjalnej, to jest to jedyna droga do celu. Podobnie jest, kiedy ubiegasz się o miejsce w swojej wymarzonej szkole czy o angaż w upragnionej firmie – też musisz poświęcić mnóstwo czasu na przygotowania do egzaminów, konkursów, olimpiad. Ale zawsze warto stawiać sobie cele i realizować je, bo to jedyna droga do spełniania swoich marzeń.

Po powrocie do jednostki komandosów do Lublińca wszyscy czekaliśmy z niecierpliwością na wiadomość o wyniku egzaminów psychofizycznych i zaproszenie na kolejny etap. Pewnego dnia dostałem informację, abym przyjechał na rozmowę z psychologiem. Zasada była prosta – utrzymywanie nas w ciągłej niewiedzy, której towarzyszyła niepewność.

W wyznaczonym terminie stawilem się w Warszawie pod adresem wskazanym w korespondencji. Przywitał mnie psycholog, który zadawał mi różne pytania oraz dawał do rozwiązania liczne łamigłówki. Był uprzejmy, tajemniczy i bardzo wymagający. Jego twarz była nieprzenikniona do tego stopnia, że po wyjściu naprawdę nie wiedziałem, czy poszło mi dobrze, czy też źle. Wróciłem do jednostki i czekałem na dalsze informacje.

Obowiązków służbowych było bardzo dużo, ciągłe szkolenia, wyjazdy, kursy. Zespół Bojowy właśnie przygotowywał się do wyjazdu na poligon w Wędrzynie. Kilka razy w roku jeździliśmy na poligony, aby szlifować taktykę i strzelanie. Ten konkretny był niezwykle ważny, ponieważ podsumowywał rok szkoleniowy. Jak co dzień wróciłem po pracy do domu, a tu w skrzynce tajemnicza biała koperta zaadresowana na moje nazwisko – jako adres nadawcy podana była jedynie skrytka pocztowa nr 13. Z wypiekami na twarzy otworzyłem ją i przeczytałem, że jestem zaproszony na etap selekcji górskiej. Poniżej znajdowała się lista sprzętu, który muszę ze sobą zabrać. Byłem bardzo szczęśliwy, jednak wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że będę musiał stoczyć walkę w jednostce, aby tam pojechać.



Droga tylko
w jedną stronę

Przygotowania do poligonu szły pełną parą. Okazało się, że termin etapu górskiego pokrywa się z naszym wyjazdem do Wędrzyna. Co więcej, zaproszenie dostało kilkunastu chłopaków z mojego zespołu. Co teraz? Przecież dowódca zespołu nie będzie chciał nam wszystkim dać urlopu, kiedy w tym samym czasie odbywają się bardzo ważne zajęcia. Sprawa była bardzo poważna. Byłem zdeterminowany, a z drugiej strony wiedziałem, że muszę pozostać lojalny wobec mojego przełożonego. Dlatego spotkałem się z chłopakami, którzy dostali zaproszenia, i zaproponowałem, że porozmawiam z dowódcą o naszej sprawie. Było to najlepsze rozwiązanie, które w tamtym czasie przyszło mi do głowy.

Nie czekając długo, zapukałem do kancelarii dowódcy zespołu bojowego. „Co tam, Puwal?” – zapytał dowódca. Wiedziałem, że rozmowa nie będzie łatwa. Przedstawiłem mu, jak wygląda sytuacja i ilu chłopaków szykuje się do selekcji. Nastąpiła cisza. Naszym dowódcą był doświadczony oficer, który wcześniej służył w legendarnej 62. Kompanii Specjalnej w Bolesławcu. Byliśmy razem w Iraku, on na stanowisku oficera łącznikowego. Rozumiał nas i czułem, że chce nam pomóc. Przerwał przedłużające się niezręczne milczenie i powiedział: „Doceniam waszą lojalność”. Zgodził się na nasz wyjazd na selekcję. Dostaliśmy zielone światło. Postawiłem się w jego sytuacji i pomyślałem, jak ja bym zareagował, gdyby moi żołnierze nie poinformowali mnie o tym, co zamierzają zrobić. Jak bym się wtedy czuł? Dobry dowódca zawsze potrafi znaleźć rozwiązanie, a czasem po prostu przymknąć oko i „wziąć na klatę” konsekwencje, aby pozwolić swoim podwładnym się rozwijać.

Nastał dzień wyjazdu. Dokładnie sprawdziłem, czy mam cały sprzęt z listy obowiązkowej, spakowałem wszystko do plecaka, założyłem dobrze zaimpregnowane buty i razem z kumplami z zespołu samochodami ruszyliśmy do Warszawy. Miejsce spotkania było nam znane – skrzyżowanie ulic Marsa i Żołnierskiej. Tam w lesie czekał autobus, którym pojechaliśmy do jednostki ratowniczej straży pożarnej na Bemowie. Było nas dużo, jednak wyraźnie mniej niż na egzaminach sprawnościowych. Tym razem czekał nas test wysokościowy. Instruktorzy przygotowali dwa stanowiska. Wejście na wieżę po drabince speleo oraz zjazd kolejką amerykańską. Na dworze było zimno i nieprzyjemnie, jednak adrenalina, która mi towarzyszyła, pozwalała zapomnieć o wszystkich niedogodnościach. W końcu przyszła moja kolej. Skupiony podszedłem do drabinki. W głowie, oprócz podpowiedzi moich kumpli, miałem tylko jedną myśl – wejść do góry. Podpiąłem asekurację i wystartowałem. Wieża była wysoka i trzeba było umiejętnie rozłożyć siły. Wspinałem się powoli, maksymalnie odciążając ręce. Zależało mi na prawidłowej technice. Wreszcie wszedłem. Instruktor spokojnie mnie wypiął i kazał mi przejść na kolejny punkt. Kolejka amerykańska to była już czysta przyjemność. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że

technikę wchodzenia „na speleo” będę musiał opanować do perfekcji, aby na kursie podstawowym w GROM-ie móc wejść na platformę wiertniczą na Bałtyku.

Po zakończonych egzaminach wróciliśmy autobusem na skrzyżowanie, gdzie rozdano nam numery oraz koordynaty miejsca kolejnego spotkania. Ośrodek Bystre w Baligrodzie był miejscem, z którego mieliśmy ruszyć po swoje marzenia.



Bieszczady

O świcie następnego dnia stanęliśmy wszyscy na zbiorce przy drodze nieopodal ośrodka w Bystrem. Bieszczady przywitały nas piękną zimą. W kolumnie szybkim marszem ruszyliśmy pod górę. Dotarliśmy na polanę Rabe, gdzie zostaliśmy dokładnie przeszukani. Instruktorzy sprawdzali, czy mamy wszystkie przedmioty z listy oraz czy nie ukryliśmy czegokolwiek niedozwolonego, co mogłoby nam pomóc w selekcji. Plecak był naprawdę ciężki. Do jedzenia dostawaliśmy codziennie porcję wafli, puszkę mielonki oraz batonik „Grzeński”. W wodę zaopatrywaliśmy się prosto ze strumienia. W górach leżało już dużo śniegu, miejscami sięgał nawet do pasa.

Ustawieni jeden za drugim pokonywaliśmy kolejne szczyty. Najgorzej miał zawsze pierwszy, musiał wyznaczać trasę i torować drogę w kopnym śniegu. Zwykle nie wytrzymał zbyt długo. Presja instruktorów, przenikliwy wiatr i padający śnieg powodowały, że coraz więcej kandydatów odpadało. W nocy praktycznie nie spaliśmy, ciągle budzeni petardami i flashbangami. Zmienialiśmy miejsce biwakowania, biegaliśmy z plecakiem, rozkładaliśmy obozowisko, po czym kładliśmy się spać i znowu pobudka. Tu trzeba naprawdę skupić się na zadaniu, wyłączyć jakiegokolwiek próby racjonalnego wytłumaczenia tego, co się wokół dzieje. „Rób wszystko, co ci każą, nie pytaj dlaczego. Twoim celem jest ukończenie selekcji”, powtarzałem sobie w myślach. Do tego niezwykle zmienna pogoda, śnieg, deszcz, błoto...



Pierwszy dzień w Bieszczadach

Trzeciego dnia zaczęliśmy pracować samodzielnie. Każdy dostawał współrzędne i musiał odnaleźć punkt na mapie, po czym iść na kolejny punkt, później na następny... Tutaj, inaczej niż do tej pory, liczyła się samodzielna praca. Godzinami szedłem sam przez góry, czasem tylko mijając po drodze innych kandydatów. Nigdy nie wiedziałem, ile jeszcze punktów przede mną. Dokładne studiowanie mapy, wybieranie najlepszych dróg podejścia pod szczyt to podstawa sukcesu. Jeśli źle zaplanujesz trasę lub zgubisz się i nie odnajdziesz punktu, będzie się to wiązało ze stresem i dodatkowym wydatkiem energetycznym, a wreszcie może to oznaczać koniec twoich starań. Przekonałem się o tym na własnej skórze, kiedy nie przestudiowałem dobrze mapy i postanowiłem skrócić sobie drogę, wchodząc po najbardziej stromej stronie góry. Kosztowało mnie to wiele czasu i energii, a był to dopiero pierwszy szczyt w tym dniu. Nie wiedziałem, ile jeszcze mnie czeka. Obserwowałem, jak kolejni kandydaci już schodzą, a ja wyczerpany pokonywałem kolejne metry w górę. Kiedy wreszcie dotarłem na szczyt, a byłem jednym z ostatnich, przysiągłem sobie, że już nigdy nie podejmę tak głupiej

decyzji. Tego dnia udało mi się wyprzedzić kilku kandydatów i szczęśliwie przeszedłem do kolejnego etapu. Determinacja, praca z samym sobą i swoim umysłem to warunek skutecznego działania na każdym polu.



Drugi dzień

Pogoda naprawdę nas nie rozpieszczała – zimno, mróz, deszcz. Woda w węzku mojego camelbaka zamarzała i nie mogłem się napić. Na szczęście zawsze nosiłem małą butelkę wody pod ubraniem. Buty, mimo dobrej impregnacji, były mokre, a śpiwór od ciągłego pakowania i rozpakowywania zaczął pęcznieć od wilgoci. Nauczony doświadczeniem z poprzedniej selekcji w Pułku Komandosów, dogadałem się z kumplem Kajmanem i podzieliliśmy się namiotem, tym sposobem ujęliśmy sobie trochę ciężaru z wyposażenia.

Czwartego dnia w nocy obudziły nas wystrzały petard, flashbangów, a z głośników płynął dźwięk piosenki U2 *Beautiful Day*. Była to zapowiedź maratonu górskiego. Na tym etapie odpada zwykle najwięcej uczestników. Każdy

jest wyczerpany i walczy z samym sobą. Mówi się, że idzie głowa, a ciało podąża za nią.



Szybkie spisanie współrzędnych i na kolejny punkt

Pogoda tej nocy była paskudna. Drogi oblodzone, na zmianę padał deszcz ze śniegiem. Podczas podejść nawet pod niewielkie wzniesienia trzeba było niezwykle determinacji, aby wykonać kolejny krok. W pewnym momencie na drodze spotkałem kompletnie wyczerpanego ledwo powłóczącego nogami kandydata. Nie znałem go zbyt dobrze, ale pamiętam, że na poprzednich etapach radził sobie świetnie. Był niezwykle wytrzymały, silny i pozytywnie nastawiony. Wyróżniał się wśród innych kandydatów posturą zapaśnika. Podszedłem, zapytałem, czy wszystko w porządku, choć wiedziałem, że nie. On z niezwykle spokojem odpowiedział mi żartobliwie, że dźwiga za dużo kilogramów na swoim ciele. Podczas tej selekcji już go nie zobaczyłem. Jednak nasze drogi miały się jeszcze przeciąć, i to już wkrótce.



Krótki odpoczynek

Maraton był naprawdę ciężki. Było już jasno, kiedy potwornie zmęczony dochodziłem do mety. W głowie ciągle słyszałem słowa piosenki U2 i do dziś kojarzą mi się one z selekcją. Kiedy doszedłem, dowiedziałem się, że oprócz kolegi o posturze zapaśnika odpadło jeszcze kilku moich znajomych, a na polanie siedziała nas naprawdę garstka. W takich momentach trzeba maksymalnie wykorzystać wolny czas: osuszyć i posypać talkiem nogi, zmienić skarpety. Jeżeli okaże się, że czasu jest więcej, należy uzupełnić kalorie. Jeśli to tylko możliwe, powinno się jeść i pić niewielkimi porcjami. Trzeba być w nieustannej gotowości, odpoczywać, czekając na dalsze zadania.

Nie minęło dużo czasu, nim dostaliśmy następne koordynaty. Ponieważ o tej porze roku szybko robi się ciemno, większość marszów odbywała się przy ograniczonej widoczności, a to dodatkowo utrudniało odnalezienie punktu. Czasem wystarczy, że pomylisz się o kilka metrów, i już możesz nie odnaleźć wyznaczonego punktu. Na szczęście instruktorzy pomagali nam, zaczepiając na swoich punktach zielone lightsticki.

Ostatnia noc to podejścia pod najbardziej strome szczyty w rejonie. Jawor i Walter to tylko dwa z nich. Podchodziłem praktycznie na kolanach, łapiąc się rękoma drzew i krzaków. Każdy w takich chwilach ma kryzysy, które przychodzą cyklicznie. Wydaje ci się, że już nie dasz rady, nie masz siły. „Pamiętaj, jeśli nie możesz zrobić kroku, zrób następny”, powtarzałem w myślach. I tak dotarłem do mety selekcji. Mokry, brudny, śmierdzący, głodny i odwodniony, ale szczęśliwy. W mojej głowie znowu pojawiły się słowa piosenki U2: „It’s a beautiful day...”.



Sprawdzenie wyposażenia po selekcji

Aby operatorzy GROM-u mogli pokonać terrorystów gotowych na wszystko, ratować życie uprowadzonym zakładnikom i zdobywać ważne obiekty strategiczne, muszą być najlepsi. Takich ludzi jest mało. Na ponad 200 kandydatów, którzy ze mną zaczęli selekcję, pozytywnie zakończyło ją 20 osób. To nie oznacza, że ci, którzy odpadli, byli słabi. Wielu z nich znałem osobiście i wiedziałem, że są dobrymi żołnierzami i funkcjonariuszami z bogatym doświadczeniem, a nie

przypadkowymi ludźmi z ulicy. Część z nich włożyła potem jeszcze więcej wysiłku w przygotowania i przeszła selekcję przy kolejnej próbie.



Najsmaczniejsza kielbasa i piwo w moim życiu

Po zakończeniu selekcji mieliśmy rozmowę z dowódcą GROM-u, który przyjechał do nas w Bieszczady. Po rozmowach wszyscy zostaliśmy zaproszeni przez instruktorów na grilla. Nie mogłem uwierzyć, że teraz to oni nalewają nam grochówkę, podają kielbasę z rusztu, nawet otwierają piwo. Dlaczego? Ponieważ kiedyś przeszli przez to samo, co my, i doskonale wiedzieli, czego doświadczyliśmy. Właśnie dlatego odnosili się do nas z szacunkiem. To była zupełnie inna kultura organizacyjna, inny świat. Świat, do którego za chwilę miałem dołączyć. Jednak zanim to się stało, musiało upłynąć jeszcze kilka miesięcy.



Szczęśliwa dwudziestka wraz z instruktorami

Z końcem czerwca 2005 roku, po dziewięciu latach służby, żegnałem się z 1. Pułkiem Specjalnym Komandosów. Cieszę się, że mogłem brać udział w rozwoju tej niezwykłej jednostki, obserwować, jak zmieniała się przez ten czas. Poznałem tam wielu wspaniałych ludzi pełnych pasji. To tu na poligonach, kursach i ćwiczeniach międzynarodowych szlifowałem taktykę, strzelanie, spadochroniarstwo, wspinaczkę górską oraz walkę wręcz, aby w końcu sprawdzić się w realnych działaniach bojowych, dowodząc grupą komandosów na misji w Iraku. Miałem honor i przyjemność dowodzić wspaniałymi chłopakami: Horbo, Lopez, Diabeł, Kornik i śp. Adams, Kozi... To była naprawdę dobra sekcja.



ROZDZIAŁ 4





Siła i honor

GROM to stworzona 13 lipca 1990 roku przez pułkownika Sławomira Petelickiego jednostka wyspecjalizowana w uwalnianiu zakładników, zwalczaniu terroryzmu oraz w prowadzeniu operacji ofensywnych na ważne strategicznie cele, istotne z politycznego i militarne punktu widzenia. Struktura, system szkolenia oraz wyposażenie dedykowane są takiemu przeznaczeniu. Twórca jednostki nadał jej niepowtarzalny charakter. Stworzona z jego pasji i marzeń, namalowana postaciami z książek i filmów, całkowicie odbiegała charakterem i mentalnością od pozostałych jednostek Wojska Polskiego. Owiana tajemniczością, rozbudzała wyobraźnię wielu ludzi, w tym moją. Wreszcie 1 lipca 2005 roku przekroczyłem jej legendarną bramę. Od początku wiedziałem, że jestem w wyjątkowym miejscu. Nadano mi nazwisko i numer operacyjny, którymi od tej pory miałem się posługiwać w robocie. Pobrałem nowoczesną broń i wyposażenie. Po jednostce poruszali się uśmiechnięci, sympatyczni ludzie w cywilnych ubraniach, mówiący sobie z daleka „cześć”. Takie było moje pierwsze wrażenie.

Wiedziałem, że czekam na kurs podstawowy, po którego ukończeniu zostanę operatorem w zespole bojowym. To był mój cel. Ponieważ zostały do niego dwa miesiące, czas ten wypełniłem treningami oraz służbami na terenie jednostki.

Kurs podstawowy to najważniejszy z kursów w GROM-ie. Tylko po jego ukończeniu możesz wejść do elitarniej grupy operatorów, dostąpić przywileju bycia współczesnym cichociemnym.

Kolejny raz stanąłem przed nowym wyzwaniem. Doświadczenie zdobyte wcześniej oraz intuicja podpowiadały mi, że to będzie niezwykle trudny okres w moim życiu, a przy tym pełny wyzwań, wyrzeczeń, dyscypliny, akcji i adrenaliny. Jeszcze wtedy nie zdawałem sobie sprawy, ile przygód już wkrótce mnie czeka.



Zacząć od zera

19 września, ogoleni na łyso, stanęliśmy na zbiórce w starej poradzieckiej hali sportowej na terenie jednostki, gotowi do rozpoczęcia walki o miano operatora. Przywitał nas komendant Czarny, oficer po kursie zielonych beretów i jeden z pierwszych żołnierzy GROM-u. W tamtym czasie kurs podstawowy trwał 13 miesięcy i podzielony był na bloki tematyczne, po których zawsze następowały egzaminy sprawdzające, a ich wynik decydował o przejściu (lub nie) kandydata do kolejnego etapu.

Pamiętam to dziwne uczucie, które towarzyszyło mi, kiedy stałem tam wspólnie z kolegami, patrząc w przyszłość. Nie zdawałem sobie sprawy, jaką wewnętrzną przemianę będę musiał przejść, aby stać się operatorem GROM-u. Pochodziliśmy z różnych jednostek, mieliśmy różne stopnie i doświadczenia. Teraz jednak byliśmy wszyscy równi. Nieważne, z jakiej jednostki czy organizacji się wywodziłeś, i tak zaczynałeś od zera. Na tym właśnie polega moc tego elitarnego kursu. Aby ci się powiodło, potrzebna jest tytaniczna praca połączona z pokorą. Jeśli pozwolisz sobie przejść całkowitą przemianę, osiągniesz sukces i staniesz się operatorem, jeśli nie – nigdy nim nie będziesz. Nawet jeśli uda ci prześlizgnąć przez gęste sito i jakimś cudem skończysz kurs, mentalnie i tak nie będziesz gotów do pracy w zespole bojowym i wkrótce zostaniesz zdemaskowany. Jak to się dzieje w GROM-ie? Za chwilę się dowiesz.



Piekielne sześć tygodni

Po zbiórce dostaliśmy chwilę na spakowanie sprzętu, broni i wyposażenia bojowego. Każdy z nas musiał poinformować swoich bliskich, że przez jakiś czas nie będzie się z nimi kontaktował. Niestety nie dostaliśmy informacji, jak długo to potrwa, spodziewaliśmy się, że od trzech do czterech tygodni. Wkrótce miało się okazać, że będzie to znacznie dłużej. Bez możliwości korzystania z telefonów oraz innych zdobyczy cywilizacyjnych, odcięci od świata zewnętrznego, zamieszkaliśmy w barakach na poligonie w Rembertowie.

Zajęcia odbywały się bardzo metodycznie. Na początku uczyliśmy się topografii, łączności, teorii strzału, balistyki, ale przede wszystkim poznawaliśmy zasady, jakie panują w GROM-ie. Jakie to zasady? Punktualność, rzetelność w wykonywaniu zadań, otwartość umysłu, samodzielność w podejmowaniu decyzji, umiejętność pracy w zespole to tylko niektóre z nich. Zostaliśmy podzieleni na sekcje. Grupa chłopaków z Lublińca stanowiła większość na kursie, pomagaliśmy więc sobie nawzajem, a także innym, którzy nie mieli doświadczenia i obycia w taktyce zielonej działań specjalnych.

Pierwszy etap kursu prowadzony był według procedur przyjętych przez amerykańskie Green Berets. Zajęcia rozpoczynały się od porannej zaprawy, którą każdy instruktor prowadził według swoich zasad. Jednym z ulubionych ćwiczeń był „kaczy chód” – *duck walk*, który w kółko musieliśmy robić. Ćwiczenie polega na poruszaniu się do przodu w głębokim przysiadzie, imitując kaczę kroki. Kiedy już nie dawaliśmy rady, instruktor mówił: „Kto wstanie pierwszy, ten pizda”. Nigdy nie widziałem, aby ktoś wstał, choć uda piekły nas potwornie i mieliśmy wrażenie, że zaraz nam eksplodują.

Co ciekawe, nasza doba rozpoczynała się o różnych porach dnia i nocy. Dlaczego? Na kursie czas na odpoczynek i sen wynosił pięć godzin, więc jeśli doba ma dwadzieścia cztery godziny, dzień zaczynał się przesuwać. I tak w połowie kursu poranna zaprawa zaczynała się na przykład o północy. Wtedy poznałem też kilka zasad, które zapamiętam do końca życia. Pierwsza podstawowa to: „Jeśli jesteś o czasie, to jesteś już spóźniony”, jak mawiał snajper Dziadek. Do dzisiaj się

do niej stosuję i zachęcam do tego również moich bliskich. Jest to wyrazem szacunku do osoby, z którą się umawiasz.



Patrol

Pamiętacie żołnierza w typie zapaśnika, który odpadł na maratonie górskim podczas selekcji? Teraz spotkaliśmy się ponownie, właśnie tu na kursie. W pierwszej chwili go nie poznałem, ponieważ z jego atletycznej sylwetki niewiele zostało. W dłuższej rozmowie opowiedział mi dalszy ciąg historii. Tego dnia, kiedy odpadł z selekcji, postanowił się nie poddawać i przystąpił do kolejnej za pół roku, tym razem bez „zbędnego balastu”. Przeszedł ją z drugą lokatą. Wywodził się z Formozy. Świetny chłopak, przyjaźniliśmy się do dzisiaj. Znam też przykłady innych żołnierzy GROM-u, którzy dopiero za trzecim razem dostali się do wymarzonej jednostki.



Przeprawa wodna

Trenowaliśmy taktykę pododdziałów rozpoznawczych i procedury dowodzenia, wszystko niezwykle szczegółowo, dosłownie rozbite na atomy. Pamiętam, jak godzinami leżałem na ziemi, aby nikt mnie nie zauważył podczas patrolu lub podejścia pod obiekt. W dzień i w nocy trenowaliśmy marsz ubezpieczony w lesie, podczas którego niejedna gałąź utkwiała mi w oku. Na szczęście nigdy nie zakończyło się to poważną kontuzją. Szyki patrolowe, pokonywanie stref niebezpiecznych, zrywanie kontaktu z przeciwnikiem to był nasz chleb powszedni. Zakładaliśmy bazy patrolowe, z których wychodziliśmy na zasadzki. Instruktorzy niezwykle precyzyjnie tłumaczyli nam wszystkie procedury, zawsze pokazywali, jak wykonać ćwiczenie, dopasować sprzęt i wyposażenie. Jednym z naszych zadań było taktyczne pokonanie przeszkody wodnej. W skrócie: chodziło o przepłynięcie całym plutonem bagna. Niby nic takiego, jednak to instruktor jako pierwszy wszedł do wody i spokojnie pływając, rozciągnął linę, która miała posłużyć do asekuracji. Była połowa października. Za dnia, jak na ten miesiąc, było ciepło, jednak w nocy zrobiło się już naprawdę zimno. Tylko adrenalina sprawiła, że nie dostaliśmy

hipotermii. Byłem doświadczonym żołnierzem i widziałem wiele, jednak to, co potrafili nasi instruktorzy, wywarło na mnie olbrzymie wrażenie. Szczególnie podobała mi się ich praca z bronią: wdrukowane wzorce zachowań, pamięć mięśniowa, płynność ruchów – to wszystko było naprawdę imponujące.

Byliśmy bardzo zmęczeni. Na zajęciach teoretycznych niejeden z nas walczył, aby nie „przybić gwoździa”. Wtedy instruktorzy śmiali się z nas i kazali nam robić pompki, wstawać i siadać, cokolwiek, wszystko po to, by nie zasnąć. Bywały też sytuacje, kiedy to my śmialiśmy się z nich. Pamiętam szczególnie jedną. Jednym z naszych instruktorów był Greko. Zanim przyszedł do GROM-u, był policjantem. Uśmiechnięty, niestandardowo myślący facet. Muszę dodać, że na kursie była solidna dyscyplina i niewielu odważyłoby się żartować z instruktorów. Jednym ze śmiazków był kursant Motyl.

– Panie instruktorze, mogę o coś zapytać? – zgłosił.

– Tak, pytaj – odpowiedział instruktor.

– Czy to prawda że w policji...?

– Co w policji? – dopytywał instruktor Greko.

– ...na patrole chodziliście zawsze w dwie osoby?

– No tak.

– A to prawda, instruktorze, że to dlatego, że jeden z was umie czytać, a drugi pisać?

Wszyscy wybuchli śmiechem, tylko nie instruktor Greko. Po chwili nastąpiła niezręczna cisza. Szczerze mówiąc, Greko chyba nie wiedział, jak z tego wybrnąć, i tylko ostrzegł Motyla, że zapamiętał jego numer operacyjny. Motyl był przez chwilę gwiazdą na kursie. Każdy, kto kiedykolwiek miał z nim do czynienia, wie, jaki to wesoły chłopak.



Stół plastyczny przed zasadzką

Mijały kolejne tygodnie. Powoli zbliżaliśmy się do etapu tak zwanych misji, które miały sprawdzić nasze umiejętności planowania oraz wykonania misji specjalnych w standardzie zielonych беретów. Każdy z nas był oddzielnie oceniany przez instruktorów pod kątem swoich funkcji i zadań w plutonie. Planowanie misji było niezwykle szczegółowe. Na papierowych planszach rozrysowywaliśmy schematy i manewry taktyczne. Na stołach plastycznych z ziemi, igliwia, trawy i gałęzi wiernie odwzorowywaliśmy obiekty ataku, drogi podejścia i odejścia. Przed wyjściem na misję wszystko skrupulatnie niszczyliśmy, aby nie zostawić po sobie żadnych śladów. Każdy z nas bardzo się starał, aby misja przebiegła zgodnie z planem. Zasadzki na różne obiekty w ruchu lub po zatrzymaniu, ataki na budynki nie były dla mnie czymś nowym. Jednak tutaj nabierały innej wagi, wszystko musiało być perfekcyjne. Czasem wiele godzin spędzaliśmy, czekając na obiekt, który mieliśmy zaatakować.



Kolejna godzina w oczekiwaniu na obiekt ataku

Nawet nie zauważyłem, kiedy kończył się piąty tydzień kursu. Powoli kończyliśmy również misje specjalne i szykowaliśmy się do egzaminów końcowych. Pewnej nocy przed jedną z ostatnich misji podszedł do mnie Bartek. Zapamiętałem go jeszcze z selekcji jako niezwykle energicznego, uśmiechniętego chłopaka. Ostatniego dnia selekcji mijaliśmy się na górze Jawor, on schodził, kiedy ja podchodziłem na szczyt. Wymieniliśmy się pozdrowieniami i każdy poszedł w swoją stronę. Bartek był młodym żołnierzem, który podobnie jak ja do GROM-u trafił z Lublińca. Ten pasjonat sił specjalnych już jako nastolatek należał do drużyny harcerskiej, gdzie szlifował swoje umiejętności wojskowe. Skakał na spadochronie, trenował taktykę, walkę wręcz i topografię. Był niezwykle wysportowany, wytrzymały i bystry. W Lublińcu był żołnierzem Zespołu Bojowego „C” i miał już za sobą również misję w Iraku. Tej nocy zapytał mnie: „Krzychu, ufam ci i potrzebuję twojej pomocy. Moja sekcja zaważyła misję i nie zaliczyłem tego etapu. Czy mógłbyś wesprzeć mnie podczas kolejnej próby?”. W tamtym czasie nie znaliśmy się jeszcze zbyt dobrze, jednak intuicja

podpowiadała mi, że wkrótce zostaniemy przyjaciółmi. „Jasne, Bartek, nie ma sprawy” – odpowiedziałem. Moim zadaniem było przeprowadzenie plutonu jako nawigator do miejsca wykonania zadania.



Krótkie zatrzymanie przed atakiem na budynek

Ostatnia misja odbyła się pod koniec października, nocą. Wszystkie marsze trenowaliśmy bardzo starannie – pełna dyscyplina światła i dźwięku. Nie było mowy, aby poruszać się drogą czy w jakikolwiek inny sposób ułatwić sobie patrol. Tej nocy było bardzo pochmurnie, więc nie pomagało nam nawet światło księżyca, mgła nad poligonowymi mokradłami dodatkowo ograniczała widoczność, nawigacja nie była łatwa, jednak powoli zbliżaliśmy się do celu. Byliśmy już całkiem blisko, kiedy nagle Bartek wpadł do okopu, których na poligonie było pełno. Okazało się, że bardzo mocno uderzył żebrami o betonową płytę. Podszedłem do niego i zapytałem, czy wszystko w porządku. On, ledwo łapiąc

oddech, odpowiedział: „Krzychu, chyba złamałem zebro, bo nie mogę nabrać powietrza”. Sytuacja wyglądała poważnie. Mogliśmy powiedzieć o tym instruktorom, jednak Bartek zdecydował inaczej. „Działamy” – postanowił, po czym rozesłał wszystkich na swoje pozycje. Naszym zadaniem był atak na budynek. Bartek jakby nic się nie stało dowodził całym zespołem. Mimo potwornego bólu poprowadził sprawnie całą akcję i tej nocy zaliczył ten etap. Jeszcze raz zobaczyłem, że mam przyjemność pracować z naprawdę wspaniałymi ludźmi, zdeterminowanymi i gotowymi poświęcić bardzo wiele, aby osiągnąć swój cel.

Kolejnej nocy zaczęliśmy egzaminy. Testy taktyczne, całonocna wymagająca nawigacja w terenie, strzelanie – to tylko niektóre etapy. Okazało się, że byliśmy dobrze przygotowani przez instruktorów i tylko jedna osoba musiała powtórzyć jeden element egzaminu.

Przemarznięte tyłki, przemoczone od potu i deszczu mundury, kilometry patroli – to wszystko połączyło nas jako zgrany zespół. Już na tym etapie widać było cechy charakteru, nawiązywały się również coraz bliższe przyjaźnie. Wkrótce mieliśmy stawić czoła tej najtrudniejszej, ale i najważniejszej części kursu – czarnej taktyce. Jednak zanim to się stało, musieliśmy jeszcze sporo się nauczyć.

Sześć tygodni rozłąki z bliskimi to sporo czasu. Dzisiaj aż trudno uwierzyć, że można tak długo nie patrzeć w telefon, nie kliknąć komuś like’a na Facebooku czy Instagramie. Wyobraź sobie, że nie możesz przez tak długi czas zadzwonić i choćby przez chwilę porozmawiać z ukochaną osobą czy przyjacielem. Czy byłbyś w stanie poświęcić tak wiele? My to zrobiliśmy.

Po krótkiej weekendowej przerwie wróciliśmy na kurs. Kolejny etap to zajęcia medyczne. Przez dwa tygodnie trenowaliśmy medycynę pola walki. Wielką zaletą tych zajęć było to, że instruktorzy zawsze uczyli nas od podstaw. Dokładnie tłumaczyli wszystkie elementy. Chociaż materiału było bardzo dużo, potrafili przekazać go w sposób przystępny, co znaczy, że mieli olbrzymie praktyczne doświadczenie i doskonałe metodyczne przygotowanie. Każdy operator musi umieć udzielić pomocy sobie oraz kolegom na polu walki. Dlatego trenowaliśmy różne elementy: opatrywanie ran, zakładanie rurki nosowo-gardłowej, wkłucia w żyłę to tylko niektóre z nich. Umiejętności, które wtedy wyćwiczyłem, wykorzystuję do dzisiaj, ponieważ tak silnie wdrukowane wzorce zachowań i manualne ćwiczenia pozostają w mózgu już na zawsze.



Z dachu do okna

Nie zwalnialiśmy tempa, wręcz przeciwnie. Codziennie poranna zaprawa, walka wręcz, mnóstwo ćwiczeń fizycznych. Tak wyglądał każdy kolejny dzień.

Następnym etapem na kursie była wysokościówka. Jak zwykle zaczęliśmy spokojnie – od podstawowych węzłów i zakładania stanowisk, każdy musiał zaliczyć wstępny egzamin. Ze wspinaczką stykałem się już od szkoły wojskowej, lubiłem ją i sprawiała mi olbrzymią frajdę. Jednak na tych ćwiczeniach miałem poznać ją zupełnie z innej strony.

Naukę rozpoczęliśmy w dobrze mi już znanym miejscu, czyli na wieży strażackiej na Bemowie. Instruktorzy po raz kolejny okazali się niesamowitymi profesjonalistami. Spokojnie, ale i bardzo konsekwentnie uczyli nas zakładania stanowisk, zjazdów do okien, wchodzenia po drabinie speleo. Jednak najbardziej zapamiętałem tak zwane wejścia na Żyda. To Gajowy, jeden z moich ulubionych instruktorów, mój późniejszy dowódca w Zespole Bojowym A, uczył nas tej techniki. Polegała na tym, że trzeba było stanąć na parapecie okna położonego powyżej tego, do którego chciałeś wskoczyć, wypuścić z przyrządu zjazdowego trochę liny i skoczyć. Najważniejsze było precyzyjne zblokowanie liny w ósemce, czyli w przyrządzie zjazdowym, tak aby błyskawicznie obrócić się twarzą do okna i wskoczyć płynnie do pomieszczenia. Nie była to łatwa technika, jednak po kilkunastu powtórzeniach wszyscy ją opanowaliśmy i zyskaliśmy płynność. Najważniejsze to przełamać się i pokonać w sobie strach, który blokuje cię przed nowymi wyzwaniami.



Wejście po drabince speleo

W GROM-ie nawet w czasie ćwiczeń robisz wszystko tak, jakbyś naprawdę walczył. Dlatego już po tygodniu wszyscy musieliśmy zjeżdżać z budynku w pełnym oporządzeniu, z bronią. W ośrodku WIChiR trenowaliśmy zjazdy całą sekcją bojową, wykorzystując technikę ataku planowego i natychmiastowego. Był koniec listopada, ale mimo paskudnej pogody trenowaliśmy wszyscy piekielnie ciężko, popijając w przerwach gorącą herbatę z miodem i cytryną z naszych GROM-owskich termosów. Tego rodzaju wysokościówka jest niezwykle ważnym elementem w szkoleniu operatora. Liczą się szybkość, płynność i technika wchodzenia. Nie ma miejsca na pomyłkę. Po wysadzeniu okna materiałem wybuchowym sekcja musi błyskawicznie znaleźć się w pomieszczeniu, aby wykorzystać element zaskoczenia. W innym wypadku to przeciwnik przejmie inicjatywę, a my mamy przerabane. Robiliśmy setki powtórzeń w różnych konfiguracjach. Tylko tak byliśmy w stanie nauczyć się prawidłowo taktycznych technik zjazdowych. Na poligonie w Pstrążu trenowaliśmy to wszystko z wykorzystaniem materiałów wybuchowych. Wysokościówka połączona

z breachingiem, czyli wybuchowe wejścia do budynków drzwiami, oknami, na różnych kondygnacjach. Przygotowywaliśmy ładunki wybuchowe osobiste, liniowe, tarczowe. Instruktorzy uczyli nas prawidłowej taktyki podejścia pod drzwi i techniki szybkiego założenia ładunku. Trenowaliśmy na bojowo wejście z dachu z ładunkiem wybuchowym.



Zjazd z wieży strażackiej



Survival

Na początku stycznia 2006 roku spakowaliśmy się do naszego GROM-owskiego autokaru i przemieściliśmy do Kotliny Kłodzkiej. Nieopodal Czarnej Góry, odcięci od cywilizacji, rozpoczęliśmy naukę bytowania. Dotarliśmy na miejsce po północy, w kopnym śniegu, rozstawiliśmy nasze małe, jednoosobowe snajperskie namioty i poszliśmy spać. Kiedy wcześnie rano wstałem, zobaczyłem przepiękną nieckę między górami, porośniętą lasem. To miał być nasz dom przez następny tydzień. Instruktorzy zadbali o to, abyśmy nie mieli nic do jedzenia. Teraz naszym zadaniem było wykonanie z kawałków blachy noża. To uniwersalne narzędzie miało służyć do zabijania i oprawiania zwierzyny, przygotowywania posiłków oraz rozpalania ognia. Każdy z nas musiał uruchomić swoją kreatywność.

Rozejrzałem się wokół, żeby zobaczyć, co mogę wykorzystać. Do oszlifowania ostrza użyłem znalezionych rozłupanych kamieni. Kiedy już ostrze nabrało kształtu, zrobiłem z kawałka drewna rękojeść, którą owinąłem linką spadochronową, aby trzymała się sztywno. To wszystko zajęło mi sporo czasu, jednak się opłaciło – nóż wyglądał solidnie, a o jego efektywności już wkrótce miałem się przekonać.

Jednym z naszych instruktorów był myśliwy Darek. Z wielką pasją uczył nas tropienia oraz sprawiania zwierzyny. Jednak, jak zwykle, zaczęliśmy od małych rzeczy, działając w sekcjach. Z Warszawy przywieźliśmy kawałek blachy oraz wojskową puszkę po dzemie wielkości pięciolitrowego wiadra. Miała ona służyć jako wielofunkcyjne naczynie do gotowania posiłków, a blacha robiła za ruszt. Rozpaliliśmy krzesiwem ogień, by się ogrzać. Temperatura była naprawdę niska, a duża wilgotność potęgowała uczucie zimna. Jednak kiedy tylko ognisko zaczęło płonąć, nasze nastroje się poprawiły. Wyziębiony organizm potrzebuje więcej kalorii i w związku z tym byłem już bardzo głodny. Wtedy nasz instruktor przyniósł każdej sekcji po dwa żywe pstrągi i paczkę mąki.

Jako młody chłopak byłem zapalonym wędkarzem i wykorzystywałem każdą wolną chwilę, aby pójść na ryby. W latach osiemdziesiątych wiele rzeczy robiło się samemu. Pamiętam, jak własnoręcznie wykonałem wędkę z zakupionej w sklepie

bambusowej tyczki. Dziadek Janek nauczył mnie wiązać haczyk, a za sprzedane butelki kupiłem swój pierwszy w życiu rosyjski kołowrotek Delfin 8. Ale na ryby, gdy byłem jeszcze małym chłopcem, pierwszy mnie zabrał mój drugi dziadek, Adam. W naszej miejscowości, nieopodal szkoły, znajdował się duży staw, potocznie nazywany szkółką. Tam właśnie dziadek Adam nauczył mnie sztuki wędkowania. Staw ten należał do wielu właścicieli i przyjęło się, że wszyscy mieszkańcy Zbójna mogą tam łowić ryby. Niestety jeden z właścicieli, do którego należał skrawek ziemi przylegający do stawu, ciągle robił wszystkim problemy, choć z jego terenu nigdy nikt nie korzystał. Pewnego dnia, kiedy wędkowałem tam z dziadkiem, przyszedł do nas i zaczął się awanturować. Mój dziadek był niezwykle opanowanym człowiekiem. Zaczął mu spokojnie tłumaczyć zasady, jakie tu panują. Mężczyzna najwyraźniej poczuł się silniejszy – najpierw obraził starszego pana, a potem nabrał ochoty, by mu przyłożyć i pokazać, kto tu rządzi. W dzieciństwie wiele słyszałem o wyczynach dziadka, jego sile i odwadze, jednak to, co zobaczyłem, przerosło moje najśmielsze oczekiwania. Dziadek ze spokojnego staruszka zmienił się nagle w wojownika. W mgnieniu oka podniósł słoik, w którym trzymaliśmy robaki na przynętę, i z całej siły rzucił nim w napastnika. Ponieważ stał bardzo blisko, słoik rozbił się o jego twarz. Zanim mężczyzna odzyskał do końca świadomość, dziadek bardzo dobitnie oznajmił mu, że jeśli jeszcze raz przyjdzie i będzie się z kimkolwiek awanturował, to skończy się to jeszcze gorzej. Od tej pory już nigdy nie słyszałem, aby ten mężczyzna kiedykolwiek kogoś wygonił ze stawu.

Wróćmy do naszego bytowania. Podzieliliśmy się robotą. Ja zająłem się sprawianiem ryb, Mały zrobił placek z wody i mąki, a reszta chłopaków zadbała o palenisko. Nie mieliśmy przypraw, lecz jakoś specjalnie nam to nie przeszkadzało. Ugotowane ryby z upieczonymi na blasze plackami smakowały naprawdę dobrze.

Przez cały czas instruktorzy nas zadaniowali. Robiliśmy okulary z kory brzozy, które służyły do ochrony wzroku, gdy mocne promienie słoneczne odbijały się od śniegu, rakiety śnieżne z gałęzi sosny, rozpalaliśmy ogień różnymi sposobami. Pewnego razu mieliśmy rozpalić ogień na czas za pomocą krzesiwa i ugotować kubek wody. Wydaje się to proste, ale wcale takie nie jest, jeśli nie przygotujesz sobie wcześniej odpowiednio suchej podpałki. Takie umiejętności zostają z tobą na całe życie i wielokrotnie się przydają.

Jedzenia mieliśmy naprawdę niewiele i bez węglowodanów powoli traciliśmy siłę. Nawet pójście po drewno wydawało się ciężkim zadaniem. Pożywienie przychodziło na własnych nogach. Zabijaliśmy kury i króliki, aby z ich mięsa przygotować posiłki. Spaliśmy w wydrążonych w śniegu jamach, budowaliśmy igloo. Każdego dnia wieczorem instruktorzy zabierali nam karimaty i śpiwory,

a my musieliśmy wykonywać prowizoryczne izolacje z igliwia, aby przetrwać noc. Nocami robiło się piekielnie zimno. Pamiętam, jak siedziałem przy ognisku w przemoczonych butach. Zdjąłem mokre skarpety, aby wysuszyć stopy, i zobaczyłem, że odmroziłem sobie duży palec. Natarłem więc go śniegiem i poczułem ulgę, po czym założyłem z powrotem buty. Niestety jeszcze długo po bytowaniu cierpiałem z powodu nieogojącego się odmrożenia i przez moment groziła mi nawet amputacja części palca, co równałoby się z bezpowrotnym usunięciem z kursu.

Byliśmy coraz bardziej głodni. Małe ilości mięsa nie zaspokajały naszego zapotrzebowania energetycznego, więc kiedy pewnej nocy instruktor Darek upolował wielkiego jelenia, byliśmy zachwyceni. Przynieśliśmy go do obozowiska, aby przygotować z niego posiłek. Był naprawdę potężny. Myśliwy postrzelił go w brzuch, po czym jeleni spadł ze skały. Ogrzewałem zmarznięte ręce ciepłem z jego rozciętego ciała. Instruktor uczył nas ze szczegółami, jak sprawić mięso, by go nie popsuć. Własnoręcznie wykonanymi nożami oskórowaliśmy zwierzę, pocięliśmy mięso na kawałki i podzieliliśmy między sekcje. To był naprawdę dobry czas i kolejna lekcja życia. Niestety w warunkach bojowych, aby skutecznie walczyć, musisz mieć gotowe bardzo dobrej jakości racje żywnościowe i porządny sprzęt, odpowiednią odzież, chemiczne ogrzewacze ciepłe.

Uważam jednak, że umiejętności, które wtedy nabyliśmy, potrzebne są nie tylko żołnierzowi sił specjalnych, ale każdemu człowiekowi, by mógł sprawdzić się w ekstremalnie trudnych warunkach i w razie potrzeby potrafił choćby rozpalić ogień i przygotować prosty posiłek.

Po pięciu dobach wyziębieni, głodni i brudni zwinęliśmy obozowisko, zamaskowaliśmy ślady po ogniskach i przygotowaliśmy się do wymarszu. Kiedy wyszliśmy z naszej niecki, w końcu zobaczyliśmy cywilizację. Jakie było nasze zdziwienie, kiedy instruktorzy zaprosili nas do restauracji, gdzie czekał na nas gulasz z sarny i grzane wino. Wszystko było pyszne, a instruktorzy po raz kolejny pokazali klasę.



Ważny egzamin

Mijały kolejne tygodnie kursu podstawowego. Przeszliśmy kurs jazdy operacyjnej samochodem, nauczyliśmy się, jak pokonywać i omijać przeszkody na drodze oraz atakować auta tak, aby się wykoleiły.

W połowie lutego zaczęliśmy kurs strzelecki. Całe moje wojskowe życie uwielbiłem strzelać i miałem wrażenie, że robię to dobrze. Jednak to, co zobaczyłem na kursie, przerosło moje wyobrażenia. Cały miesiąc, w dzień i w nocy, przez wiele godzin strzelaliśmy na strzelnicy. Wystrzelaliśmy olbrzymią ilość amunicji, ale każdy pocisk był bardzo dobrze wykorzystany. Trenowaliśmy pamięć mięśniową, odruchy, pracę na języku spustowym, strzelania statyczne, dynamiczne, w ruchu z różnych postaw, także niewygodnych. Poza tym praca na barykadach, zasłonach, zacięcia, sytuacje awaryjne... Teraz wiedziałem, dlaczego instruktorzy, gdy nam coś pokazują, nawet kiedy nie mają w ręku broni, układają ciała w określony sposób, idealnie pod broń. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem.

Instruktorzy byli coraz bardziej wymagający, nieustannie podkręcali tempo, a my musieliśmy nadążyć. Kiedy wieczorem wracałem po zajęciach do internatu, od razu padałem na łóżko. Musiałem się szybko regenerować, by rano znów móc trenować na pełnych obrotach. Zbliżaliśmy się do kolejnego ważnego egzaminu. Tym razem mieliśmy zdawać egzamin fizyczny oraz strzelecki. Pomimo olbrzymiej ilości zajęć i treningów sportowych zostawałem w jednostce po zajęciach, aby dodatkowo trenować wieczorami. Nie był to dobry pomysł, o czym miałem się boleśnie przekonać.

Do egzaminu zostały dwa tygodnie. Postanowiłem zrobić sobie sprawdzian biegowy na 3000 metrów. Po wszystkich zajęciach późnym wieczorem jak co dzień założyłem dres i czapkę i poszedłem na bieżnię. Tego dnia na dworze było zimno, bieżnia była oblodzona. Jednak na szczęście spadł śnieg, który szczelnie przykrył lód. Latarnie jasno oświetlały teren stadionu, mogłem więc spokojnie trenować. Wyzerowałem stoper i ruszyłem. Pierwsze trzy kółka pobiegłem szybko, monitorując czas. Po czwartym okrążeniu zauważyłem, że nagle bardzo tracę siły

i z każdym następnym okrążeniem mam gorszy wynik. Kiedy wreszcie dobiegłem do mety i sprawdziłem stoper, zobaczyłam czas 12'45". Byłem załamany. To nie był czas, na jaki mogłem sobie pozwolić na egzaminie. Wracając do internatu, przez całą drogę analizowałem, co zrobiłem źle. Od miesięcy spędzałem na ćwiczeniach setki godzin, byłem niewyspany, przemęczony, a do tego dokładałem sobie jeszcze wieczorne treningi. Niestety przetrenowałem swój organizm, który dał mi wyraźny sygnał. Musiałem podjąć decyzję, że do egzaminów zrezygnuję z dodatkowych treningów wieczorami.

Minęły dwa tygodnie. W piątek rano pojechaliśmy na strzelnicę. Ogromna adrenalina towarzyszyła nam wszystkim. To był bardzo ważny sprawdzian naszych umiejętności. Instruktorzy doskonale wiedzieli, że nie mogą dopuścić do czarnej taktyki kursanta, który nie opanował odpowiedniego posługiwania się bronią. Strzelanie w GROM-ie zawsze było priorytetem i musiało być na najwyższym poziomie. Strzelaliśmy w limitach czasowych z różnych postaw z pistoletów HK USP, pistoletów maszynowych MP5 oraz karabinków M4. Ocenie podlegało strzelanie w bliskim dystansie, tak zwane El Presidente, oraz na celność z trzech postaw na odległość stu metrów. Opanowanie i skupienie na zadaniu są w takich sytuacjach najważniejsze. Wcześniej wielokrotnie trenowaliśmy wszystkie te elementy, jednak egzamin zawsze wywołuje dodatkowy stres, który jednych mobilizuje do działania, a innych wręcz przeciwnie. Ja w takich sytuacjach bardzo mocno skupiam się na zadaniu. Byłem przygotowany i kiedy przyszła moja kolej, wszystkie zadania strzeliłem bardzo dobrze. Jednak nie wszyscy przeszli pozytywnie ten test. Zasada była prosta: niezaliczony element sprawdzianu można było powtórzyć tylko raz.

Skończyliśmy około południa i wróciliśmy naszym zielonym autobusem do jednostki na dalszą część egzaminu. Zaczynaliśmy od hali sportowej, gdzie czekały nas podciągnięcia siłowe, brzuszki i bieg wahadłowy. Nie wiem, czy to adrenalina, czy mój organizm dziękował mi za przerwę w treningach, ale jeszcze nigdy w życiu nie miałem takiej formy. Cały test przeszedłem wyśmienicie i byłem bardzo z siebie zadowolony. Został tylko bieg na dystansie 3000 metrów.

Była druga połowa marca, na dworze padał na przemian deszcz i śnieg. Kiedy stanęliśmy na starcie, nasza bieżnia wyglądała jak olbrzymia kałuża. „Start!” – krzyknął instruktor, a my bieглиśmy ile sił w nogach, brodząc po kostki w błocie. Każdy, kto kiedykolwiek biegł w takich warunkach, wie, jaka to „fajda”. Mieliśmy też świadomość, że Zespół Bojowy A obserwuje nasze zmagania z okien swojego budynku, co mobilizowało nas jeszcze bardziej. W błocie biegnie się wolniej, ale przecież to kurs podstawowy i nie miało to żadnego wpływu na limity czasowe, nie było taryfy ulgowej, musieliśmy dać z siebie wszystko. Cały mokry i ubłocony dobiegłem do mety. Chociaż nie jestem wylewny, tym razem cieszyłem się jak

dziecko, wiedząc, że przeszedłem do kolejnego etapu. Niestety nie wszyscy mogli cieszyć się tak jak ja, ale takie były zasady. Jeśli rzeczywiście chcemy mieć w zespole najlepszych ludzi, musimy stworzyć jednoznaczne, wyśrubowane kryteria selekcji, a potem je konsekwentnie stosować. Każdy, kto odpadał, musiał się z tym pogodzić. Zdawaliśmy sobie sprawę, że szkolimy się do walki i wszyscy musimy reprezentować bardzo wysoki poziom.

Nie było czasu na odpoczynek. Zaraz po egzaminach zaliczyliśmy kolejny poligon. Tym razem trenowaliśmy strzelanie z broni ciężkiej i granatników – karabinu maszynowego Minimi 5,56, ciężkiego karabinu maszynowego Manroy 12,7 mm, granatnika AT4 84 mm oraz granatnika Carl Gustaf 84 mm. Szczególnie spodobały mi się dwa ostatnie – proste w obsłudze i niezwykle skuteczne w walce. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że już wkrótce w górach Afganistanu będziemy walczyć z bojownikami, a te właśnie granatniki odegrają dużą rolę podczas naszego kontaktu ogniowego.

Ostatnie sekundy przed lądowaniem





Z powietrza

Jednym z elementów szkolenia na kursie podstawowym są skoki spadochronowe. Skoki były moją pasją od wielu lat. Uwielbiałem pęd powietrza, adrenalinę i prędkość opadania. Podczas zajęć na kursie skakaliśmy na lotnisku kawalerii powietrznej w Tomaszowie Mazowieckim. Jako kurs podstawowy prezentowaliśmy bardzo zróżnicowany poziom umiejętności spadochronowych. Jednak spora część chłopaków, podobnie jak ja, była instruktorami spadochronowymi wojsk powietrznodesantowych i dobrze sobie radziła. Szefem naszego zgrupowania był Siwy – szef służby spadochronowej, bardzo doświadczony skoczek, który wcześniej był operatorem w zespole bojowym. Biła od niego pewność siebie i charyzma. Mówi się w takich sytuacjach, że facet jest konkretny. Kiedy byłem już w zespole bojowym, w grupie halo/haho, wielokrotnie brałem udział w zgrupowaniach spadochronowych, których Siwy był szefem. Pasja, z jaką przekazywał wiedzę, sprawiała, że każde takie zgrupowanie było wyjątkowe. To właśnie między innymi dzięki niemu skakaliśmy na sprężcie światowej klasy. Wyjazdy szkoleniowe do Niemiec na ćwiczenia w tunelu aerodynamicznym, którego jeszcze wtedy w Polsce nie było, skoki w nocy w pełnym bojowym oporządzeniu w noktowizorach to tylko niektóre z elementów naszego bojowego szkolenia w tamtym czasie.



Trening freefly – Zespół Bojowy A

Wróćmy jednak do kursu podstawowego. To właśnie Siwy udzielił nam kolejnej lekcji zasad, jakie panują w GROM-ie. Skakaliśmy ze śmigłowca W-3 Sokół. Na jego pokładzie czułem się bardzo swobodnie, ponieważ miałem za sobą setki skoków i zrzutów skoczków spadochronowych jako instruktor pokładowy, latałem nim na ćwiczeniach, poligonach czy misji w Iraku.

Po wykonaniu kilku skoków na wolne otwarcie mieliśmy spakować nasze zasobniki i przygotować się do skoku z zasobnikiem. W tamtym czasie zasobniki montowane były wysoko na skoczku, w systemie brytyjskim. Było to niewygodne i niebezpieczne dla skoczka w wolnym opadaniu, ponieważ wystarczyła mała asymetria i wpadało się w korkociąg, który kończył się prawie zawsze ratowaniem się na spadochronie zapasowym. Jednak tym razem mieliśmy skakać „na linę”. System ten był dużo bezpieczniejszy i nie wymagał od skoczka aż takich umiejętności. Spakowaliśmy zasobniki, naszym zdaniem dobrze, i gotowi do skoku czekaliśmy.



Skoki z zasobnikiem na wolne otwarcie ZBA

Siwy spokojnie podszedł do jednego z nas i wziął do ręki zasobnik. „Co to, kurwa, ma być?” – zapytał. Natychmiast przerwał skoki i zebrał wszystkich, aby powiedzieć nam, że nie wyobraża sobie, że będziemy skakać z tak lekkimi zasobnikami. Po czym spokojnie wyjaśnił dlaczego. Okazało się, że zasobnik musi być bardzo ciężki i niezwykle starannie spakowany, ponieważ tylko tak można bezpiecznie oddać skok. Poczuliśmy się bardzo niezręcznie, tak jak byśmy chcieli go oszukać. Natychmiast spakowaliśmy zasobniki jeszcze raz. Tym razem mój ważył około 40 kilogramów i rzeczywiście był gotowy do skoku.



Miękkie lądowanie – czas zgasić czasze

Skoki zawsze dostarczają sporej dawki wrażeń, czasem również tych śmiesznych. Spędzaliśmy wiele czasu na wspólnych treningach i ćwiczeniach, podczas których każdy z nas popełniał błędy, które zasługiwały na szyderę. Była to pozytywna krytyka niewłaściwego bądź głupiego zachowania, która trwała tak długo, aż następna osoba nie zrobiła czegoś, co powinno być objęte szyderą.

Pamiętam, jak jeden z chłopaków z naszego kursu wylądował na drzewie. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że leciał na spadochronie sterowanym typu „skrzydło”, a drzewo rosło samotnie na polu i można je było spokojnie ominąć z każdej strony. Oczywiście został „gwiazdą” kursu i na jakiś czas był objęty naszą szyderą. To niewiarygodnie skuteczne narzędzie pozwala każdemu, nie tylko żołnierzowi, uodpornić się psychicznie.



Działania specjalne

Zajęcia na kursie były zaplanowane tak, że strzelanie i taktyka przewijały się cały czas przez program kursu. Kolejny etap to działania specjalne. Do ich zakresu należy: rozpoznanie specjalne, akcje bezpośrednie, CSAR oraz wsparcie militarne. Podstawowe etapy działań sekcji szturmowej to: izolacja, przerzut, organizacja bazy, wykonanie zadania, połączenie z wojskami własnymi. Taktyka działań specjalnych była tak naprawdę rozszerzeniem etapu pierwszego, w którym przez sześć tygodni nie wychodziliśmy z lasu. Na tamtym etapie kursu działaliśmy jako plutony rozpoznawcze, posługiwaliśmy się bronią kbk AKMS i km PK. Teraz działaliśmy jako siły specjalne. Każdy z nas miał karabinek M4 z optoelektroniką oraz karabin maszynowy Minimi. Tutaj jednak największą wagę instruktorzy przykładali do skrupulatnego planowania operacji.

Piętnastego maja rozpoczęliśmy trening. Podczas izolacji bardzo ważne było przestrzeganie procedur. Nie mogliśmy używać telefonów komórkowych ani kontaktować się z bliskimi. Ćwiczenie trwało ponad tydzień. Pewnego dnia podczas planowania jednemu z nas zadzwonił telefon. Mieliśmy przerąbane i o mały włos kilku chłopaków nie wyleciało z kursu. Nie było żartów. Każdy musiał wiedzieć, że to nie jest zabawa i wszystkie nawyki, jakie wyniesiemy z kursu, będą niezwykle istotne w naszym dalszym GROM-owskim życiu.

Komendant Czarny jako absolwent kursu amerykańskich zielonych беретów był specjalistą w planowaniu. Niezwykle skrupulatnie sprawdzał nas ze wszystkich etapów planowania misji. Każdy musiał precyzyjnie referować przed całością swoją działkę. Mnie podczas planowania przypadła rola oficera wywiadu, którego zadaniem było przygotowanie informacyjne. Czarny punktował mnie, zadając trudne pytania. Jednak to nauczyło nas umiejętności przedstawiania sytuacji oraz przygotowało do planowania późniejszych operacji.

Dwudziestego czwartego maja rozpoczęliśmy odprawę operacyjną przed akcją bezpośrednią. Naszym zadaniem była likwidacja grupy terrorystów przebywającej w obiekcie „bunkier”. O godzinie 19.30 nasza grupa została załadowana na pojazdy i desantowana w głównym punkcie desantowania. Powoli marszem ubezpieczonym

przemieszczaliśmy się do punktu kontaktowego. Działaliśmy w dwóch grupach, jedna przygotowywała szturm, a druga ubezpieczenie. Z punktu rozejścia przemieściliśmy się na swoje pozycje. W takich akcjach wszystko musi być niezwykle skrupulatnie zaplanowane. Legendowanie, MEDEVAC, wsparcie, sygnały, czas przebywania na obiekcie, kto robi zdjęcia, kryteria przerwania misji, plan ucieczki i odzyskania i wiele innych. Ponadto należy przećwiczyć wcześniej poszczególne elementy operacji. My trenowaliśmy to wszystko wcześniej na naszym stadionie. Atak przewidziany był na 3.30. Ciepła majowa noc, wszyscy na pozycjach, moja grupa ubezpieczała szturm, kiedy przez radio usłyszałem sygnał: „Predator”. Z rozkazu operacyjnego wiedziałem, że oznacza to: „Naprzód”.

Szturm trwał kilka minut. Obiekt został zaatakowany, terroryści zlikwidowani. Po szturmie i przeszukaniu następuje wycofanie. Ubezpieczenie w takich sytuacjach schodzi z pozycji jako ostatnie. O godzinie 4.30 byliśmy gotowi do podjęcia, wróciliśmy do bazy. Jednak nie był to jeszcze koniec. Czekał nas egzamin teoretyczny, po którym dopiero mogliśmy rozpocząć kolejny etap naszego kursu, czyli taktykę czarną.

Jednak zanim miało się to wydarzyć, musieliśmy przejść bardzo wymagający test, który nazywał się „Przetrwanie w niewoli”.



36 godzin w niewoli

Jednostka GROM w tamtym czasie przygotowywała personel dyplomatyczny do misji i wyjazdów zagranicznych. Zespół bojowy, w którym byłem operatorem, szkolił dyplomatów, polityków oraz dowódców z umiejętności przetrwania w niewoli. Ta niezwykła wiedza może przydać się nie tylko wysokiej rangi personelowi dyplomatycznemu, ale i każdemu z nas. Dzisiaj, gdy swobodnie przemieszczamy się po świecie, możemy być narażeni na uprowadzenia, długotrwałe przetrzymywania lub zostanie zakładnikami grupy terrorystycznej. Na wszelki wypadek warto wiedzieć, jak się wtedy zachować, co robić, jak komunikować się z terrorystami.

Wcześniej rano do naszego budynku przyszedł jeden z instruktorów. „Za chwilę przyjdzie do was psycholog” – powiedział. Dowiedzieliśmy się, że będziemy się szkolić z umiejętności przetrwania w niewoli. Gdy byłem na misji w Iraku, dużo rozmawiałem z operatorami z zielonych beretów o okrucieństwie, jakiemu poddawani są żołnierze sił specjalnych po złapaniu przez terrorystów. Byliśmy dla nich szczególnie cenną zdobyczą, trofeum. Psycholog zabrał nas do sali wykładowej, gdzie pokazał nam okrutne sceny z egzekucji zakładników. Wiele lat byłem żołnierzem, widziałem w Iraku zwłoki innych żołnierzy, ciała porozrywane wybuchami, ludzkie wnętrzości i urwane kończyny. Jednak obrazy, które zobaczyłem tego dnia, zrobiły na mnie potężne wrażenie. Dlaczego? Ponieważ zobaczyłem niemoc i paraliż wywołane potwornym stresem. Czy można tego uniknąć i wytrenować swój organizm, żeby walczył, a nie zamierał w sytuacji zagrożenia życia? Tak, można to zrobić! Dlatego musieliśmy przejść bardzo wymagające szkolenie, które po raz kolejny miało zweryfikować, kto pójdzie dalej, a kto niestety zakończy swoją przygodę z kursem podstawowym.

Ekstremalne przeżycie dostarcza olbrzymiego stresu. Niewola jest właśnie takim stanem, który wynika z interakcji organizmu z otoczeniem. Jak reaguje twój organizm? Ciężki i płytki oddech, trzęsące się ręce, szybsze bicie serca, problem z koncentracją? Tak, to wszystko może w takiej sytuacji u ciebie wystąpić. Czasem przy tak dużym stresie nasz mózg zalewany jest taką ilością hormonów,

z adrenaliną na czele, że widzisz tunelowo, czyli tylko to, co się dzieje w centrum. Tracisz kontakt z otoczeniem, skupiając się na tym, co przed tobą. Czasem możesz nawet stracić zdolność słyszenia. Wiele osób doświadcza spowolnienia upływu czasu, wydaje się, jakby wydarzenia wokół nas rozgrywały się w zwolnionym tempie. Jest to tak zwany efekt *slow motion*. Następuje utrata zdolności ruchowych oraz koordynacji. Ważne, abyś zdawał sobie z tego sprawę i potrafił to rozpoznać, a następnie działać odpowiednio do sytuacji.

Psycholog zaczęła trening i opowiedziała nam, czego możemy się spodziewać podczas niewoli: obelgi, bicie, tortury, manipulacje, ekstremalne zachowanie twoje i twoich towarzyszy, utrata zdrowia czy śmierć. Ważne jest, aby uczyć się rozpoznawać swoje emocje, takie jak strach, lęk, wyparcie, i mimo to działać. Po pierwsze, musisz dokonać analizy swoich mocnych i słabych stron, czyli zorientować się, jakie istnieją zagrożenia i jakie masz szanse. Kolejną bardzo ważną rzeczą jest stworzenie podwójnego świata niewoli. Na zewnątrz jest to, co widzi wróg, i to jest pierwszy świat. Musisz stać się aktorem grającym swoją rolę. Wewnątrz jest twój drugi świat. Tam odbywają się twoje realne działania. To tu musisz być sobą. Na zewnątrz nie bądź zbyt asertywny ani zbyt pasywny, nie dyskutuj, nie komentuj wypowiedzi, nie bądź bohaterem, rób to, co ci każą, nie denerwuj porywacza. Bądź obiektem ludzkim, używaj swojego imienia. Wewnątrz musisz mądrze wykorzystywać czas. Bacznie obserwuj otoczenie, jedz zawsze, kiedy ci dają, śpij, kiedy możesz. Rozwiń w sobie wolę przetrwania, znajdź cel: rodzina, prestiż, twoje życie. Rozpocznij planowanie różnych wariantów oraz grę między tobą a oprawcami. „Na to wszystko musicie być przygotowani, a teraz stwórzcie precyzyjną legendę, według której będziecie działać” – powiedziała nasza psycholog i wyszła z sali.

Ponieważ według założeń ćwiczenia naszym zadaniem było przemieszczenie się do Afganistanu i wykonanie misji bojowej, zaczęliśmy planować. Moja sekcja szybko wpadła na pomysł, że będziemy podawać się za budowlańców z firmy Budimex, którzy mają kontrakt w Dżalalabadzie. Sprawdziliśmy dokładnie informacje o firmie, rozkład lotów, możliwe przesiadki, dokumenty, jakie trzeba mieć przy sobie. W takich sytuacjach liczą się też szczegóły. Podczas przesłuchania możesz być zapytany na przykład o kolor włosów stewardesy na pokładzie samolotu, którym leciałeś, o czym rozmawialiście z kumplami i tym podobne. Legenda zwykle po jakimś czasie się rozsypuje, jednak im lepiej zadbasz o szczegóły, tym dłużej przetrwa.

Następnego dnia spotkaliśmy się wszyscy w hali sportowej. W powietrzu czuć było specyficzne podniecenie, które pojawia się zwykle w sytuacjach, kiedy nie wiadomo, czego można się spodziewać. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że będzie to jedno z najtrudniejszych i najmniej przyjemnych szkoleń w moim życiu.

Byliśmy wywoływani na zewnątrz pojedynczo. Przyszła moja kolej. Spokojnie otworzyłem drzwi i kiedy przechodziłem przez próg, nagle dostałem od tyłu potężne uderzenie w kark z jednoczesnym podcięciem. Zamroczyło mnie i nie wiem kiedy ktoś narzucił mi worek na głowę, a druga osoba założyła mi plastikowe kajdanki. Zostałem wyprowadzony i wrzucony na pakę samochodu ciężarowego. Czułem, że nie jestem sam. Co chwila przyprowadzany był kolejny „zakładnik”. Ciasno skute ręce zaczęły mi puchnąć, jednak wiedziałem, że muszę to wszystko wytrzymać. Było nas coraz więcej.

W końcu samochód ruszył. Wszyscy klęczeliśmy na pace. Podróż trwała dosyć długo, ale wreszcie dojechaliśmy na miejsce. Przez worek na twarzy nie widziałem, gdzie jesteśmy. Po zejściu z paki samochodu poczułem jednak znajomy zapach drewnianych baraków, w których spędziliśmy pierwszy etap kursu. Instruktor wprowadził mnie do jakiegoś pomieszczenia. Rozkuli moje okaleczone i spuchnięte ręce. Poczulem niewiarygodną ulgę, jednak za chwilę ponownie mi je związali, tym razem taśmą. Worek, który miałem na głowie, został dodatkowo szczelnie owinięty wokół mojej głowy i zaklejony czarną taśmą na wysokości oczu.

Przez pierwsze kilka godzin klęczałem w pomieszczeniu, w którym z głośników płynęła przerażająca muzyka. Co jakiś czas ktoś polewał mnie wodą. Głowa coraz bardziej bolała od ciasno zaciśniętego wokół niej worka. Co chwilę słyszałem krzyki chłopaków wyprowadzanych z pomieszczeń i bitych. Wreszcie przyszła kolej na paralizator elektryczny – taser. Nigdy wcześniej nie byłem poddany tego typu torturom i nie wiedziałem, jak zareaguje moje ciało. W tamtym czasie tasery nie były jeszcze tak dobrze znane. Gra się rozpoczęła.

Poprosiłem o wyjście do toalety. Niestety nie tylko my znaleźliśmy techniki manipulacji – instruktorzy, którzy prowadzili te zajęcia, byli do tego świetnie przygotowani i znali większość naszych sztuczek. Kiedy tylko wyszedłem na zewnątrz, dostałem strzał z elektrod tasera, które utkwiły w moim ciele, a ja w ułamku sekundy sparaliżowany padłem na ziemię. Przez pięć kolejnych sekund w drgawkach i konwulsjach nie miałem żadnego wpływu na to, co się ze mną dzieje. Potworne uczucie bezradności połączone z okropnym bólem. Kiedy wstałem, instruktor spytał, czy wciąż chcę do toalety. Poprosiłem, aby uwolnił mi ręce, które nadal były związane z tyłu, i skuł je z przodu – tak abym mógł „obsłużyć się” sam. Nie wiem, czy pomyślał, że jestem jakiś nienormalny, ale, o dziwo, zrobił to.

Straciłem poczucie czasu. Wokół słyhać było przerażające krzyki chłopaków na przemian polewanych wodą i rażonych paralizatorem. Wszyscy walczyliśmy o kolejne minuty. W głowie układałem sobie plan, analizowałem sytuację. Wiedziałem, że to musi się kiedyś skończyć.

Późno w nocy zostałem wyprowadzony na przesłuchanie. Byłem zmarznięty i mokry od ciągłego polewania wodą. Grad pytań poleciał w moją stronę. Przesłuchujący wykorzystali wszystkie znane mi techniki manipulacji, żeby znaleźć szczelinę w mojej osobowości. Wstrzykiwali jad, mówiąc, że moja sekcja dawno mnie wsypała. Wytrwale szukali dziury w mojej legendzie. Niestety kilka razy się przejęczyłem, co dało im przewagę. Dodatkowo stał przy mnie instruktor z paralizatorem i co chwila dostawałem strzał prądem. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak dużo przesłuchujący o mnie wiedzieli. Podawali takie szczegóły z mojego życia, że nigdy bym nie pomyślał, że ktoś może to wiedzieć. W końcu zostałem zaprowadzony z powrotem do pomieszczenia. Teraz, choć nic nie widziałem, od razu poczułem, że siedzi w nim cała moja sekcja. Instruktor zaczął wypytywać: „Kto jest tutaj dowódcą?”, „Co tu robicie?”, i za każdym razem raził nas prądem. Było naprawdę nieprzyjemnie. Jednak kiedy siedzieliśmy wszyscy razem, uwięzieni w jednym miejscu, poczułem jakąś niesamowitą siłę. Wiedziałem, że trzymamy się razem i wszystko będzie dobrze. Jednak ciągłe krzyki bitych chłopaków przerażały coraz bardziej.

Nad ranem zrobiło się piekielnie zimno. Polewani wodą zaczęliśmy wpadać w hipotermię. Walka ciągle trwała i na tym etapie wydawało mi się, że nigdy się nie skończy. Wiedziałem jednak, że muszę to przetrwać, byłem niezwykle zdeterminowany. Po jakimś czasie poczułem, jakby robiło się cieplej. Okazało się, że to kolejny już świt w niewoli. Nie miałem pojęcia, ile czasu już jesteśmy w tym miejscu. Poczułem szarpnięcie za ramię. „Wstawaj, wychodzimy!” – powiedział instruktor, po czym wyprowadził mnie na zewnątrz. Pomyślałem, że znowu będzie przesłuchanie i czeka mnie kolejny strzał taserem. Jednak ten rozkuł moje ręce i powiedział: „Jesteś wolny”. Na początku nie wierzyłem i pomyślałem, że to kolejna gra. Zdjąłem jednak z głowy worek i odsłoniłem oczy. Blask słońca uderzył w moje źrenice, które natychmiast się zwężyły. Błądźnik wariował i nie mogłem przez chwilę złapać pionu. Byłem wolny. Usiadłem na ziemi i nie wierzyłem, że to koniec. Po 36 godzinach w „niewoli” spojrzałem w niebo i pomyślałem: „Dałem radę!”.

Po ćwiczeniu nie było żadnych fajerwerków. Na omówieniu dowiedzieliśmy się o naszych słabych i mocnych stronach. Niestety po raz kolejny kilku chłopaków musiało się z nami pożegnać.



Królowa taktyk

Taktyka CQB, tak zwana czarna, jest królową taktyk. Dlaczego? Tutaj umysł operatora musi pracować na najwyższych obrotach. Zalewany olbrzymią ilością informacji, nie może dopuścić do brain locka. Działasz bardzo szybko, podejmując ekstremalnie trudne decyzje, w limitach czasowych. Masz w rękę niesamowite narzędzie, czyli broń, ale nie to jest najważniejsze. Najważniejsze jest to, że musisz zdawać sobie sprawę, że to ty decydujesz o życiu lub śmierci ludzi. Dlatego nie każdy może wykonywać tę robotę – i nie ma w tym nic złego. Można odnaleźć się w zupełnie innym zawodzie, kochać go i wykonywać z sukcesami przez całe życie.

Mogłoby się wydawać, że cechy psychofizyczne wyselekcjonowanych na kurs żołnierzy oraz dotychczasowe etapy szkolenia, które przeszliśmy, już świadczą o tym, że nadajemy się do tej roboty. Niestety etap czarnej taktyki miał pokazać, że to nie dla wszystkich. Teraz przeprowadzę cię przez wyjątkowy okres w naszym szkoleniu, który wyrócił do góry nogami moje dotychczasowe postrzeganie taktyki sił specjalnych.

Największą rolę w naszym szkoleniu CQB odegrało dwóch instruktorów: Gajowy i Dudek. Obydwaj byli w jednostce GROM od jej samego początku. Przeszli elitarne szkolenia z brytyjskimi i amerykańskimi siłami specjalnymi. Ich ogromne doświadczenie i umiejętności metodyczne spowodowały, że mogliśmy przyswajać tę bardzo wymagającą wiedzę w dużym tempie.

Od tej pory naszym głównym wyposażeniem miały być: nomeksowy kombinezon, kamizelka kuloodporna, hełm, gogle, broń i radiostacja, a domem został Killing House. Pewne elementy tej wielopłaszczyznowej taktyki przerabialiśmy już na wcześniejszych etapach kursu, jednak dopiero teraz mieliśmy poznać jej tajniki w najdrobniejszych szczegółach.

Zaczął się jak zwykle spokojnie. Pierwsze kroki to podstawowe rozejścia, otwieranie drzwi, opanowanie pojedynczego pomieszczenia. Ćwiczyliśmy wszystko dwójkami, trójkami, czwórkami oraz całą sekcją. Naprawdę trzeba było „jarzyć”, aby nadażyć. Jeszcze będąc w Lublińcu, poznałem nieco taktykę czarną, jednak ta w GROM-ie była zupełnie czymś innym. Każdy detal został szczegółowo

omówiony i poparty bojowym przykładem z doświadczenia instruktorów. Wykonywaliśmy setki wejść „na sucho” z amunicją simunition FX, zanim pierwszy raz użyliśmy amunicji bojowej. Wielogodzinne treningi wymagały od nas niezwykłego skupienia, koncentracji oraz wytrzymałości fizycznej.

Kolejny szturm na obiekt. Przygotowaliśmy już ładunki osobiste, podzieliliśmy zadania i ruszamy. W sekcji na kursie zmienialiśmy się funkcjami, aby każdy mógł pracować na różnych pozycjach. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że po kursie zostanę ciężkim, czyli breacherem. Sygnał od ostatniego do pierwszego i naprzód pod główny punkt wejścia. Trzymamy sektory, jedynka obserwuje drzwi. Ja jestem ciężkim, niosę ładunek tarczowy, za którego pomocą za chwilę wysadzę drzwi wejściowe. Szczelnie przykładam ładunek do drzwi, rozciągam kabel z systemem detonacji, patrzę, czy wszyscy są na pozycjach, i krzyczę: „Zapalniczka!”. Następuje wybuch. Kurz, dym i zapach materiału wybuchowego wypełnia nasze drogi oddechowe. Adrenalina jest tak silna, że działamy mechanicznie, jak roboty. Drzwi wpadają z impetem do środka. Na korytarzu tarcze z terrorystami, padają błyskawiczne strzały. Komenda: „Sprawdź”. Nie ma żadnych niespodzianek, wszystkie cele zlikwidowane.

Reorganizacja i przygotowanie do kolejnego wejścia. Na korytarzu nie jesteśmy bezpieczni, ustawiamy się więc pod ścianą. Kolejne sekcje zalewają pomieszczenia. Jedynekka informuje nas, że sekcja po przeciwnej stronie korytarza przygotowuje się do wysadzenia drzwi. „Zapalniczka!” i za chwilę słyszymy wybuch. W ciasnym korytarzu prawie nic nie widać, jednak przechodzimy dalej do następnego pomieszczenia. To jedynka decyduje, z której strony drzwi się ustawiamy. Przechodzę na przeciwną stronę niż jedynka i oceniam drzwi, „Ładunek!” – krzyczy jedynka. Wyciągam z kieszeni kombinezonu krótki zwinięty ładunek na zamek, przecieram rękawicą taktyczną miejsce, gdzie za chwilę go przykleję. Ładunek przyklejony i uzbrojony. Rozciągam kabel z systemem detonacji, patrzę, czy wszyscy są na pozycjach, i krzyczę znowu: „Zapalniczka!”. Drzwi wypadają i sekcja błyskawicznie wchodzi do pomieszczenia. W środku niewiele widać, ale przez zaparowane gogle identyfikujemy cele i padają strzały. Jest ciasno, pociski przelatują tuż przy głowie, dlatego każda zmiana kierunku celowania musi być naprawdę precyzyjna. Jedna sekunda nieuwagi i możesz zabić kolegę. „Sprawdź”. Podchodzę do pierwszej tarczy. Cztery otwory po pociskach: jeden w głowie i trzy w klatce piersiowej. Następna tarcza: trzy w głowie, cztery w klatce piersiowej. „Czysto”. Przygotowanie do wyjścia. Złapanie oddechu, klepięcie w ramię od końca i jedynka wychodzi na korytarz. Następne pomieszczenie. Jedynekka ustawia się przy drzwiach. Ja z czwórka przechodzimy na drugą stronę. „Ładunek!” – krzyczy jedynka. „Blok” – odpowiadam. „Shotgun zawiasy”. Dwa strzały i zacięcie. Czwórka już gotowa do otwarcia mechanicznego,

ja się wycofuję i w tym samym czasie czwórka wbija płetwę hooligana w przestrzeń między zawiasami a futryną. Duża dźwignia i drzwi wypadają. Do pomieszczenia wpada flashbang i jedynka błyskawicznie wchodzi do środka, tuż za nią kolejni. Dym, kurz i huk. Wszystko dzieje się błyskawicznie. W pomieszczeniu tarcza z zakładnikiem. Padają strzały.

„Czysto”. Zbieramy się do wyjścia. Kolejne pomieszczenie. „Shotgun zamek”. Kilka precyzyjnych strzałów, drzwi otwierają się i jesteśmy w środku. Pot zalewa nam twarze, przez zaparowane gogle niewiele widać. Jednak musimy się skupić i prawidłowo zidentyfikować cele. Pada kilka strzałów, przeciwnik zostaje zneutralizowany. Koniec strefy odpowiedzialności. Ponownie łapiemy oddech i wychodzimy z pomieszczenia. Przygotowanie do ewakuacji. Zbieramy zakładników. Słyszymy przez radio hasło: „Ewakuacja”. Pora na nas. „Desant, desant, desant!”. Tym razem wszystko poszło dobrze.

Wiedzieliśmy, że tylko najlepsi przejdą ten etap. Dlatego wszyscy pracowaliśmy z całym sił. Wiedza, którą nam przekazywano, była tak fascynująca, że wręcz nie chciało mi się wychodzić z jednostki. Mimo zmęczenia i późnej pory jeszcze wiele godzin rozmawialiśmy z chłopakami o naszych ustawieniach, wejściach do pomieszczeń i odstrzelonych tarczach z terrorystami.

Kolejnym naszym domem stał się WICHiR. To tu trenowaliśmy ataki na budynek wielokondygnacyjny. Taktyka opanowania budynku wielokondygnacyjnego to: podejście, atak, reorganizacja, wycofanie. Ustalaliśmy wszystkie elementy: punkty wejścia, strefy odpowiedzialności, punkty spotkań na klatkach schodowych, która sekcja odpowiada za złapanych terrorystów, cywili czy niepewnych. Wszystkie szczegóły taktyczne były niezwykle dokładnie przećwiczone. Jeszcze nigdy nie widziałem, aby zajęcia były prowadzone na tak wysokim poziomie merytorycznym. Instruktorzy zwracali szczególną uwagę na czyszczenie rogów pomieszczeń, płynność naszych wejść, zalewania poszczególnych kondygnacji oraz komunikację między sekcjami. Wchodziliśmy przez wszystkie możliwe punkty wejścia. Podczas ataku natychmiastowego podjeżdżaliśmy na ławeczkach naszymi mercedesami galendami i wchodziliśmy po drabinie przez okno. Setki powtórzeń w dzień i w nocy. Instruktorzy wymuszali na nas szybkie podejmowanie decyzji. Maskowali broń na tarczach z terrorystami, abyśmy prawidłowo identyfikowali cel. Szczególnie ważne były tak zwane sytuacje zakładnicze. Tu podjęcie właściwej i szybkiej decyzji jest kluczowe. Każdy z nas, kto odstrzelił zakładnika, bardzo mocno to odczuł. Nie można było pozwolić sobie na pomyłkę – w realnym życiu byłaby to porażka całej misji.

Przypomina mi się pewna historia. Byłem już wtedy operatorem na Zespole Bojowym A. Trenowaliśmy taktykę na poligonie w Wędrzynie z jedną z amerykańskich jednostek sił specjalnych. Atakowaliśmy wielokondygnacyjny

budynek wspólnie z amerykańskimi operatorami. Podejście, ładunek indywidualny na drzwi, wybuch i natychmiastowe zalanie pomieszczenia. Po wybuchu w pomieszczeniu unosiło się bardzo dużo kurzu, który wdierał się w nozdrza oraz przysłonił tarcze. Szybkie rozejście, identyfikacja celu i odstrzelenie terrorystów. Padła komenda: „Sprawdź”. Podszedłem do swojej tarczy, sprawdziłem ją, a następnie kolejną i kolejną. Zobaczyłem, że został zastrzelony zakładnik. Od razu musieliśmy ustalić, kto za to odpowiada. W moim zespole za odstrzelenie zakładnika można było nawet zostać usuniętym z sekcji bojowej. Okazało się, że zrobił to Amerykanin. Natychmiast przyszedł amerykański sierżant major i kazał żołnierzowi zdjąć kamizelkę i hełm oraz oddać broń. Chłopak wracał biegiem do obozowiska, a następnego dnia już go nie było na ćwiczeniach. Z tego, co wiem, musiał opuścić szeregi swojego szwadronu.

Takie procedury może i są bezwzględne, ale to twoje życie jest w naszych rękach, kiedy idziemy uwolnić cię od terrorystów. Musisz być pewny, że ci, którzy cię ratują, prezentują najwyższy możliwy poziom wyszkolenia. Trzeba też wiedzieć, że życie operatora podczas szturm w sytuacji zakładniczej jest na drugim planie. Tak byliśmy szkoleni i tak też działaliśmy przy uwalnianiu zakładników podczas operacji bojowych.

Taktyka czarna to nie tylko ataki na budynki. Operator musi nauczyć się również szturm na pojazdy kołowe, szynowe oraz samoloty. Atak na autobus trenowaliśmy przez wiele godzin. Na kursie nie było żadnych środków zastępczych. Jeśli miał być atak na autobus, to rano przed zajęciami w jednostce już stał autobus, który później szturmowaliśmy. Strzelanie w tak małych przestrzeniach wymaga precyzji. Instruktorzy, aby jeszcze bardziej podkreślić atmosferę, stawali między terrorystami i musieliśmy bardzo precyzyjnie oddawać strzały. Aby poczuć uderzenie pocisku FX, rozbieraliśmy się do kombinezonów i trenowaliśmy tylko w ochraniaczach oczu. Jedynie w ten sposób można poczuć na własnej skórze siłę uderzenia. Nieraz po zajęciach wracaliśmy cali w siniakach, które pozostawiły na naszych ciałach plastikowe pociski z farbą.

Trenowaliśmy również ataki na samochody osobowe. Tutaj jest trochę inaczej. Strzelasz do osób znajdujących się w samochodzie. Operatorzy podchodzą do auta od tyłu i wstrzeliwują do środka gaz. Aby nie postrzelić pozostałych osób znajdujących się w samochodzie, musisz skierować wylot lufy bezpośrednio na cel. Dzisiaj na szczęście jednostka ma niesamowite narzędzie do walki – psy bojowe. To one podczas tego typu zadań jako pierwsze biegną do samochodu. Wyobraź sobie, jak pies wpada do środka przez rozbite okno, a jego potężne szczęki miażdżą ramię terrorysty. Operatorzy szturmują auto i w mgnieniu oka likwidują niebezpieczeństwo. Po latach okaże się, że to ja będę twórcą i pierwszym dowódcą

tej niesamowitej grupy przewodników psów bojowych. Ale zanim to się stanie, będę musiał jeszcze bardzo wiele się nauczyć i przeżyć.

Całe noce trenowaliśmy różne warianty szturmów: ataki, podejścia, zatrzymania składów pociągów, opanowanie sterówki, wagonów, przejście z tarczą balistyczną przez całą długość pociągu w warszawskim metrze. Operator musi wiedzieć, jak opanować tłum, aby po kilku ustnych komendach mieć kontrolę nad wagonem. Trzeba też, by wiedział, jak rozbić szybę w wagonie – a okazuje się, że nie jest to takie proste. Byłem w składzie grupy atakującej na peronie, której zadaniem było rozbicie szyb, a następnie opanowanie przez rozbite okno przedziału, zanim sekcja szturmowa wejdzie do środka. Tym razem to Ładny miał rozbić szybę. Z charakterystyczną dla niego nonszalancją i pewnością siebie złapał za młot i tuż po zatrzymaniu pociągu podbiegł do okna, wziął potężny zamach i z całej siły uderzył w środek szyby. Okazało się, że nie pękła, a siła odśrodkowa spowodowała, że się przewróciła. Ktoś krzyknął: „Ładny, wał w róg!”. Chłopak powtórzył próbę i szyba uderzona w odpowiednie miejsce potężnym ciosem młota rozleciała się w drobny mak. W naszej robocie nie powinno dojść do tego typu sytuacji, jednak my się dopiero uczyliśmy. Czasem adrenalina zalewa mózg i włącza się widzenie tunelowe, o czym już wcześniej pisałem. Najważniejsza wtedy jest determinacja. Nie można odpuścić. Dlatego Ładny uderzył jeszcze raz i finalnie wykonał zadanie. Został na chwilę „gwiazdą” na kursie i jeszcze kilka dni zgrywaliśmy się z niego, że nie potrafi wielkim młotem rozbić zwykłej szyby w pociągu.

Trenowaliśmy również szturm na samolot: podjazdy z drabinami pod drzwi samolotu, precyzyjne wejście do środka, walka w samolocie przy dużej liczbie pasażerów, opanowanie potężnego stresu, który im towarzyszy, wydawanie komend, kierowanie zestresowanymi ludźmi. Godziny spędzone na wchodzeniu przez okna i drzwi samolotu, dopasowywanie sprzętu i kolejne siniaki po amunicji FX – to były stałe elementy naszych treningów. Podział sektorów w samolocie i płynne zalewanie wszystkich przedziałów – aby opanować duży samolot pasażerski, potrzeba naprawdę sporo ludzi.



Egzamin

Zbliżaliśmy się do egzaminu z czarnej taktyki. Cały nasz kurs przemieścił się autokarem na poligon Pstrąże. To niezwykle miejsce na mapie Polski, położone w województwie dolnośląskim, około 20 kilometrów od Bolesławca. W 1945 roku zostało zajęte przez wojska rosyjskie i było niedostępne dla Polaków, oficjalnie nie istniało na mapach. Mówiło się, że wojska radzieckie przechowują tam broń atomową. Po całkowitym opuszczeniu terenu przez Rosjan został on włączony do poligonu wojskowego. Były tam doskonałe warunki szkoleniowe. Osiem bloków mieszkalnych, przedszkole, szkoła, kawiarnia, kotłownia, plac zabaw, plac sportowy. Zналиśmy ten poligon z wcześniejszych szkoleń, jednak teraz miał się tam odbyć sprawdzian naszych umiejętności z czarnej taktyki. W opuszczonych w pośpiechu mieszkaniach rosyjskich żołnierzy można jeszcze było znaleźć starą radziecką prasę. Idealna infrastruktura szkoleniowa. Egzamin poprzedziły wielogodzinne treningi, między innymi śmigłowcem W-3 Sokół, który podejmował sekcje na „winogrono”, zjeżdżaliśmy na grubej linie, desantowaliśmy się w terenie przygodnym na dachy budynków, szturmowaliśmy obiekty. Wszystko po to, aby jak najlepiej przygotować się do ostatecznego sprawdzianu naszych umiejętności.



Trening przed egzaminem – „winogrono”

Zaczął się planowanie. Na planszach rozpisaliśmy składy sekcji, zadania, strefy odpowiedzialności, sposoby przetrzutu, kolejność wejścia do budynków, potencjalne sytuacje awaryjne – wszystko to, co trenowaliśmy wcześniej. Naszym zadaniem było opanowanie budynku wielokondygnacyjnego, w którym znajdowała się grupa terrorystów, oraz uratowanie przetrzymywanych przez nich zakładników. Atak miał być przeprowadzony z różnych punktów wejścia, tak aby sekcje opanowały wszystkie kondygnacje w jednym czasie.

Zadanie rozpoczęło się 24 sierpnia o świcie. Moja grupa szturmowa przemieściła się na ławeczkach mercedesami galendami pod obiekt. Jechaliśmy szybko, wiatr owiewał nasze zakryte nometksowymi kominiarkami twarze. Mimo chłodu poranka czułem ciepło i podniecenie jak przed prawdziwą akcją bojową.



Trening zjazdu z ładunkiem tarczowym do wysadzenia okna

Już na dojeździe słycać było charakterystyczny dźwięk łopat śmigłowca, w którym sekcja Stefana zbliżała się do budynku. Synchronizacja sekcji szturmowych podczas akcji to element kluczowy. Zobaczyliśmy z dołu wyrzuconą linę, po której po kolei chłopaki zjeżdżały na dach. Stanowiska założone, wszyscy w gotowości. Ładunki tarczowe w punktach wejścia gotowe do wysadzenia.

Meldunki od dowódców sekcji: „Wszyscy na pozycjach”. Pełna gotowość. „Naprzód, naprzód, naprzód” – padła komenda przez radiostację. Zaczął się szturm. Huk wysadzanych okien i drzwi. Sekcje szturmowe zaczęły opanowywać swoje strefy odpowiedzialności. Wybuchały ładunki indywidualne, następnie flashbangi, a potem wejścia dynamiczne. W pomieszczeniach dym, kurz i zapach materiałów wybuchowych. W środku tarcze z terrorystami, zakładnikami, wszystko jak na filmie akcji. Szybka identyfikacja, strzały, sprawdzenie, reorganizacja i do kolejnego pomieszczenia. Akcja była bardzo dynamiczna. Tylko zielone lightsticki sygnalizowały sprawdzone pomieszczenia. Po kilkunastu minutach obiekt został opanowany. Czekamy na meldunki od poszczególnych dowódców sekcji. Słyszę przez radio: „Przygotowanie do ewakuacji”. Zabieramy zakładników. „Ewakuacja” – pada następna komenda. Sekcja wyznaczona wcześniej wyprowadza wszystkich ewakuowanych na zewnątrz. Pozostali czekają na komendę do desantu, po której opuścimy obiekt. „Desant, desant, desant!” – usłyszałem przez radio. Po kolei sekcje opuszczają budynek i ładują się na samochody. Odjeżdżamy do bazy.



Rozpoczęcie szturmu

W sali planowania zdejmujemy sprzęt i czekamy na omówienie ćwiczenia. W powietrzu czuć ciągle emocje i podniecenie towarzyszące zwykle oczekiwaniu na bardzo ważny werdykt lub wynik egzaminu. Już po wszystkim. Siadamy na krzesłach w swoich sekcjach. Teraz instruktorzy spokojnie i metodycznie omawiają przebieg całej akcji. Każdy widział bezpośrednio wszystkie szczegóły działania przydzielonej mu sekcji. Omówienie trwa kilkanaście minut. Na koniec wreszcie słyszymy: „Zaliczyliście etap przeciwterrorystycznych operacji lądowych”.



Nasza grupa szturmowa po egzaminie (bez hełmu śp. Mirek Łucki „Koniu”)

Kolejny raz w życiu poczułem niewiarygodną satysfakcję. Wiedziałem, że dobrze wykonałem swoje zadanie. Chłopaki z sekcji ufały mi, a ja czułem, że stanowimy zgrany zespół. Wszyscy walczyliśmy o swoje marzenia. Hektolitry wylanego potu, kontuzje, wielomiesięczna tytaniczna praca nad sobą, a wszystko po to, aby móc ratować ludzkie życie. Taka miała być nasza nagroda.



Królestwo Neptuna

Z Warszawy do wysuniętej w głąb Zatoki Gdańskiej bazy morskiej West przyjechaliśmy naszym GROM-owskim autokarem. Miasto Neptuna przywitało nas piękną letnią pogodą i chociaż wakacje dobiegały już końca, na ulicach Gdańska wciąż widać było sporo turystów spacerujących urokliwymi uliczkami i pijących piwo pod parasolami klimatycznych pubów. Po egzaminach z czarnej taktyki i miesiącach morderczych treningów poczułem się, jakbym wyjechał na wakacje. Szum morza, ciepła morska bryza działały relaksująco i przypominały mi o minionych wakacjach spędzanych nad morzem. Nic bardziej mylnego, to nie czas na urlop. Już za chwilę miałem przekonać się, jak trudna i wymagająca jest robota „na wodzie”.

W tamtym czasie baza morska GROM-u wyglądała jeszcze skromnie. Infrastruktura była dopiero w budowie. Zamieszkaliśmy wszyscy razem w starej stołówce. Każdy z nas miał pod ręką swoją czarną torbę ze sprzętem. Do tej pory nie miałem doświadczenia z tego typu zadaniami. Pamiętam, jak jeszcze w Lublińcu, w latach dziewięćdziesiątych, musiałem ze swoją grupą specjalną pokonać w nocy odcinek rzeki, aby wykonać rozpoznanie wieży telewizyjnej. Była późna jesień, przygruntowe przymrozki, woda w rzece piekielnie zimna. W tamtym czasie nosiliśmy wszystko na plecach, a samochody służyły tylko do podwiezienia grupy w rejon desantowania. Wiedziałem z rozkazu, że mamy spory odcinek do przejścia, postanowiłem więc zostawić ciężką drewnianą podłogę od pontonu na kompanii i zabrać tylko niezbędne wiosła i pompkę. Desantowaliśmy się daleko od celu i na zmianę dźwigając ponton, powoli przemieszczaliśmy się w kierunku rzeki. Byliśmy mokrzy od potu, kiedy po dwóch godzinach ciężkiego marszu dotarliśmy do celu. W tamtym czasie miałem w grupie naprawdę dobrych żołnierzy służby zasadniczej, twardzi faceci, z których żaden nie narzekał, a wszyscy pomagali sobie nawzajem. Zwodowaliśmy ponton i po ciemku zaczęliśmy płynąć. Po trzech godzinach intensywnego wiosłowania w ciemnościach nie czuliśmy już nóg, które przymarzły nam do gumowej podłogi. Wtedy zdałem sobie sprawę, do

czego służy drewniana podłoga! Kiedy dopłynęliśmy, odetchnęliśmy z ulgą. Wróćmy jednak do kursu podstawowego.

Działania morskie niosą ze sobą duże ryzyko: zmienna pogoda, duże fale. Mówi się, że woda nie wybacza. Kilka lat wcześniej podczas skoków spadochronowych zginął jeden z naszych chłopaków. Wiatr zniósł cały wylot skoczków na otwarte morze i niestety nie wszystkim udało się uratować. Starzy operatorzy, a nawet doświadczeni komandosi Navy SEALs przestrzegali nas przed wodami Bałtyku. Dlatego na samym początku, aby zostać dopuszczonym do działań morskich, każdy musiał odbyć kilkudniowy kurs z zakresu indywidualnych technik ratowniczych, zwany kursem ITR. Program szkolenia obejmował między innymi rodzaje zagrożeń życia na morzu, sygnały wzywania pomocy na morzu, wyposażenie statków w indywidualne i zbiorowe środki ratunkowe, techniki ewakuacji ludzi ze statku, metody ratowania rozbitków oraz ewakuację załogi statku przez śmigłowiec. Trenowaliśmy na basenie wykorzystanie indywidualnych i zbiorowych środków ratunkowych, między innymi tratwy. Takie szkolenie musi przejść każdy, kto pracuje na morzu, niezależnie od tego, jaką pełni funkcję.

Dla większości z nas działania morskie były czymś zupełnie nowym. Uczyliśmy się, jak precyzyjnie zakładać sprzęt indywidualny, kombinezony, kamizelki ratunkowe i jak ich używać. Instruktorzy omawiali zasady bezpieczeństwa, wykorzystanie łodzi bojowych, miejsca newralgiczne na statkach. Uczyli nas mocowania i rozmieszczania sprzętu tak, aby nie zgubić go w wodzie. Powoli wprowadzali nas w taktykę pracy w środowisku wodnym. Zaczęliśmy jednak, jak zwykle, od podstaw, czyli w tym wypadku od pływania i skoków do wody z nabrzeża. Godzinami pokonywaliśmy różne dystanse, w maskach, rurkach i płetwach, sekcjami, pływając wzdłuż kanału przylegającego do naszej bazy. Niejeden z nas napił się tej zawiesiny, która trochę przypominała fabryczny ściek, a wieczorem zwrócił to wszystko do muszli klozetowej. Dlatego cieszyliśmy się, kiedy w końcu wyszliśmy na plażę i tam, na otwartych wodach Zatoki Gdańskiej, mogliśmy doskonalić technikę pływacką.

Nie zwalnialiśmy tempa, instruktorzy cisnęli nas coraz bardziej. Skoki do wody, kolejne dystanse, wchodzenie na komin naszej kotłowni po drabince speleo ze sprzętem – to tylko niektóre z naszych treningów. Skakaliśmy w oporządzeniu do wody z okrętu patrolowego Straży Granicznej Kaper, podpływalibyśmy po cichu i z wody stawialiśmy tyczkę, aby po drabince speleo wejść na pokład. Ćwiczyliśmy na okrągło. Instruktorzy uczyli nas taktyki abordaży, skakania do wody i podejmowania z płynącej łodzi. Nasi sternicy podpływali do zacumowanych promów, a my wchodziliśmy do środka i ćwiczyliśmy taktykę. Poznawaliśmy rozkłady pomieszczeń dużych jednostek pływających. Bojowym RIB-em podpływaliśmy na pełnej prędkości do zacumowanego przy nabrzeżu patrolowca

i tyczką z trójzębem zaczepialiśmy drabinkę speleo, a następnie cała sekcja wykonywała szturm na pokład. Setki powtórzeń. Każdy musiał doskonale opanować technikę wchodzenia po drabince speleo, zaczepiania tyczki czy wychodzenia z wody na pokład statku. Byłem zafascynowany, bo nigdy wcześniej nie robiłem takich rzeczy. Szum morza, wysokie fale, prędkość łodzi bojowych i my wskakujący do płynących statków. Akcja i adrenalina towarzyszyły nam nieustannie. Wszystko wyglądało jak na filmie z Navy SEALsami w rolach głównych. Jednak najlepsze było dopiero przed nami.



Skok do wody z okrętu patrolowego Straży Granicznej Kaper

Spakowaliśmy niezbędny sprzęt osobisty, taktyczny oraz broń i późnym wieczorem samochodami wyjechaliśmy z bazy. Czekał nas rejs na pełne morze. Wypłynęliśmy z portu w Gdańsku statkiem zaopatrzeniowo-technicznym w kierunku platformy wiertniczej oddalonej około 150 kilometrów od naszej bazy. Druga część grupy miała pokonać tę odległość naszymi RIB-ami. Kiedy

przyjechaliśmy do portu, przywitaliśmy się z załogą i zanieśliśmy nasze plecaki na dolny pokład. Załoga statku powitała nas bardzo życzliwie i ugościła marynarską kolacją. Wiedzieliśmy, że następnego dnia czeka nas mnóstwo wrażeń, jednak jeszcze długo rozmawialiśmy z marynarzami o ich przygodach, popijając herbatę przygotowaną przez pokładowego kucharza.



Trening abordażu

Wczesnie rano, gdy tylko wstałem, wyszedłem przywitać się z morzem. Wschodzące słońce odbijające się od wody oślepiło mnie, a na zewnątrz słychać było tylko dźwięk morskich fal przebijanych dziobem naszego statku. Za chwilę dołączyły do mnie pozostali chłopaki z mojej sekcji. Wspólnie zaczęliśmy wypatrywać tankowca, do którego mieliśmy za chwilę dopłynąć. Po jakimś czasie w oddali zobaczyliśmy sylwetkę kolosa, który w rzeczywistości był wielkim zbiornikiem na ropę. Dopłynęliśmy i po drabinie wyrzuconej przez załogę weszliśmy na pokład tankowca. W tym samym czasie pozostała część grupy również dopływała do celu. Sternicy precyzyjnie zbliżyli się do burty tankowca, po

czym chłopaki zaczepiły drabinkę speleo. Teraz każdy musiał wejść na pokład. Tankowiec nie był jeszcze napełniony ropą, więc jego wynurzenie było duże, co oznaczało, że trzeba było pokonać kilkanaście metrów, aby znaleźć się na pokładzie. „Teraz to on będzie waszym domem” – powiedział jeden z instruktorów.



Trening – atak na patrolowiec

Zajęcia prowadzone były bardzo dynamicznie. Już tego samego dnia dowiedzieliśmy się, że przylatuje śmigłowiec ratowniczy Marynarki Wojennej Anakonda i będziemy ćwiczyć różne warianty zdobywania tankowca oraz desantowania na grubej linii na statek w ruchu. Zapowiadał się długi i bardzo ekscytujący dzień. Zeszliśmy na pokład, a na dole czekały już na nas nasze łodzie bojowe, którymi popłynęliśmy na platformę wiertniczą oddaloną kilkaset metrów od tankowca. Kolejna wspinaczka – tym razem musieliśmy pokonać jeszcze większą wysokość, aby dostać się po drabinie technicznej na lądowisko, które było integralną częścią platformy wiertniczej. Wszystko działo się bardzo szybko.

Zanim weszliśmy na górę, już słychać było łopaty wirników zbliżającego się śmigłowca. Sekcje czekały w gotowości na swoją kolej, aby wejść na pokład maszyny.



Dopływamy do tankowca – za nami platforma wiertnicza

Przyszła pora na nas. Krótki instruktaż i biegiem do śmigłowca. Szybko zajęliśmy miejsca na pokładzie i kciukiem wzniesionym w górę pokazaliśmy, że jesteśmy gotowi. Śmigłowiec poderwał się z wysuniętego kilkanaście metrów nad powierzchnią wody helipadu i powoli leciał w kierunku płynącego statku. Naszym zadaniem było precyzyjne zrzucenie liny i dostanie się na jego pokład, a następnie szturm. To trudne, ponieważ jeśli lina spadnie poza burtę statku, wszyscy mogą znaleźć się w wodzie. Byliśmy coraz bliżej. Przez otwarte drzwi śmigłowca widzieliśmy zbliżający się statek. Pilot pokazywał nam czas dolotu, a my bacznie obserwowaliśmy technika pokładowego, który trzymał w ręku linę. Wszyscy w gotowości: koncentracja, uwaga oraz mnóstwo adrenaliny. Teraz należy

precyzyjnie wyrzucić linę i zjeżdżamy. Jesteśmy nad celem, lina została wyrzucona. Zjeżdżam jako pierwszy. Mocno chwytam obydwoma rękami grubą linę i dynamicznie, z obrotem wychodzę poza obrys śmigłowca, po czym ściskam linę stopami i lekko odchyłony do tyłu, płynnie zjeżdżam w dół. Patrzę w dół i kontroluję, czy lina pozostaje na pokładzie statku. Przecież statek cały czas płynie, i to ze sporą prędkością. Wreszcie moje stopy dotykają pokładu, łapię linę i nie pozwalam jej wydostać się poza obrys statku. Za chwilę zjeżdża kolejny, po nim następny i jeszcze następny. Cała sekcja jest już na pokładzie w ubezpieczeniu okrężnym. Pokazuję pilotowi kciukiem, że jesteśmy wszyscy i może odlecieć. Zaczynamy szturm. Taktycznie przechodzimy przez kolejne pokłady statku. Szturm zakończony, statek opanowany. Teraz sternicy zabierają nas na pokład łodzi bojowych i zaczynamy kolejne ćwiczenie – tym razem zjazd na tankowiec. Kiedy wieczorem omawialiśmy ćwiczenie, większość z nas ledwo widziała na oczy. To był naprawdę długi i ciężki dzień, pełen akcji, adrenaliny oraz niesamowitych przeżyć. Czułem się, jakbyśmy przenieśli się na plan najlepszego filmu akcji.



Trening „szybka lina” na helipadzie platformy wiertniczej

Kolejne dni wypełnione były abordażami na tankowiec oraz taktycznym czyszczeniem poszczególnych jego pokładów. Jest tego naprawdę sporo, roboty wystarczy przynajmniej na kilka sekcji. Instruktorzy zadbali o wszystkie możliwe scenariusze, utrudnienia oraz sytuacje awaryjne. Dziesiątki przejść poszczególnych sekcji, w których płynnie pokonywaliśmy trapy, sprawdzaliśmy zakamarki niekończących się pomieszczeń. Na szczęście załoga tankowca była dla nas naprawdę wyrozumiała, a kucharz bardzo dobrze dbał o nasz bilans energetyczny, bo kalorie spalaliśmy w olbrzymich ilościach.

Przyszła w końcu pora na platformę wiertniczą. Każdego dnia poprawialiśmy swoje umiejętności, a tego dnia naszym zadaniem było wejście z morza po drabinie speleo na platformę i wykonanie szturmu. Podpłynęliśmy łodziami bojowymi pod platformę. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, jak trudno będzie wykonać to zadanie. Fala była dość duża, jednak instruktorzy uznali, że warunki są wystarczająco dobre. Kiedy podpłynęliśmy odpowiednio blisko, instruktor powiedział: „Wyskakujcie, zaczynacie robotę”. Cała sekcja znalazła się w wodzie. Na początku walczyliśmy, aby nie dać się rozdzielić na odległość kilkunastu metrów przez kołyszące coraz mocniej fale. Kiedy już zebraliśmy się razem, zaczęliśmy płynąć jeden za drugim. Pierwszy, który dopłynął, złapał drabinę i trzymał ją mocno – tak, aby kolejny mógł zacząć wchodzić do góry. Pozostali ubezpieczali z dołu. Kiedy spojrzałem w górę, zobaczyłem, jak duża odległość dzieli mnie od pokładu platformy. Trenowaliśmy wejścia na różnego rodzaju obiekty setki razy, jednak do tej pory nie wchodziliśmy aż tak wysoko. Do tego fala, z którą trzeba było walczyć, oraz ciągłe trzymanie sektora powodowały zmęczenie jeszcze przed samym wejściem. Każda kolejna wspinająca się osoba wchodziła wolniej, a ja ciągle byłem w wodzie.



Trening – szturm na statek w ruchu

Wreszcie przyszła moja kolej. Złapałem mocno szczeble drabinki i zacząłem się wspinać. Na początku szło mi naprawdę dobrze i szybko pokonywałem kolejne metry, jednak w pewnym momencie poczułem, że bardzo puchną mi nogi i ręce. Zmieniłem sposób wchodzenia, aby maksymalnie odciążyć ręce i pokonać tę wysokość. Postawiłem sobie za cel, że nie wepnę się karabinkiem asekuracyjnym i wejść bez zatrzymania. Prawie mi się to udało, ale... prawie robi wielką różnicę. Po następnych kilku metrach musiałem jednak na chwilę się wpiąć i odpocząć, zanim zaatakowałem jeszcze raz. Czułem się trochę tak, jakbym zdobywał wysoką górę i zbierał siły do ostatecznego ataku na szczyt.

Gdy wszedłem na pokład i przeskoczyłem przez barierkę, to tylko dzięki adrenalinie trzymałem sektor, kiedy czekałem na ostatniego z mojej sekcji. Po wejściu jeszcze przez wiele godzin zdobywaliśmy poszczególne pomieszczenia platformy. Kolejny raz zobaczyłem, jak wielką determinację mają wszyscy kursanci. Byłem wśród wspaniałych, pełnych pasji, zorientowanych na cel przyszłych operatorów. Zadowolony z dobrze wykonanego zadania, z siniakami na

nogach od ściskania drabinki, które jeszcze przez kilka dni przypominały mi o wejściu na platformę, wróciłem na tankowiec.



Trening –
szturm na tankowiec

Kolejne dni mijały szybko. Tytaniczna praca, mnóstwo wrażeń i doświadczeń. Był to dla wszystkich swoisty test: osobowości, współpracy w grupie, próba charakteru. Spakowani na łodzie bojowe podziękowaliśmy za gościnę, pożegnaliśmy się z załogą tankowca i późną nocą ruszyliśmy w podróż przez otwarte morze do bazy w Gdańsku. Odległość około 150 kilometrów można pokonać szybko albo bardzo wolno – wszystko zależy od warunków na morzu. Tym razem Neptun nam sprzyjał i sternicy mogli rozwinąć maksymalną prędkość. Po kilku godzinach spędzonych w łodzi zobaczyłem światła, które świadczyły o tym, że zbliżamy się do naszej plaży.



Jeszcze chwila i wskakujemy do wody

Taktyka antyterrorystyczna działań morskich jest naprawdę wymagająca. Pięć tygodni spędzonych na morzu w różnych warunkach pogodowych, z nieustannymi treningami, aby osiągnąć jak najwyższy poziom wyszkolenia, pokazały siłę naszych charakterów. Niestety nie wszyscy pozytywnie ukończyli ten etap. Jednak wszyscy wracaliśmy silniejsi, bogatsi o kolejne doświadczenia i jeszcze lepiej

zintegrowani. Warszawa szykowała nam następne wyzwania – tym razem operacje skryte. Mieliśmy za chwilę zmienić się w agentów działających *low-profile*.



Być jak agent 007

Każdy choć chwilę chciałby zostać agentem 007. GROM jako jednostka specjalna stworzona przez oficera wywiadu również powołana jest do tego typu operacji. To szczególnie rodzaj działań bojowych, w których powodzenie warunkują maskowanie swojej obecności i skrytość działania. Ten typ operacji wymaga od nas wyjątkowych umiejętności. Musimy przeformować się tak, aby wtopić się w tłum i nie rzucać w oczy. Nie jest to wcale takie proste. Większość z nas to żołnierze. Mamy pewne charakterystyczne nawyki, sposób poruszania się, język, który nas zdradza. Przypomniały mi się zajęcia ze szkoły działań specjalnych w Poznaniu, kiedy ubrani po cywilnemu organizowaliśmy punkty i skrytki kontaktowe, zbieraliśmy informacje, a następnie podkładaliśmy atrapy materiałów wybuchowych na wyznaczone cele. Jednak od tamtego czasu minęło już dziesięć lat i na pewno wiele się zmieniło. Żeby dobrze wykonywać taką robotę, trzeba mieć pewne wrodzone cechy. Nie wszyscy operatorzy je mają, jednak na kursie przechodziliśmy przez ten etap, żeby można było wyłowić ewentualne talenty, a pozostali mieli zapoznać się ze specyfiką tego rodzaju działań, aby wykorzystywać je w przyszłych operacjach. Obserwacja skryta, kontrolobserwacja, poruszanie się za celem, zatrzymanie oraz neutralizacja *high value target* (HVT) – tego typu zadania wykonują najlepsze jednostki specjalne na świecie. Czy również GROM? Przekonasz się o tym, tylko jeśli przekroczysz jego magiczną bramę.

Skrajnie ortodoksyjne grupy radykałów islamskich, Radical Islamic Union i Al-Sheeza, wywodzące się bezpośrednio z Al-Ka'idy i mające swoje komórki w całej Europie, planują przeprowadzić spektakularny atak samobójczy w Niemczech lub Polsce. Chcą w ten sposób osłabić pozycję Stanów Zjednoczonych w tych krajach. Niewykluczone też, że Polska ma być obiektem ataku ze względu na swoje zaangażowanie w misję ISAF w Afganistanie.

Służby specjalne Niemiec poinformowały swoje polskie odpowiedniki o przeniknięciu na teren państwa polskiego członka grupy Al-Sheeza, Ibrahima Al Masudi vel Marcusa Grota, mającego podwójne, niemiecko-tureckie obywatelstwo. Jest podejrzany o próbę zorganizowania i koordynowania samobójczego zamachu

na terenie Polski. Dotychczas działał on w Niemczech, jednakże w ostatnim czasie przebywał w Polsce, w rejonie Zielonej Góry. Ze względu na szczególny charakter działalności Al-Sheezy, stopień determinacji jej członków, zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa polskiego, jego interesów i wizerunku ministrowie spraw zagranicznych oraz spraw wewnętrznych i administracji zwrócili się za pośrednictwem Prezesa Rady Ministrów do ministra obrony narodowej z prośbą o użycie jednostki GROM do skrytej inwigilacji członków ugrupowania terrorystycznego na terenie kraju i ewentualnej ich neutralizacji.

Jestem w składzie grupy bojowej, która dostała zadanie obserwacji celu oraz uzyskania jak najwięcej informacji wywiadowczych dotyczących Ibrahima Al Masudi vel Marcusa Grota.

Przemieściliśmy się do jednego z hoteli w Zielonej Górze. Od źródła osobowego dostaliśmy informację, że przebywa w nim figurant. Wszyscy na pozycjach. Figurant za chwilę opuści hotel. Widzimy, jak wsiada do taksówki. Z mobilnego centrum dowodzenia dostajemy informację, że jedzie do restauracji Retro, gdzie ma się spotkać z jednym z członków organizacji Radical Islamic Union. Chłopaki czekają na figuranta w środku. Jest 17.00, w restauracji jeszcze nie ma zbyt wielu ludzi, dlatego trzeba się maksymalnie uwiarygodnić. Otwierają się drzwi i figurant, czyli Ibrahim Al Masudi, wchodzi na salę. Siada obok przystojnego wysokiego mężczyzny o arabskich rysach twarzy. Wymieniają się tradycyjnymi uprzejmościami, jednak wyraźnie widać, że osoba, z którą spotkał się nasz figurant, jest znacznie wyżej w hierarchii niż on. Są wyraźnie „elektryczni”. W pośpiechu dopijają herbatę i Ibrahim opuszcza restaurację. Z informacji uzyskanych ze środków technicznych wiemy, że jedzie do galerii handlowej Focus Park, aby przekazać materiały z bronią biologiczną kolejnemu członkowi jego organizacji.

Wsiada do taksówki. Jestem w samochodzie obserwacji wyprzedzającej i w związku z tym jadę bezpośrednio do galerii. Obstawiamy punkty wejścia. „Oko” daje informację, że figurant wszedł do galerii głównym wejściem. Wjeżdża schodami ruchomymi na kolejne piętro. Widzę go, przejmuję „oko”. Wjeżdża na następne piętro. „Tam jest przecież kino”, myślę. Idę za nim i widzę, jak wchodzi do środka. Film trwa już od kilku minut. Podchodzę do kasy. „Poproszę bilet” – mówię. Młoda dziewczyna patrzy na mnie i wręcza mi go z uśmiechem, życząc miłego seansu. W pośpiechu otwieram drzwi sali kinowej, do której wszedł Al Masudi. Jest ciemno, biorę głęboki oddech, moje źrenice jeszcze nie przyzwyczyły się do ciemności, dlatego przez chwilę nic nie widzę. Wiem, że Ibrahim może mnie obserwować. Wchodzę kilka stopni po schodach, po czym intuicyjnie wybieram miejsce i siadam. Przez chwilę trwam w bezruchu i staram się uruchomić wszystkie

zmysły, by zorientować się, co się dzieje, nasłuchuję, lustruję salę, próbuję zlokalizować, gdzie siedzi Ibrahim.

Sytuacja może się rozwinąć na różne sposoby. Figurant może wyjść z sali kinowej, zabierając przesyłkę ze sobą, lub schować ją gdzieś na sali. Po chwili orientuję się, że być może siedzę tuż koło niego. W myślach mówię sobie, że to niemożliwe, ale z drugiej strony – dlaczego nie. Widzę, że zaczyna wykonywać jakieś nerwowe ruchy. Prawdopodobnie chowa coś pod swoim fotelem. Umówionym kodem wysyłam informację, że jestem na „oku”. Jest duże prawdopodobieństwo, że figurant mnie nie skojarzył i jestem całkowicie bezpieczny. Na zewnątrz grupa przygotowuje przechwycenie Ibrahima.

Seans dobiega końca. Napisy końcowe *Piratów z Karaibów* przesuwają się po ekranie, kiedy tuż za figurantem opuszczam salę kinową. W tłumie widzów rozpoznaję jednego z mojej grupy. Teraz on daje mi sygnał, że będzie na „oku”.

To realny scenariusz, który realizowałem wraz z zespołem bojowym podczas jednego z naszych ćwiczeń, kiedy byłem operatorem. Teraz już wiesz, jak wszechstronnie wyszkolony musi być operator – a to jeszcze nie koniec. Czekał nas kolejny element szkolenia. Tym razem z oficerami Biura Ochrony Rządu mieliśmy trenować ochronę osobistą VIP.



Nie zawsze w ciemnych okularach i garniturze

Czekało nas organizowanie oraz prowadzenie ochrony osobistej VIP-a i konwojowanie kolumny z VIP-em.

– Zanim będziemy mogli zacząć chronić ludzi przed zamachami, musimy zrozumieć, dlaczego ludzie dokonują zamachów, i dowiedzieć się, jakie są główne stosowane przez nich metody. W czasie naszego szkolenia zobaczycie, w jaki sposób te przyczyny i metody wpływają na agentów ochrony podczas podejmowania decyzji o tym, jak chronić daną osobę – tymi słowami przywitał nas wysoki, elokwentny oficer BOR-u o miłym usposobieniu. – Historię zamachów datuje się od czasów Biblii żydowsko-chrześcijańskiej, czyli od kiedy ludzkość zaczęła tworzyć i akceptować przywództwo. Przyczyn zamachów jest wiele. Między innymi polityczne, ekonomiczne, ideologiczne, etniczne, osobiste czy fizjologiczne. Jeśli zrozumiemy motywację zamachowców oraz metody stosowane w zamachach terrorystycznych czy przez grupy przestępcze, możemy zająć się najskuteczniejszymi sposobami zapobiegania atakom – zakończył.

Zaczęliśmy, jak zwykle, od podstaw: organizacja grupy ochrony, pierścienie bezpieczeństwa, podstawowe formacje. Nie trzeba było długo czekać, aby zobaczyć, że dotychczasowe nasze ofensywne szkolenie, nastawione na walkę, nie do końca idzie w parze z filozofią ochrony VIP-ów. Na szczęście doświadczony oficer BOR szybko to zauważył.

– Chłopaki, nie wiążecie się walką. Waszym zadaniem jest jak najszybsze wydostanie osoby ochranianej ze strefy zagrożenia – powiedział.

Przypomniała mi się wtedy scena z Karbali, kiedy z ochranianym przeze mnie dowódcą międzynarodowej dywizji wszedłem w strefę śmierci. Szybkość reakcji, natychmiastowe podejmowanie decyzji oraz ewakuacja do bezpiecznego schronienia są w takich sytuacjach kluczowe. Agenci ochrony muszą zachować spokój, a jednocześnie być przygotowani na kolejne ataki – to już wiedziałem z doświadczenia.

Teraz na zmianę ćwiczyliśmy podstawowe formacje, między innymi diament, pokonywanie stref niebezpiecznych i wąskich gardeł, klatek schodowych, schodów

ruchomych, korzystanie z wind, odpowiadanie ogniem na zagrożenie z każdej możliwej strony. Codziennie oficerowie BOR-u dodawali do naszego szkolenia nowe, coraz trudniejsze elementy. Uczyli nas również, jak reagować na tłum gości czy dziennikarzy. Pokazywali skuteczne techniki zniechęcania ludzi do zbyt długich uścisków dłoni VIP-ów.

– Uśmiechajcie się, a jednocześnie róbcie swoje – powtarzał oficer, który łudząco przypominał jednego z ówczesnych polityków, Romana Giertycha.

Na poligonie w Rembertowie trenowaliśmy taktyczne prowadzenie pojazdów. Zawracanie, blokowanie, skręcanie i hamowanie, spychanie, taranowanie, zmiany kierunku ruchu to podstawowe techniki operacyjne wykorzystywane w ochronie VIP-ów podczas konwojowania kolumn. Oficerowie wymyślali coraz ciekawsze scenariusze. Wiedzieli, że jesteśmy przyzwyczajeni do dynamicznych zajęć, ale przede wszystkim uświadamiali nam, że bez współpracy z Zespołem Wsparcia Taktycznego, którego zadaniem jest odparcie ataku i umożliwienie ucieczki osobie ochranianej, jesteśmy tylko gromadą ludzi biegających z bronią. A powodzenie całej operacji zależy od naszego zespołowego działania.

Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że niedługo będę wykorzystywał te techniki podczas ochrony polskiego ambasadora w Kabulu. Tam też spotkaliśmy się z chłopakami z BOR-u, którzy pełnili służbę razem z nami. Należy dodać, że ochrona w strefie działań wojennych różni się od tej, jaką przerabialiśmy tu na miejscu. Dużo większe zagrożenie wymusza bardziej ofensywne procedury oraz wymaga innego sprzętu i wyposażenia.





Spotkanie z legendą

Za nami było już 13 miesięcy morderczych treningów. Byliśmy drugim w historii GROM-u kursem, który przeszedł tak długie szkolenie podstawowe. Na pewno każdy z nas przeszedł swoistą przemianę mentalną. To tak, jakbyś przebiegł ultramaraton i osiągnął najlepszy czas w karierze. Zawiązały się prawdziwe przyjaźnie – takie na całe życie. Nabrałem dużej pokory. Wiedziałem doskonale, jakie są moje mocne i słabe strony. Pokonałem wiele razy samego siebie i dzięki temu zbudowałem jeszcze większą siłę charakteru. To dzięki instruktorom i własnej determinacji dokonała się w nas taka przemiana. To oni nauczyli nas zasad i kultury organizacyjnej innej niż w każdej jednostce Wojska Polskiego. Samodzielnie myślący, niepokorny, konsekwentny, tajemniczy wojownik – taki był każdy, kto ukończył ten kurs.

Wtedy też miałem zaszczyt i przyjemność poznać generała Petelickiego, który przyszedł do nas na zakończenie kursu i wręczył nam pamiątkowe ryngrafy. To było dla nas wszystkich wyjątkowe przeżycie. Generał był człowiekiem obdarzonym olbrzymią charyzmą, biła od niego jakaś niezwykła siła. Zapamiętałem przede wszystkim jego żelazny uścisk dłoni oraz optymizm, z jakim patrzył w naszą przyszłość i przyszłość GROM-u. „Bo GROM to ludzie tacy jak wy” – powiedział. Siła i honor, panie generale!



Želazny uścisk dłoni



Operator pirotechnik

Wyobraź sobie, że jesteś na akcji bojowej. Twoja sekcja musi wejść do budynku, w którym znajdują się szczególnie niebezpieczni terroryści. Z informacji wywiadowczych wiesz, że mogli zaminować punkty wejścia. Dostajesz zadanie zrobienia przejścia w ścianie budynku, aby można było wejść do środka i wykonać szturm. Masz przygotowany kumulacyjny ładunek tarczowy, który nadaje się do wysadzenia muru tak, aby powstało idealne wejście. Podchodzicie z sekcją pod budynek i starannie przykładasz ładunek do muru. Jest to ściana nośna, wykonana z kilku warstw czerwonej cegły – solidna konstrukcja, ale wcześniej dokładnie obliczyłeś, że zastosowany materiał wystarczy. Ładunek uzbrojony, rozwijasz system detonacji, patrzysz, czy wszyscy są na pozycjach, po czym mówisz: „Zapalniczka” i następuje wybuch. Potężny huk! Kurz zasłania widoczność na kilka metrów. Podchodzicie z sekcją bliżej i widzisz już, że w murze została idealnie wycięta dziura po kumulacyjnym materiale wybuchowym. Zadanie wykonane, przejście zrobione. Teraz możesz ze swoją sekcją atakować terrorystów. Takie właśnie zadanie wykonałem na egzaminie kursu operatorów pirotechników.



Jeszcze kilka uderzeń młota i wchodzimy

Od dziecka interesowałem się różnego rodzaju wybuchami. Już w podstawówce robiłem z proszku do pieczenia i plastikowych pojemników prowizoryczne ładunki wybuchowe, strzelałem z karbidu, wrzucałem do ogniska puste opakowania po dezodorantach, wymyślałem najróżniejsze sposoby, aby coś wybuchło. Kiedy skończyłem kurs podstawowy, moim marzeniem było ukończyć specjalistyczny kurs pirotechniczny. Byłem niesamowicie szczęśliwy, kiedy dowiedziałem się, że zostałem wytypowany na taki właśnie kurs. Jakie zadania ma breacher w sekcji bojowej? Przede wszystkim wykonuje przejścia, czyli musi właściwie ocenić obiekt podczas planowania operacji pod kątem wykonania wejść wybuchowych lub mechanicznych. Potrafi wykonywać ładunki wybuchowe z różnych materiałów pirotechnicznych, biorąc pod uwagę określoną siłę działania, umie działać w sytuacjach awaryjnych, np. nieodpalenia ładunku wybuchowego, oraz doradza w zakresie planowania i użycia materiałów bojowych. To tylko niektóre z jego obowiązków.

Wykonanie przejścia w ścianie zbrojeniowej



W czasie kursu wysadziliśmy setki kilogramów materiałów wybuchowych, robiąc dziesiątki przejść w ścianach, sufitach, podłogach, niszcząc drzwi antywłamaniowe oraz okna kuloodporne. Długie godziny pracowaliśmy z pilarką spalinową Stihl – pocięte samochody, autobusy, ściany z cegły i betonu. Przepalone zawiasy, wycięte przejścia w stalowych drzwiach za pomocą palnika taktycznego Broco. Elektryczne sieci wybuchowe, ładunki odwracające uwagę, miny i materiały zapalające – to tylko niektóre elementy naszego szkolenia. Prowadzącym był jeden z moich ulubionych instruktorów z kursu podstawowego – Dudek. Z niezwykłą pasją i właściwym sobie spokojem uczył nas wszystkiego, czego sam wcześniej nauczył się jako pirotechnik.



Praca na pilarence spalinowej Stihl

Z Dudkiem wiąże się też pewna zabawna historia. Przed egzaminem każdy z nas losował zadanie do wykonania. Jednemu z chłopaków trafiło się zrobienie przejścia w drzwiach za pomocą shotguna. Wydawałoby się, że to proste zadanie:

odstrzelić zawiasy i po sprawie. Jednak nasz bohater podszedł do sprawy bardzo serio i postanowił w nocy trenować „na sucho”. Ponieważ zajęcia trwały bardzo długo, a po nich przygotowywaliśmy jeszcze ładunki wybuchowe na kolejny dzień, do swoich pokoi wróciliśmy dopiero po 23.00. Zbieraliśmy się powoli do snu, kiedy usłyszałem, że ktoś przeładowuje shotguna. Jednak, przyzwyczajony do ciągłych treningów i zmęczony, szybko zasnąłem. Około 1.30 obudził mnie krzyk na korytarzu. „Czy cię przypadkiem nie popierdoliło? O tej godzinie trenujesz?” – słyszymy. Natychmiast nastąpiła cisza. Okazało się, że kolega trenował na sucho przez ponad dwie godziny, i to tuż pod drzwiami naszego instruktora Dudka, który, biedny, przez cały czas nie mógł spać. Metaliczny dźwięk przeładowywanego tysiące razy shotguna spowodował, że wreszcie nie wytrzymał i wygonił nadgorliwego kursanta do pokoju. Na drugi dzień mieliśmy niezłą szyderę z naszego kolegi.

Praca na palniku taktycznym Broco



Kurs pirotechniczny dobiegł końca. Kolejne niesamowite doświadczenia i oGROM wiedzy teoretycznej i praktycznej. Dzięki naszemu instruktorowi nauczyliśmy się bardzo wiele, a ja spełniłem swoje kolejne marzenie.



Za żelaznymi drzwiami

Ile można poświęcić dla swojej pasji? Jak długą drogę musisz przejść, aby wreszcie dostąpić przywileju otwarcia drzwi do twoich marzeń? Od dziecka najważniejsze dla mnie osoby pokazywały mi swoim przykładem, jak trzeba iść przez życie, jakimi zasadami i wartościami się kierować, aby być szczęśliwym i żyć zgodnie z samym sobą: umiłowanie ojczyzny, honor i poświęcenie dla innych... To wielki przywilej – uczyć się od lepszych od siebie, aby to oni pokazali ci twoje błędy, po to, żebyś mógł stać się taki, jaki chciałbyś być. Trzeba z pokorą przyjmować wszystkie uwagi, szukać ludzi, którzy otworzą przed tobą inne, nieznane ci dotąd horyzonty.

Kiedy stanąłem przed „żelaznymi drzwiami” Zespołu Bojowego A, zobaczyłem siebie sprzed wielu lat i pomyślałem o swojej drodze, o tym, ile musiałem przejść, aby znaleźć się właśnie tu. Nie przed bramą jednostki, za którą znalazłem się już po selekcji, ale przed wejściem do świata zarezerwowanego już tylko dla nielicznych, dla naprawdę wyjątkowych ludzi. W tej chwili przewinęły mi przed oczami: bardzo ciężka fizyczna praca w rodzinnym gospodarstwie, treningi z kumplami na podwórku, imprezy i bijatyki. Selekcja do plutonu specjalnego w szkole wojskowej. Pułk Specjalny Komandosów i tych wszystkich wspaniałych żołnierzy służby zasadniczej, którzy dzielnie znosili ze mną trudy tamtych czasów. Wyjątkowe chłopaki z mojej sekcji bojowej i wspólne akcje bojowe w Iraku. W końcu ponad 200 kandydatów, którzy stanęli do walki o spełnienie swoich marzeń, z których tylko 20 pozytywnie ukończyło selekcję. Widziałem siebie zmarzniętego i przemoczonego, siedzącego na polanie po nocnym maratonie w Bieszczadach. Trzęsącego się z zimna, polewanego wodą i rażonego prądem na przesłuchaniach w trakcie szkolenia z przetrwania w niewoli. Zjeżdżającego ze śmigłowca na grubej linie na budynku. Skaczącego na spadochronie z 40-kilogramowym zasobnikiem. Wskakującego do okien na linach i wysadzającego ładunki wybuchowe podczas treningów taktycznych. Pływającego łodziami bojowymi i robiącego abordaże na statki na Morzu Bałtyckim. Wreszcie śmiejącego się z chłopakami z naszych potknięć i przypałów podczas treningów.

Tu z wyselekcjonowanych, pełnych pasji, determinacji i poświęcenia ludzi została wybrana tylko garstka, bo kolejną barierą był kurs podstawowy. Jednak nawet wśród tych, którzy go ukończyli, nie wszyscy dostąpili przywileju zostania operatorami. Wielu chłopaków musiało znaleźć sobie miejsce w innych komórkach. Dlaczego? Ponieważ to zespół bojowy dobiera sobie ludzi według swoich kryteriów. Tu selekcja ciągle trwa i w każdym momencie można opuścić szeregi tej elitarnej społeczności.

Stałem przed drzwiami z wypiekami na twarzy i nie mogłem uwierzyć, że za chwilę je otworzę i wejdę do środka. Przyłożyłem do czytnika elektroniczną kartę, którą otrzymują tylko osoby z tej wąskiej grupy, usłyszałem piknięcie i nacisnąłem klamkę. Ciężkie metalowe drzwi powoli się otwierały. Kiedy przez nie przechodziłem, wiedziałem, że zaraz zamknę za sobą niezwykle ważny okres w moim życiu, ale otworzę kolejny, nieznany, pełen przygód, akcji i adrenaliny.

Drzwi powoli się za mną zamknęły.





ROZDZIAŁ 5

„Od chwili tej aż do końca świata w pamięci ludzkiej będziemy żyć: my, wybrańców garść, kompania braci. Kto dziś wespół ze mną krew przeleje, ten mi bratem”.

William Shakespeare, *Król Henryk V*

Wszystkie opisane akcje bojowe wydarzyły się podczas misji, w których czynnie brałem udział, jednak ze względów bezpieczeństwa operacyjnego niektóre daty, miejsca, osoby oraz szczegóły wydarzeń zostały zmienione.



Operacja Afgański Grunwald wrzesień 2007

Stacjonowaliśmy w międzynarodowej bazie Zgrupowania Sił Specjalnych południowo-wschodniej prowincji Kandahar jako Zespół Operacji Specjalnych Task Force 49 (TF 49). Wykonywaliśmy zadania typowe dla sił specjalnych, czyli rozpoznanie specjalne, akcje bezpośrednie i wsparcie militarne przeciwko talibom i powiązanim z nimi gangom narkotykowym. Współpracowaliśmy między innymi z pododdziałami ODA 7 Special Forces Group, amerykańskich zielonych beretów, kanadyjskiej JTF2, afgańskich sił bezpieczeństwa oraz litewskimi siłami specjalnymi TF 77. Prowadziliśmy działania rozpoznawcze, wykrywaliśmy i likwidowaliśmy ukryte składy broni, amunicji oraz materiałów wybuchowych przeciwnika, uczestniczyliśmy w operacjach *cordon and search* i dokonywaliśmy zatrzymań talibskich przywódców. Udzielaliśmy także wsparcia ochronie polskiej ambasady w Kabulu.

Wielodniowe operacje rozpoznania specjalnego wymagały od nas niezwyklej wytrzymałości fizycznej oraz psychicznej. Bywało, że na terenie wroga spędzaliśmy nawet od pięciu do sześciu dni. Bliski kontakt z przeciwnikiem wymuszał na nas niewiarygodną wręcz dyscyplinę światła i dźwięku. Przypominały mi się książki i filmy o rosyjskich żołnierzach, którzy w latach osiemdziesiątych walczyli z mudżahedinami w Afganistanie. Teraz to my patrolowaliśmy dokładnie te same tereny. Wiedziałem, że wielu rosyjskich żołnierzy zginęło podczas nocnych rajdów afgańskich bojowników, dlatego zdawałem sobie doskonale sprawę, że nie możemy pozwolić sobie na jakikolwiek luz, ponieważ byliśmy łatwym celem w doskonale znanym im terenie. Stosowaliśmy oczywiście taktykę mylenia. Za dnia zakładaliśmy pozorne obozowiska tam, gdzie odpoczywaliśmy, obserwowaliśmy teren, aby skupić na sobie uwagę. Jednak jak tylko zapadał zmrok, przemieszczaliśmy się do upatrzonego wcześniej zaznaczonego miejsca, gdzie w ubezpieczeniu okrężnym naszych samochodów spędzaliśmy noc. Na stanowisku obserwacyjnym na wieży hummera mieliśmy termo- i noktowizję, która ułatwiała nam obserwację nocną.

Spaliśmy tuż za swoimi samochodami, w gotowości, by w każdej chwili można było odeprzeć atak.



Odpoczynek w bazie przejściowej

Aby całkowicie wyeliminować dźwięk oraz niepotrzebny ruch wokół auta, do nawigowania zmianami obserwatorów używaliśmy sznurka – jego jeden koniec znajdował się na stanowisku obserwatora w hummerze, a drugi był zawiązany na palcu śpiącego żołnierza. Kiedy przychodził czas na zmianę, obserwator szarpnięciem sznurka budził żołnierza, który wtedy zakładał następnemu pętelkę na palec, wchodził na wieżę i zaczynał swoją zmianę. To były naprawdę wymagające misje. Nieprzespane noce w terenie wroga, hektolitry wypitych napojów energetycznych, setki kilometrów przejechanych po afgańskich bezdrożach, na których czaiły się grupy bojowników przygotowujących na nas zasadzki ogniowe oraz IED-ki (*Improvised Explosive Device*, zwane też ajdikami).



Trening ogniowy przed operacją Afgański Grunwald

Od pewnego czasu współpracowaliśmy z litewskim TF 77. To świetni wojownicy, którzy wykonywali podobnego typu operacje specjalne. Miejscowe gangi narkotykowe i talibscy bojownicy mocno dawali im się we znaki. Ciągłe odpierali ich ataki, wpadali w zasadzki i w końcu przyszedł czas, aby to zakończyć. Dowódca litewskiego TF 77 przyszedł do naszego dowódcy i poprosił o wsparcie. „Takiej operacji nie było od czasów bitwy pod Grunwaldem” – żartowaliśmy między sobą. Wykonaliśmy wspólnie kilka treningów ogniowych na pobliskiej strzelnicy. Po czym zaczęliśmy przygotowania do wielopłaszczyznowej operacji, której zadaniem było wyeliminowanie jak największej liczby talibskich bojowników z wrażliwego dla nich rejonu. Południowo-wschodnia prowincja Kandaharu to tereny zasiedlone przez Pasztunów. To waleczny lud koczowniczo-pasterski, uważający się za rdzenną ludność Afganistanu. Zamieszkuje tereny Afganistanu, Iranu i Pakistanu. W ich tradycji istnieje prawo poszanowania i ochrony gościa, który znajduje się w ich gospodarstwie.

Gościnność Pasztunów może się czasem wydawać kontrowersyjna i przez to oskarżani byli o wspieranie terroryzmu. W rzeczywistości jednak kodeks pasztunwali nie pozwala na odtrącenie cudzoziemca proszącego o azyl, a atak na taką osobę jest traktowany jak atak na klan udzielający mu azylu. Prawo to bardzo dobrze przedstawione jest w filmie *Ocalony* – amerykańskim dramacie wojennym z 2013 roku w reżyserii Petera Berga. Jest to historia oparta na faktach, adaptacja książki Marcusa Luttrella i Patricka Robinsona. Afganistan, 28 czerwca 2005 roku. Czterech członków SEAL Team 10 otrzymuje zadanie zabicia lidera talibów. Jednak komandosi zostają wykryci i podejmują walkę z talibami. Niestety przeżywa tylko jeden z nich. Podczas dramatycznej ucieczki szuka schronienia w najbliższej wiosce. Miejscowi, zgodnie z prawem pasztunwali, udzielają mu gościny, dzięki czemu zostaje ocalony.

Wróćmy jednak do naszej operacji Afgański Grunwald, jak nazwałem ją po latach. Góry południowo-wschodniego Afganistanu pozwalają widzieć daleko, jednocześnie dając możliwość ukrycia się na pozycjach w skalnych załomach. Takie ukształtowanie terenu pozwalało talibskim bojownikom na precyzyjne i skuteczne przygotowywanie zasadzek.

Siły specjalne charakteryzują się niekonwencjonalnym sposobem prowadzenia operacji. Metody szkolenia, sposób myślenia operatorów jest ściśle powiązany z filozofią *thinking out of the box*, czyli kreatywnego i niestandardowego myślenia. W związku z tym postanowiliśmy wykorzystać przewagę doskonałych walorów terenu i zrobić zasadzkę w odpowiedzi na ich ataki. W tamtym czasie sami przygotowywaliśmy nasze hummery na dalekie wyprawy. Spędziłem ponad dwa tygodnie, udoskonalając wspólnie z kumplami naszego hummera, spawając różne elementy, dokładając wyposażenie tak, aby stał się naszym „domem” w czasie wielodniowych patroli. Podczas rajdów i dalekiego rozpoznania byłem gunnerem. Na wieży początkowo miałem zamontowany radziecki ciężki karabin maszynowy NSW 12,7 mm, jednak później umieściłem tam amerykański granatnik Mk 19 40 mm, który już wkrótce miał odegrać bardzo ważną rolę w ciężkim kontakcie ogniowym z bojownikami talibskimi.

Przygotowania do operacji ruszyły pełną parą. Plan był bardzo sprytny. Mieliśmy podzielić się na dwie współdziałające grupy: pierwsza, snajperska, miała zostać przerzucona wcześniej w góry, by zająć ukryte pozycje strzeleckie i mieć idealny wgląd w okolicę, druga – mobilna, na kołach, jej zadaniem było zajęcie pozycji w miejscu, w którym Litwini zawsze wpadali w zasadzki. Kluczowym elementem planu było sprowokowanie przez grupę mobilną bojowników talibskich do otwarcia ognia, aby snajperzy mogli ich precyzyjnie neutralizować z ukrytych pozycji na skałach. Przyznam szczerze, że zadanie było ryzykowne i brawurowe.

Przed odprawą miałem jeszcze trochę czasu na przygotowanie swojego samochodu do wyprawy. Wyczyszczony granatnik Mk 19, karabinek M4, pistolet HK USP, dodatkowa amunicja i granaty spakowane w skrzynki. Woziliśmy ze sobą również plecaki ucieczkowe, do których pakowaliśmy rzeczy niezbędne do przetrwania, czyli amunicję, granaty, flary, wodę, racje żywnościowe i ciepłą odzież. W tamtym czasie nasze wozy bojowe wyglądały jak mobilne fortece: moździerz, granatniki, mnóstwo amunicji, paliwo, woda, żywność. To wszystko było niezbędne na tego typu operacjach, których w tamtym czasie wykonaliśmy dziesiątki.

Na odprawie przed wyjazdem omówiliśmy dokładnie przerzut, fazy operacji, potencjalne sytuacje awaryjne oraz powrót do bazy. Późnym popołudniem zaczęliśmy się pakować do samochodów. W tym czasie grupa snajperska szykowała się do wylotu. Śmigłowcem przemieścili się w góry i pod osłoną nocy zajęli stanowiska snajperskie. Nasza grupa późnym wieczorem opuściła rejon bazy. Konwój prowadził litewski TF 77. Chłopaki poruszały się sprytnie przerobionymi i dostosowanymi do ich roboty brytyjskimi land roverami.



Wszystko gotowe, można ruszać na operację

Droga była trudna. Część trasy wiodła przez wąwóz, który był bardzo wąski i dodatkowo infiltrowany przez bojowników. Poruszaliśmy się w noktowizji, co w warunkach nocnych dawało nam swego rodzaju przewagę. W pewnym momencie jeden z samochodów zawiesił się na kamieniu. Konwój stanął. W takich sytuacjach zawsze pomagały liny holownicze, za których pomocą wyciągaliśmy się nawzajem. Bywały też operacje, kiedy musieliśmy wracać z holowanym hummerem do bazy. Tym razem na szczęście skończyło się tylko na wypchnięciu. Jechaliśmy już dalej, kiedy drogą radiową dostaliśmy kolejny sygnał do postoju. Ponieważ w niektórych miejscach spodziewaliśmy się ajdików, część trasy musiała być dodatkowo sprawdzona przez nasze EOD (*Explosive Ordnance Disposal*). To była zawsze bardzo niebezpieczna robota. Na szczęście Greko – jeden z naszych operatorów – ogarnął temat, po czym przez radiostację wysłał informację, że wszystko w porządku, mogliśmy jechać dalej.



Holowanie hummera

Długa i ciężka noc dobiegała końca. Kierowcy i gunnerzy mieli przez cały czas najwięcej roboty. Maksymalna koncentracja i uwaga skierowana na zewnątrz po wielu godzinach naprawdę dawały się we znaki. Na szczęście mieliśmy zapas monsterów, które pomagały nam w słabszych momentach ponownie wejść na wysokie obroty.

Na miejsce dojechaliśmy o świcie. Październikowy ranek był bardzo rzeński. Rozstawiliśmy się na pozycjach, podzieliliśmy się między sobą ubezpieczeniem i wreszcie mogliśmy chwilę odpocząć. Wyciągnąłem moją rację żywnościową i powoli zacząłem jeść, wciąż trwając na wieżyczce pojazdu. W tym czasie chłopaki z rozpoznania wypuścili małego drona (zwiadowczy UAV), który skanował teren. Miał wiele zadań. Używaliśmy go między innymi podczas przejazdów – do sprawdzania wąskich gardeł między górami, trasy przejazdu czy okolicznych wiosek. To było naprawdę przydatne narzędzie.



Nawet przez celownik holograficzny widoki prezentowały się wspaniale

Okolica była niezwykle malownicza: rozległe pagórkowate tereny z wyrastającymi z ziemi pięknymi kilkusetmetrowymi skałami na tle błękitnego nieba. Robiło to niewiarygodne wrażenie. Śmialiśmy się, że to wprost idealne miejsca na przełajowe podróże samochodami lub motorami.

Około południa z nasłuchu dowiedzieliśmy się o aktywności przeciwnika w naszym rejonie. Z przechwyconej korespondencji między nimi wiedzieliśmy, że widzą nas i szykują się do ataku. Przed 14.00 zaczęli przemieszczać się z pobliskiej wioski na pozycje. Snajperzy i operatorzy znajdujący się na górze potwierdzili nam przez radiostację, że widzą, jak przygotowują stanowiska strzeleckie. Bojownicy jeszcze wtedy nie wiedzieli, że tak naprawdę to my szykujemy na nich atak. Nasza polsko-litewska grupa bojowa czekała ciągle na swoich pozycjach. Dostawaliśmy coraz więcej informacji o ich aktywności. Około 16.00 dowódca rozkazał sformować konwój. Kilkanaście samochodów powoli ruszyło pod górę, dokładnie w kierunku talibskich pozycji. Mój hummer jechał jako czwarty. Jeszcze wtedy nie

wiedziałem, że podczas wymiany ognia znajdę się dokładnie w tak zwanej strefie śmierci.



Litewski TF 77 na brytyjskich land roverach

Powoli zbliżaliśmy się do punktu zero. Słyszałem przez radiostację, że bojownicy zaczynają odmawiać modlitwę i głośno krzyczeć: *Allahu akbar, Allahu akbar*. To był sygnał, że za chwilę rozpoczną atak. Wyostrzyły się wszystkie moje zmysły, czułem, jak rozszerzają mi się źrenice. Minęło dosłownie kilkanaście sekund i w naszym kierunku poleciał grad pocisków z karabinów maszynowych oraz granatników RPG. Przez radiostację usłyszałem komendę: „Kontakt z prawej, kontakt z prawej”. Znalazłem się w samym centrum wymiany ognia. Zasłoniłem się tarczą obrotowej wieży i zacząłem ostrzeliwać granatami ich pozycje z mojego Mk 19. W słuchawkach usłyszałem, jak Naval podaje koordynaty, gdzie dokładnie mamy strzelać, ponieważ doskonale ukryte pozycje przeciwnika były dla nas praktycznie niewidoczne. Wymiana ognia ciągle trwała. Widziałem pociski uderzające w pancerz samochodu. Chłopaki z mojego hummera szybko wysiadli,

rozstawiły moździerz i zaczęły strzelać. Cały czas prowadziłem ogień, a moje 40-milimetrowe granaty płynnie szybowały w pozycje bojowników. Przez radiostację słyszałem, że chłopaki z teamu snajperskiego potwierdzają celność ostrzału.

Słońce zachodziło, a nad naszymi głowami przelatywały setki pocisków 12,7 mm z litewskich ciężkich karabinów maszynowych Manroy. To było niewiarygodne przeżycie – widzieć, jak kanonada artylerii dosłownie rozrywa skały na pozycjach bojowników. Słońce powoli zaczynało zachodzić, jednak wymiana ognia ciągle trwała. Teamy snajperskie strzelały do nich z góry, a my z dołu. Talibowie znaleźli się w ogniu krzyżowym naszego ostrzału. Najprawdopodobniej nie wiedzieli, co się dzieje. Jednak bojowników było naprawdę dużo, a prowadzony przez nich ogień celnie trafiał w nasze pozycje. Nasz JTAC (*Joint Terminal Attack Controller*) poprosił o wsparcie lotnictwa. Po kilku minutach nad naszymi głowami pojawiły się myśliwce. Czekałiśmy na zrzut. Było już prawie ciemno, kiedy z nieba poleciały pierwsze bomby. Od uderzeń półtonowych bomb skały dosłownie paliły się i osuwały jak po wybuchu wulkanu. Rozpętało się piekło. Bojownicy przestali strzelać, a część z nich zaczęła wycofywać się do pobliskiej wioski. Wtedy komandosi litewscy na swoich land roverach puścili się za nimi w pościg. Kontakt ogniowy zakończył się. Litwini złapali kilku bojowników w pobliskiej wiosce. Było już ciemno, kiedy powoli zaczęliśmy wracać na swoje pozycje, aby założyć obozowisko, czyli RON-a. Emocje jeszcze nie opadały, a zapowiadało się, że to nie koniec i noc będzie pełna adrenaliny.

Spodziewaliśmy się, że bojownicy wrócą, aby podjąć walkę. Około północy z gór do naszego nocnego RON-a zaczęły przychodzić chłopaki z grupy snajperskiej. Nie wiem, jak długo spałem tamtej nocy, ale emocje, jakie mi towarzyszyły po tak intensywnym kontakcie ogniowym, pamiętam do dzisiaj. Wymiana ognia na długim dystansie do zamaskowanych pozycji przeciwnika jest bardzo wymagająca, ale dzięki naszym chłopakom, którzy dawali nam koordynaty z góry, mogliśmy działać skutecznie.

Noc minęła bardzo szybko i przywitał nas kolejny bardzo rzeński afgański poranek. Operacja ciągle trwała. Naszym kolejnym zadaniem było sprawdzenie pozycji bojowników po nocnym ostrzale. Wróciliśmy w to samo miejsce. Wszyscy gunnerzy i kierowcy zostali na miejscu przy samochodach, a reszta poszła sprawdzić stanowiska strzeleckie po wczorajszym kontakcie ogniowym. Okazało się, że talibowie mieli doskonały wgląd w teren, a my byliśmy wystawieni dosłownie jak na tacy. Po bojownikach na stanowiskach strzeleckich pozostały tylko krew i łuski od amunicji. Kolejny raz okazało się, że doskonałe wyszkolenie, mądre procedury oraz zdecydowanie w działaniu przyniosło sukces. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że wkrótce czekają nas kolejne niespodzianki przygotowane przez bojowników.



Sprawdzenie pozycji bojowników po nocnej zasadzce

Z uzyskanych informacji wywiadowczych dowiedzieliśmy się, że w wiosce oddalonej o kilka kilometrów od naszych pozycji może być schowana spora ilość broni i materiałów wybuchowych. Dowódca podjął decyzję o sprawdzeniu tej informacji. Około godziny 14.00 zaczęliśmy formować konwój, którym mieliśmy jechać na nowe koordynaty. W tamtym czasie podczas przemieszczania się pokonywaliśmy odległości na przełaj lub wzdłuż drogi tak, aby zminimalizować ryzyko najechania na ajdika. Ze względu na ukształtowanie terenu nie zawsze to było jednak możliwe. Muszę przyznać że hummery, którymi podróżowaliśmy, dosłownie wspinały się po górach dzięki naszym świetnym kierowcom. Tym razem jednak musieliśmy wybrać drogę prowadzącą do wioski. Jechaliśmy w szyku kilkunastu pojazdów. Znajdowałem się w środku ugrupowania. Podczas jazdy nigdy nie wiedzieliśmy, czy jakiś samochód najedzie na minę, czy wyleci w powietrze od zdalnej detonacji, a jeśli tak, to który.



Konwój do wioski

Byliśmy już całkiem niedaleko wioski, kiedy *gunner* w pierwszym wozie bojowym zauważył niepokojący marker obok drogi. Z informacji wywiadowczych wiedzieliśmy, że bojownicy czasami zaznaczali kopcem zrobionym z kamieni miejsce zakopania ajdika, aby uchronić miejscową ludność od przypadkowego najechania na ładunek. Dlatego każdy *gunner* podczas patrolu, oprócz trzymania swojego sektora, wypatrywał markerów i miał oko na wszystko, co nie pasowało do otoczenia. Z radiostacji usłyszałem komendę: „Stój”. Wszystkie wozy się zatrzymały. Moje zmysły ponownie się wyostrzyły. Spodziewaliśmy się kolejnej zasadzki, jednak równie dobrze mógł być to fałszywy alarm. Dwóch najbardziej doświadczonych operatorów pirotechników wyszło z samochodów z wykrywaczami metalu i zaczęli przeszukiwać teren. Pozostała część chłopaków

w ubezpieczeniu 360 stopni czekała na rozwój sytuacji. Mogło wydarzyć się wszystko. Staliśmy w całkowicie odsłoniętym miejscu, niedaleko wioski, w której najprawdopodobniej znajdował się oddział talibów. Po kilkunastu minutach okazało się, że droga była zaminowana ładunkiem naciskowym. Mechanizm był bardzo prosty. Pierwszy samochód po najechaniu na niego zamknąłby swoim ciężarem obwód elektryczny i nastąpiłaby detonacja. Na szczęście chłopaki skutecznie rozbroili ładunek. Droga była wolna. Konwój ruszył w kierunku wioski. Jechaliśmy jeszcze kilka minut, zanim zajęliśmy pozycje blokujące wioskę. Szybka reorganizacja i część operatorów wraz z naszym rozpoznaniem i przewodnikiem z psem wyszukującym materiały wybuchowe wkroczyła do wioski. Niestety nic nie znaleźliśmy. Prawdopodobnie właśnie wtedy, gdy rozbajaliśmy ładunek na drodze, wszyscy bojownicy bezpiecznie uciekli z wioski, zabierając ze sobą broń i materiały wybuchowe.

Słońce powoli zachodziło, kiedy dowódca podjął decyzję o powrocie do bazy. Kolejny raz sformowaliśmy konwój. Tym razem mój hummer był na przedzie kolumny. Wracaliśmy tą samą drogą, a przed nami była perspektywa pokonania piekielnego wąwozu. Zmęczeni po wyczerpujących akcjach musieliśmy wykrzesać pokłady nowej energii, aby zmaksymalizować koncentrację i uwagę na zagrożeniu. Nie trzeba było długo czekać. Gdy tylko wjechaliśmy do wąwozu, zaczęło się. Tłumacz przekazał nam informację, że bojownicy widzą nas i szykują się do ataku. Ciągłe powtarzały się nawoływania: „Jadą, widzimy ich. Zbierać siły”. Dowódca podjął decyzję o wsparciuUCAV – bezzałogowym statkiem powietrznym (*unmanned combat air vehicle*), uzbrojonym, przeznaczonym do wykonywania działań bojowych. Operator drona ze swojego przytulnego i bezpiecznego biura gdzieś w USA nawigował maszyną i dawał precyzyjne informacje o bieżącej sytuacji, która stawała się coraz trudniejsza. Byliśmy na samym początku wąwozu, a teren wymuszał na nas bardzo wolną jazdę. Trzymaliśmy sektory w gotowości do odparcia ataku. Byłem zupełnie odkryty. Teraz talibowie mieli olbrzymią przewagę. Z góry widzieli nas doskonale, my natomiast nie mogliśmy zobaczyć nic. „Szykujemy się do ataku na pierwszy samochód” – usłyszeliśmy od tłumacza słowa bojowników. Adrenalina poszybowała. Nagle zmiana decyzji: „Atakujemy czwarte auto”. To był mój samochód. Wiedziałem, że teraz wszystko może się wydarzyć. Dodatkowo operator drona potwierdził obecność około 20 bojowników z granatnikami RPG i bronią maszynową. Powoli zbliżaliśmy się do punktu zero. Słyszeliśmy coraz głośniejsze komendy bojowników. Następowła ciągła zmiana wybranego do ataku samochodu. Atmosfera była naprawdę bojowa. Byliśmy w pełnej gotowości. Już tylko około stu metrów dzieliło pierwszy samochód od uzbrojonych bojowników. Czekałem na otwarcie ognia. Nagle zobaczyliśmy, że pierwszy hummer spokojnie przejechał pozycje bojowników, potem następny,

kolejny i wreszcie mój. „Co się stało? O co chodzi?”, pomyślałem. Bojownicy zamiast granatników RPG i karabinów maszynowych mieli grabie, widły i inne narzędzia gospodarcze. Czy w pośpiechu ukryli broń, jak to wiele razy bywało? Czy nasz operator drona pomylił grabie z karabinem maszynowym PK? Raczej skłaniałbym się ku pierwszej opcji, jednak odpowiedzi na to pytanie już nigdy nie poznam.



Pamiętkowe zdjęcie po operacji TF 49 i TF 77

To był naprawdę dramatyczny, pełen akcji i adrenaliny kilkudniowy rajd po terenach plemiennych kontrolowanych przez bojowników talibskich. Litewskie siły specjalne i my, TF 49, pokazaliśmy, jak możemy nawzajem się wspierać i działając razem, atakować przeciwnika. Bojownicy naprawdę wystraszyli się naszej agresywności oraz przewagi technologicznej połączonej z doświadczeniem bojowym. Mnóstwo nowych sytuacji, które dały nam do myślenia. Co sprawdziło się podczas akcji? Co było naszą mocną stroną, a co następnym razem musimy

zmienić, aby nasza skuteczność była jeszcze większa? Na te wszystkie pytania musieliśmy odpowiedzieć sobie zaraz po powrocie.



Zasadzka

maj 2010, Afganistan, baza Ghazni, około 2100 m n.p.m.

Od pewnego czasu dostajemy informacje o uwięzionych i przetrzymywanych w naszej prowincji zakładnikach. Analizujemy wszystkie dostarczane przekazy, ale niestety nie ma dostatecznej ilości konkretnych danych, aby ruszyć na ratunek tym ludziom.

Po południu oficer wywiadu przynosi gorącą wiadomość. Zakładnicy przetrzymywani są w wiosce około 40 kilometrów od bazy, prawdopodobna lokalizacja celu: kontener w pobliżu tak zwanego compoundu. Mamy współrzędne miejsca oraz informację od źródła osobowego. W celu potwierdzenia prosimy o wsparcie środków latających i dostajemy FlyEye – mały bezzałogowy statek powietrzny (UAV) wyposażony w głowicę obserwacyjną z optoelektroniką.

Compound to zabudowa mieszkalno-gospodarcza, otoczona wysokim murem, który w warunkach afgańskich czasem sięga nawet pięciu metrów. Wielokrotnie odczułem jego wysokość, pokonując go przy pomocy drabiny, w nocy, na noktowizji, zachowując pełną dyscyplinę światła i dźwięku. Kontener znajduje się we wskazanym miejscu, jednak wokół nie widać jakiegokolwiek aktywności. Za to w przyległej wiosce zaobserwowano grupę dziewięciu bojowników.



Typowy afgański *compound*

Dla operatorów GROM-u operacje zakładnicze (*hostage rescue*) są zawsze priorytetem, a życie zakładnika jest najcenniejsze. Dowódca TF 49 podejmuje decyzję: „Lecimy!”. Szybki briefing, spotkanie z pilotami, wymiana informacji, uszczegółowienie miejsca lądowania oraz podebrania i pod plandeką stara 266 przemieszczamy się na lądowisko. Mamy na pokładzie również oficera wywiadu, który leci z nami jako prowadzący źródło osobowe.

Po osiągnięciu rejonu działania lokalizujemy kontener. Ja i moja sekcja podchodzimy pod obiekt i wszelkimi możliwymi środkami sprawdzamy, czy nie jest zaminowany, a także ustalamy, czy z jego wnętrza dochodzą jakieś odgłosy. Niestety nic nie słychać i nie widać.

Ponieważ jest bardzo gorąco, a kontener jest szczelnie zamknięty, podejmujemy decyzję o jego otwarciu. Wszyscy są na zewnątrz do ubezpieczenia, a ja i jeszcze jeden operator zostajemy przy kontenerze i rozpoczynamy procedurę otwarcia. Nie jest to proste, ponieważ kontener zamknięty jest na grube kłódki, a nie wiadomo, jakie jeszcze niespodzianki przygotowali talibowie. Operator, ciężki, wyposażony jest w niezbędny sprzęt wyłomowy, a mianowicie nożyce, młot oraz hooligana. Ma też coś ekstra – ładunki osobiste, które każdy zabiera na akcję.

Forsujemy kłódki nożycami i otwieramy powoli drzwi. Wewnątrz brak jakichkolwiek ludzi. Są tylko ślady ich obecności.



Zaraz po przylocie

Przystępujemy do dokumentowania: robimy zdjęcia, zbieramy dowody. Dowódca podejmuje decyzję o przeszukaniu przyległego compoundu, jednak i tam brak wspomnianych zakładników. Dostajemy informację o nagłej zmianie pogody, musimy więc jak najszybciej się ewakuować z miejsca akcji. Śmigłowce cały czas latają nad naszymi głowami, przeczesując wioskę i wypatrując potencjalnego zagrożenia. Dowódca decyduje: wracamy.

Na tej wysokości pogoda potrafi zmieniać się bardzo szybko, a z komunikatów można wnioskować, że zaraz zostanie wprowadzony kod „Red”, czyli śmigłowce nie będą mogły latać. Na szczęście lądujemy w porę w bazie wraz z materiałami dowodowymi.

Wkrótce okaże się, że to dopiero początek naszego zmagania się z bardzo groźną grupą radykalnych talibów i ich przywódcą. Najlepsze jeszcze przed nami.

Jeszcze tej samej nocy bojownicy ostrzelali naszą bazę z improwizowanych rakiet kal. 105 mm. Wiele dekad wojen i konfliktów z różnymi przeciwnikami nauczyło ich radzenia sobie w każdych warunkach. Byli bardzo skuteczni. Potrafili ustawić pocisk na kilku kamieniach, po czym odpalić go, używając do tego między innymi lontu prochowego. Czas odpalenia regulowany był długością lontu, tak dobraną, aby bojownik mógł spokojnie się oddalić bez narażania się na niebezpieczeństwo. Rakieta w dokładnie wyliczonym czasie startowała w wyznaczonym kierunku, przelatując nawet od pięciu do dziewięciu kilometrów. Tej właśnie nocy kilka takich rakiet trafiło precyzyjnie w naszą bazę, niszcząc trzy kontenery mieszkalne oraz poważnie raniąc kilku żołnierzy.



Dolot do celu

Przed południem spływają informacje od oficera wywiadu o lokalizacji miejsca, w którym przetrzymywani są zakładnicy. Mamy dokładne współrzędne compoundu, który usytuowany jest w wiosce zamieszkaną w większości przez

ludność sprzyjającą bojownikom. Dane źródła osobowego są tak szczegółowe, że wystarczy tylko nanieść je na mapę, potwierdzić ze zdjęciami z drona (zwiadowczy UAV) i rozpocząć proces planowania.

Nasza robota wymaga od nas kreatywności, szybkiego podejmowania decyzji oraz precyzji i pewności siebie. Przez wiele lat szkoleń operator nabiera umiejętności radzenia sobie w każdych warunkach i dostosowania się do sytuacji, tak aby zadanie postawione przed nim było wykonane. Samo planowanie jest ujęte w pewne schematy, które przyspieszają nasze działanie. Każda akcja jest inna, ale standardy, procedury oraz doświadczenie pozwalają nam planować bardzo szybko i skutecznie w określonych limitach czasowych.



Drzwi do compoundu
po wysadzeniu ładunkiem indywidualnym

Dowódca TF 49 zarządza zbiórkę team leaderów oraz starszych operatorów. Zaczynamy planowanie w kilku wariantach. Opracowujemy schemat działania na obiekcie z podziałem na strefy odpowiedzialności. W tym samym czasie reszta operatorów przygotowuje się do działania. Teraz każdy dowódca sekcji referuje przed dowódcą szturmego swoją propozycję. Właśnie w tym momencie dostajemy informację od operatora drona, że zaczyna się dziwny ruch na obiekcie. Źródło osobowe potwierdza obecność zakładników: „Tak, są w compoundzie, ale przygotowani są do przewiezienia w następne miejsce. Porywacze czekają tylko na zapadnięcie zmroku”.

W takich sytuacjach nie można pozwolić na kolejną zmianę lokalizacji, ponieważ możemy bezpowrotnie stracić zakładników. Panują bardzo dobre warunki pogodowe, co na tej wysokości nie jest normą, a transport lotniczy z naszymi polskimi pilotami jest niezwykle cenny, między innymi dlatego, że TF 49 dysponuje niewielką liczbą śmigłowców na terenie bazy. Z kolei „request” po śmigłowce naszych koalicjantów oznacza kolejne godziny oczekiwania.



Powrót do bazy

Mamy oczywiście ulubionych pilotów, z którymi każdy lot jest niezwykłą przygodą, szczególnie w warunkach nocnych, kiedy przyziemienia są twarde, a piach i kurz po wylądowaniu zasłaniają wszystko. W takich sytuacjach musimy zaufać chłopakom w stu procentach.

Zabieramy z naszych „domków” broń, sprzęt i wyposażenie. Operator musi dbać o każdy detal przy swoim sprzęcie. Jest to istotny element przygotowań, dzięki któremu w każdych warunkach można szybko i bezbłędnie działać, na przykład prędko wymienić baterie w noktowizorze. Podczas wielogodzinnych operacji takie sytuacje zdarzają się często i trzeba się z tym liczyć. To samo dotyczy rozmieszczenia środków medycznych, np. stazy czy innego niezbędnego wyposażenia.

Podjeżdżamy na lądowisko, piloci dostają krótki briefing, dokąd lecą, jak długo mają być na obiekcie, kiedy i gdzie mają po nas przylecieć. Przy operacjach, w których odległości od bazy są duże, piloci wracają na tankowanie, aby następnie, po sygnale od dowódcy szturm, przylecieć w wyznaczone miejsce wsparcia lub podebrania. Ustalamy zawsze miejsca główne i zapasowe, co daje nam możliwość wyboru w zależności od sytuacji i rozwoju akcji. Zajmujemy wyznaczone miejsca w śmigłowcach i startujemy.

Pokonanie trasy zajmuje nam około 30 minut. Piękna pogoda i niezwykła przejrzystość powietrza pozwalają nam szczegółowo obserwować teren. Dolatujemy do wioski, podajemy w kolejności czas dolotu za pomocą radia, dublując sygnałami ręcznymi. Piloci podlatują w wyznaczony sektor do lądowania. Pierwsi ze śmigłowca wyskakują snajperzy i ubezpieczenie, którzy biegną do miejsca docelowego. W temperaturze 40 stopni na wysokości 1800 metrów n.p.m. oraz przy obciążeniu kilkunastoma kilogramami sprzętu bieg sprinterski na dystansie 400 metrów, na bezdechu, w pyłe i kurzu wznieconym przez łopaty naszych Mi-17, to nie lada wyzwanie.

Dobiegamy do drzwi bramy głównej, od razu decyzja: „Ładunek”. Otwieramy drzwi metodą wybuchową, następnie opanowujemy strefy odpowiedzialności. Szybki i zdecydowany szturm daje zawsze przewagę, dekoncentruje przeciwnika i pozwala na uzyskanie oczekiwanego efektu.

Okazuje się, że w pomieszczeniu nie ma zakładników. W tym samym momencie dostajemy informację od źródła osobowego, że są w innym miejscu. Szybka reorganizacja, wyznaczenie trasy dojścia i przemieszczamy się marszem ubezpieczonym do następnego compoundu, który jest w pobliżu.

Kolejny *compound* i znowu nic. Jednak źródło twierdzi, że zakładnicy nadal są w wiosce i że tym razem jest w stanie wskazać właściwe miejsce. Dowódca podejmuje decyzję, że szukamy dalej. Czas działa na naszą niekorzyść. Niedługo zapadnie zmrok. Dostajemy informację, że bojownicy nas obserwują i szykują się

do ataku. Jednak życie zakładników jest najważniejsze, idziemy więc we wskazane miejsce. W jednym z pomieszczeń, do którego wchodzimy razem z moją sekcją, zastajemy grupę starszych mężczyzn. Naszą uwagę przykuwa szczególnie jedna osoba: mężczyzna około sześćdziesiątki, dobrze ubrany jak na warunki afgańskie, czysty i schludny. Po opanowaniu pomieszczenia zabieramy wszystkich podejrzanych na krótkie rozpytanie przez oficera wywiadu. Moja sekcja dodatkowo wzmacnia ubezpieczenie, ponieważ informacje o naszej obecności w wiosce zataczają coraz szersze kręgi i ryzyko ataku rośnie z każdą chwilą.

Nie znajdujemy zakładników i dowódca operacji podejmuje decyzję o wezwaniu śmigłowców, które lądują już pod osłoną nocy. Wchodzimy na pokład. Zajmuję swoje miejsce przy kabinie pilotów, biorę łyk wody z camelbaka i łapię sektor przez otwarte drzwi. Wracamy do bazy. Jeszcze nie wiemy, jak ważną osobę udało nam się zatrzymać i jak wielki to będzie miało wpływ na nasze życie w ciągu kilku następnych dni.



Po wylądowaniu w pierwszych sekundach nic nie widać

Odbicie zakładników się nie powiodło, jednak tym razem, jak się później okazało, zatrzymaliśmy szczególnie groźnego terrorystę o pseudonimie Sędzia. Człowiek ten odpowiadał za śmierć wielu ludzi. Jego sława jako bezwzględnego zbrodniarza, słynącego z niezwykłego okrucieństwa, obiegła cały Afganistan. Tak więc akcja, mimo niepowodzenia związanego z brakiem zakładników na obiekcie, okazała się wielkim sukcesem TF 49.

Szybkość rozchodzenia się informacji wśród lokalnych bojowników była niewiarygodna, gdyż mieli oni bardzo rozbudowaną siatkę informatorów. Działali od wielu lat na znanym sobie terenie, potrafili doskonale zabezpieczyć się wywiadowczo, posługując się wszystkimi dostępnymi sposobami pozyskiwania informacji – od płatnych źródeł osobowych po zastraszonych i terroryzowanych policjantów oraz żołnierzy, a także personel w bazach sił koalicji.



Ubezpieczenie snajperskie z powietrza

Zatrzymanie Sędziego poruszyło ich struktury i za wszelką cenę dążyli do jego uwolnienia. Jeszcze tej samej nocy nasza baza została ostrzelana przez rakiety oraz moździerze. Na szczęście od pewnego czasu w bazie stacjonowały cztery amerykańskie Little Birdy (AH/MH-6J MELB Mission-Enhanced Little Bird) – jednosilnikowe lekkie śmigłowce wielozadaniowe wykorzystywane do eskorty, szybkich ataków i zwiadu. Te bardzo małe, ale niezwykle nowoczesnie wyposażone śmigłowce potrafiły bardzo skutecznie eliminować zagrożenie ze strony bojowników, gdyż były wyposażone w systemy optoelektronicznej obserwacji, naprowadzania ognia oraz wsparcia ogniowego. Ich załogi niezawodnie reagowały na każde zagrożenie. Śmigłowce te, dedykowane do wsparcia sił specjalnych, obsługiwał znakomicie wyszkolony personel (160th Special Operations Aviation Regiment „Night Stalkers”), który podejmował szybkie i trafne decyzje. Jeszcze tej nocy wystartowały z naszej bazy, aby skutecznie powstrzymać atak bojowników.

Jest 9.00 rano, temperatura powietrza przekracza 30 stopni Celsjusza, kurz i pył zmniejszają przejrzystość powietrza. Do naszego centrum dowodzenia przychodzi oficer wywiadu, dowódca Task Force 49 niezwłocznie zwołuje naradę. Część chłopaków w tym czasie ćwiczy na siłowni, biega lub czyści broń, przygotowując się do akcji. Swoją broń czyściłem niezwykle starannie, kierując się starym przysłowiem: „Jak dbasz, tak masz”, aby nigdy nie zawiodła mnie wtedy, kiedy będę jej potrzebował.

Po półgodzinie dostajemy informację, że wszyscy mamy zjawić się w sali odpraw. Operatorzy szybko zaczynają się schodzić, każdy tak jak stoi – ja w krótkich spodenkach, koszulce i kłapkach, bo w takim stroju czyściłem broń. Inni są częściowo ubrani w mundury lub cywilne ubrania.

W siłach specjalnych przykładamy niezwykłą wagę do wyszkolenia, umiejętności oraz współdziałania w zespole. Musztra oraz regulaminy są nam z zasady obce. Ze względu na niestandardowe zadania do naszej jednostki poszukujemy ludzi, którzy umieją myśleć *out of the box*. W planowaniu misji wykorzystuje się właśnie tę umiejętność, tak aby w czasie akcji przeciwnik był zaskoczony i zdezorientowany. Oczywiście mamy procedury, ale zawsze pozostaje tak zwany element ludzki, który ma niezwykle znaczenie w powodzeniu akcji.

Compound tuż po wybuchu



W trakcie tego nagle zwołanego briefingu na twarzy dowódcy malują się ogromne skupienie oraz powaga i choć znam go wiele lat i wiem, że jest człowiekiem niezwykle zrównoważonym i powściągliwym, widzę, że nie potrafi powstrzymać emocji. „Jest informacja, że za godzinę nastąpi egzekucja zakładników. Musimy za wszelką cenę to udaremnić, dlatego dowódcy i starsi operatorzy kończą planowanie operacji, aby możliwie najszybciej przemieścić się do wioski, w której znajduje się *compound* z zakładnikami”.

Tym razem dostajemy wsparcie w postaci naszych ciężkich śmigłowców bojowych Mi-24 oraz transportowych Mi-17. Temperatura powietrza wzrasta i przekracza już 38 stopni. Nie jest to dla nas dobra wiadomość, ponieważ oznacza, że będziemy musieli lecieć małymi grupami ze względu na udźwig śmigłowców. W tej temperaturze i na tej wysokości ich możliwości transportowe drastycznie spadają. Na pokładzie śmigłowca, którym lecę, jest tylko dziesięciu operatorów. Jestem w grupie uderzeniowej. Lecimy w formacji jako trzeci. Tuż przed lądowaniem nawigator pokazuje nam ręką, w którą stronę mamy biec. To niezwykle ważna informacja, ponieważ łopaty wirnika podnoszą z ziemi takie ilości pyłu, że w pierwszych sekundach po opuszczeniu śmigłowca nic nie widać i tylko wcześniejsza wskazówka od nawigatora pozwala przemieszczać się w odpowiednim kierunku. Dobiegamy do głównej bramy. Następuje wejście na ładunku i szybkie zalanie stref odpowiedzialności. W powietrzu mamy grupę ubezpieczającą na Mi-17, która wypatruje przeciwnika, dając nam wsparcie.



Podobranie i powrót do bazy

Dostajemy informację, aby wszystkie siły natychmiast przemieściły się o około półtora kilometra, do południowej części wioski, do samotnego compoundu położonego na jej skraju. Śmigłowce ze względu na wysokość i temperaturę nie mogą zabrać wszystkich operatorów w jednym rzucie, dlatego znów lecimy 10-osobowymi grupami. Moja sekcja dociera na miejsce jako jedna z pierwszych i dostaje zadanie ubezpieczenia zewnętrznego. Oznacza to, że ja i drugi operator zajmujemy pozycję na prawym rogu ściany compoundu. Pozostałe sekcje lądują i z marszu podchodzą do głównego punktu wejścia. Słyszymy przez radio informację: „Gotowość, gotowość”. W tym samym czasie wszystkie śmigłowce odlatują na krąg ubezpieczenia, tak aby w każdej chwili mogły nas podebrać lub wesprzeć ogniowo.

Nagle słyszę huk wydobywający się z wnętrza compoundu, a silna fala uderzeniowa prawie mnie przewraca. Kurz i pył zmieszane z oparami materiału wybuchowego mocno ograniczają widoczność. Po chwili słyszę przez radio: „Co się stało? Jak wygląda sytuacja? Ilu jest rannych? Czy są zabici?”.

Wiemy z doświadczenia, że w takiej sytuacji należy spodziewać się kolejnego wybuchu lub ataku ogniowego, dlatego dowódca szybko podejmuje decyzję o zajęciu pozycji do walki.

W tym czasie z compoundu wychodzą ranni operatorzy, a z nimi uratowany przez nich tłumacz Darek. Polsko brzmiące imię nie jest przypadkowe – zawsze nadawaliśmy takie imiona tłumaczom ze względu na bezpieczeństwo operacyjne oraz łatwość wymowy. Ten niezwykły chłopak pomagał nam podczas ostatnich kilku zmian, jak tylko potrafił. Bardzo się z nim zżyliśmy i traktowaliśmy go jak przyjaciela, na którym można było zawsze polegać. Miał niesamowitą intuicję do rozpoznawania bojowników, nigdy nie narzekał, był niezwykle odporny na trudy naszej pracy. Należy dodać, że bojownicy obchodzili się z porwanymi tłumaczami bardzo okrutnie. Zwykle za współpracę z wojskami koalicji karani byli ucięciem głowy. Na szczęście Darek w wyniku tego wybuchu został jedynie lekko ranny.

Po tej nagłej eksplozji bardzo szybko odzyskujemy pełną gotowość bojową i przygotowani do walki czekamy na pozycjach. W tym czasie *ground commander* zbiera meldunki od dowódców sekcji o stanie ich ludzi. Wszyscy żyją, mamy jednak kilku rannych, co osłabia nasz potencjał bojowy. Dowódca wzywa śmigłowce transportowe do ich podjęcia, a w tym czasie moja sekcja, gotowa do walki, wypatruje przeciwnika. Pierwsze śmigłowce lądują i zabierają rannych, którym na pokładzie udzielana jest pierwsza pomoc. Moja sekcja zostaje podjęta przez śmigłowce jako ostatnia i wracamy do bazy. Na tym etapie nie mamy jeszcze pełnej wiedzy na temat tego, co się wydarzyło.

Dopiero po wylądowaniu dowódca zbiera wszystkich w sali odpraw i omawiamy sytuację. Okazuje się, że grupa uderzeniowa weszła do bardzo starannie zaminowanego compoundu. Informacja źródła podawała lokalizację zakładników w namiocie na środku tego compoundu. Po dotarciu do namiotu i uchyleniu jego pół okazało się, że nikogo tam nie ma. Widać było tylko jakieś wystające kable. Natychmiast padło hasło do odwrotu. Kiedy operatorzy opuszczali strefę śmierci, kolejno wybuchały wszystkie improwizowane ładunki. Piloci, którzy zabezpieczali nas z powietrza, byli przekonani, że wylądują wyłącznie po to, by pozbić ciała chłopaków. Jednak kolejny raz procedury, wyszkolenie, niestandardowe myślenie, a także żołnierskie szczęście uchroniło nas od niewyobrażalnych strat w ludziach. Okazało się, że sytuacja się odwróciła i ze ścigających talibskich bojowników staliśmy się dla nich celem. Trzeba przyznać, że zasadzka była przygotowana bardzo profesjonalnie. Jednak już niebawem role znów się odwrócą i okaże się, jak skutecznym narzędziem do walki z terrorystami jest Task Force 49.



Pościg

lipiec 2010

Jest późny wieczór. W bazie w Ghazni panuje dziwny niepokój, jakby cisza przed burzą. Już od kilku dni talibowie nie ostrzeliwiają raketami 105 mm naszej bazy. Nagle jednak z głośników rozmieszczonych na jej terenie wydobywa się przeraźliwy dźwięk syreny. Zwykle wskazywał on na uderzenie rakiety w jakiś punkt w bazie. Jeszcze w tamtym okresie lekceważyłem każdy taki sygnał, choć wiedziałem, jak poważne skutki może nieść ze sobą nieprzestrzeganie zasady chowania się do schronu po ogłoszeniu sygnału. W tym nierozsądnym postępowaniu nie byłem sam. Chociaż w naszej bazie było wiele rozstawionych betonowych schronów, bardzo rzadko z nich korzystałem. Pamiętam Wielkanoc 2010 roku, niedługo po tym, jak przylecieliśmy z Polski. Wtedy pewien amerykański żołnierz, wracając ze stołówki do swojego kontenera, został trafiony odłamkami rakiety, która uderzyła w naszą kapliczkę. Mimo natychmiastowej pomocy zmarł w wyniku odniesionych ran. Kawałki bardzo ostrego metalu z rozerwanego kadłuba rakiety pocięły ciało tak skutecznie, że wnętrzości dosłownie wylewały się na ziemię. Z naszej kaplicy po wybuchu uratował się tylko drewniany krzyż.



Samobieżna armato-haubica Dana 152 mm w bazie w Ghazni

W odpowiedzi na atak z zewnątrz mieliśmy do dyspozycji kilka możliwości. Jedną z nich była samobieżna armato-haubica Dana. Ta potężna 152-milimetrowa armata potrafiła wystrzeliwać pociski odłamkowo-burzące nawet na odległość 18 kilometrów. Niestety podjęcie decyzji o odpowiedzi na atak nie było mocną stroną polskiego dowództwa. Mimo wszystko do naszego centrum dowodzenia przyszło szybkie zapytanie: „Co robić?”. Żołnierz wojsk specjalnych szkolony jest, aby walczyć i zwyciężać. Całe swoje życie spędza na morderczych treningach, by być zawsze gotowym do uderzenia. Szkolony jest również do natychmiastowego podejmowania decyzji, ponieważ w walce nie ma czasu na dywagowanie, czy oddać strzał teraz, czy może za chwilę. Brak szybkiej decyzji może narazić ciebie oraz twój zespół na śmiertelne niebezpieczeństwo. Dlatego dowódca TF 49 bez wahania zarekomendował dowódcy Polskiego Kontyngentu natychmiastową odpowiedź ogniową. Dodatkowym wzmocnieniem naszego bezpieczeństwa był wiszący kilkaset metrów nad naszymi głowami potężny balon, który pełnił funkcję „Wielkiego Brata”. Zainstalowana na nim optoelektronika, kamery i aparaty dzień-noćne pozwalały obserwować okolice bazy na odległość kilku kilometrów.

Zebraliśmy się w centrum dowodzenia, obserwując na wielkim monitorze bojowników talibskich przygotowujących się do kolejnego ostrzału – tym razem z moździerzy. Balon z niezwykłą precyzją śledził ich poczynania. Nagle potężny huk. Ziemia zadrżała i wszystkie przedmioty w pomieszczeniu zaczęły wibrować.

Czyżby kolejny atak? Na początku tak myśleliśmy, jednak okazało się, że to nasza Dana „zagrała” w odpowiedzi na ostrzał bojowników. Monitor pokazywał na żywo efekt ostrzału. Przez chwilę widać było wielki tuman kurzu, który nie pozwalał na identyfikację ostrzelanego celu. Nagle pojawiły się sylwetki bojowników – żyją! Ze zdziwieniem patrzyliśmy, jak uciekali z bronią w kierunku pobliskiej wioski.



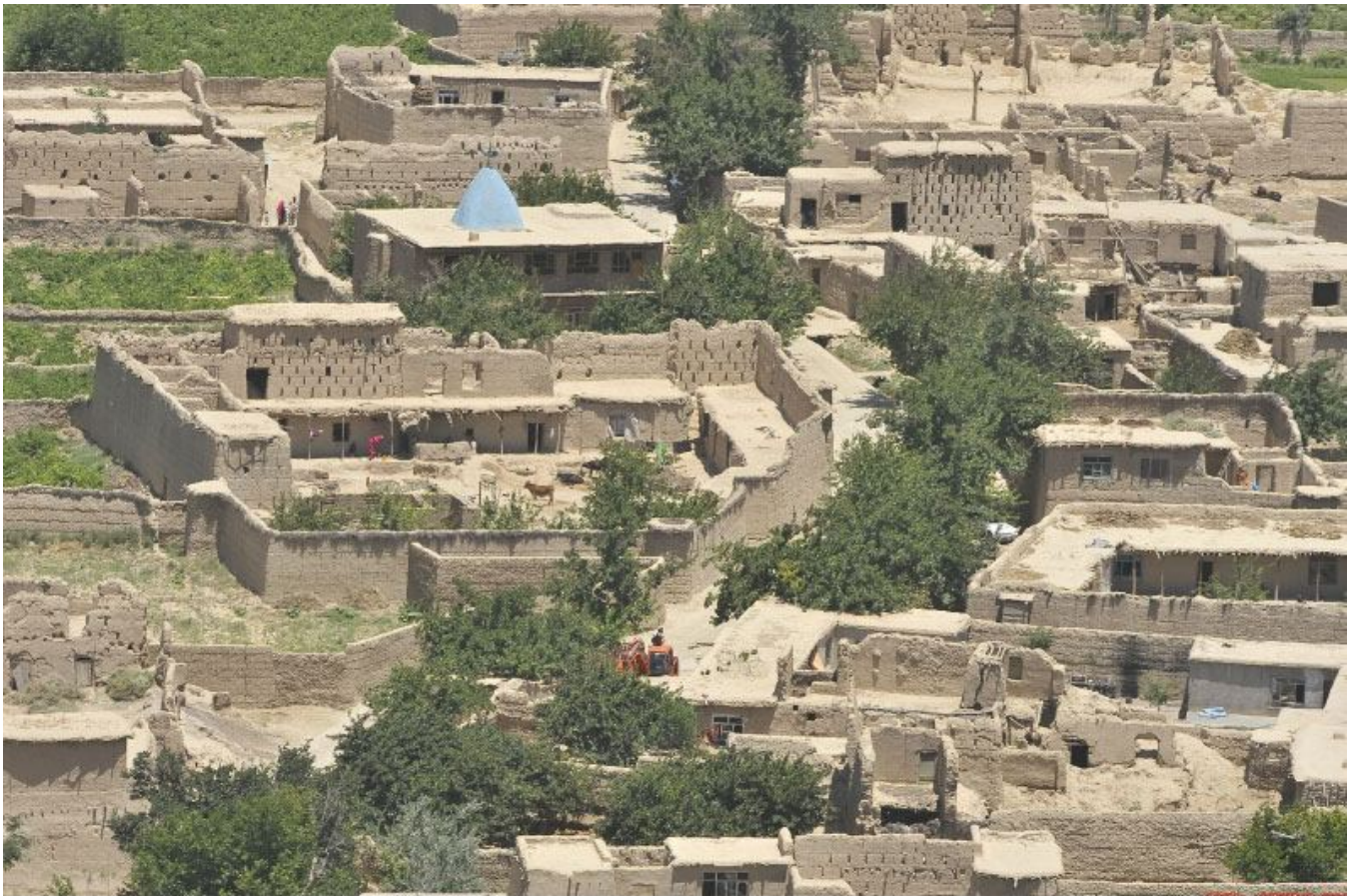
Opuszczenie pojazdów, dalej patrol pieszy

To był dopiero początek niezwyklej nocy. Jeszcze wiele miało się dzisiaj wydarzyć. Zagrożenie nie zostało zneutralizowane i zdeterminowani bojownicy mogli ponowić próbę ataku na żołnierzy w bazie. Dlatego nasz dowódca zarekomendował pościg za nimi.

Już wiedzieliśmy, że szykuje się nocna wyprawa. Tego dnia ogłoszono kod „Red”, czyli zawieszenie lotów śmigłowców ze względu na złe warunki pogodowe. Jediną opcją było przemieszczenie się w rejon pościgu naszymi hummerami lub rosomakami, które akurat były dostępne w bazie. Szybkie planowanie, skompletowanie sprzętu: broń, amunicja, ładunki wybuchowe, noktowizja, oczywiście woda i zapasowe baterie, które w tych warunkach wyczerpywały się

niezwykle szybko. Pod osłoną nocy przemieściliśmy się w rejon pozostawienia na pojazdach, a dalej już jako patrol pieszy.

Noc w Afganistanie potrafi być naprawdę ciemna, a rozrzedzone powietrze na wysokości ponad 2000 metrów nad poziomem morza daje się we znaki. Trzeba dużej wytrzymałości psychofizycznej, aby dać sobie radę w tych warunkach. Zawsze kiedy po wyjściu z samochodów zatrzymywaliśmy się w ubezpieczeniu okrężnym, podnosiłem gogle noktowizyjne, sprawdzając, jak ciemno jest wokół mnie. Upewniałem się z zadowoleniem, że jesteśmy niewidoczni dla potencjalnego przeciwnika. Często Afgańczycy nazywali nas duchami albo diabłami ze względu na nasz wygląd. W ciemnościach gogle noktowizyjne zamontowane na hełmach wyglądały jak rogi, a nasze sylwetki z bronią budziły w nich przerażenie.



Wioska, do której weszliśmy w nocy

Ruszyliśmy w kierunku miejsca ostrzału. Wolno, spokojnie, kryjąc wszystkie sektory. Nawigator prowadził nas do miejsca docelowego. Niestety, kiedy dotarliśmy na miejsce, odkryliśmy, że nie ma śladów po moździerzach. Nie było również dowodów aktywności przeciwnika. W tym momencie dowódca bojowy

ground commander dostał informację o przemieszczeniu się bojowników do jednego z *compoundów* w pobliskiej wiosce. Szybka reorganizacja. Wprowadziliśmy nowe współrzędne do GPS-a i patrolem ubezpieczonym przemieszczaliśmy się w kierunku celu.

Wioska afgańska to cud architektoniczny, zupełnie niespotykany w Europie, a może nawet na świecie. Totalna ciemność, wąskie nieutwardzone drogi pokryte spływającymi z zabudowań nieczystościami, pełno rowów, zagłębień i dziur, w które można z łatwością wpaść i złamać nogę. To wszystko spowalnia marsz, a dodatkowo zwiększa zagrożenie. Przemieszczaliśmy się bardzo blisko murów *compoundów*. Zewsząd czuć było smród ścieków połączonych ze zwierzęcymi odchodami. Było totalnie ciemno, ani śladu jakiegokolwiek aktywności. Zupełnie inaczej niż w Polsce, nawet nie było słychać szczekania psów. Do wyznaczonego obiektu było jeszcze daleko i z doświadczenia wiedzieliśmy, że w tym czasie przeciwnik może dobrze przygotować się na „powitanie” nas.

Niestety zaczęliśmy błądzić w labiryntach uliczek, pomiędzy wysokimi murami szczelnie zabudowanej wioski. Mijały kolejne minuty, a my nadal nie mogliśmy znaleźć celu. Sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Wreszcie dowódca poprosił o pomoc. Nad naszymi głowami latał amerykański myśliwiec, którego zadaniem było ubezpieczenie naszego patrolu, czyli stanowił ewentualne wsparcie ogniowe. Miał on również możliwość laserowego podświetlenia celu. To są właśnie momenty, w których technologia znacznie ułatwia nam pracę. Nagle z wysokości pięciu tysięcy metrów samolot bojowy wysłał strumień światła *infrared*, precyzyjnie wskazało ono bramę *compoundu*, w którym schowali się bojownicy. Muszę przyznać, że robiło to niesamowite wrażenie. Trochę jak w *Gwiezdnym wojnach*: możesz zobaczyć przez gogle swojego noktowizora strumień zielonego światła, które jak zorza polarna wskazuje dokładne miejsce, do którego powinienes zmierzać. Dzięki temu szybko dotarliśmy do celu.

Kiedy całość patrolu znalazła się pod bramą *compoundu*, Chińczyk wyciągnął *shotguna*. Kilkoma precyzyjnymi strzałami odstrzelił metalowe drzwi. Teraz przez główny punkt wejścia musieliśmy błyskawicznie zalać cały obiekt. Bardzo szybko zajęliśmy swoje strefy odpowiedzialności. Wewnątrz był duży budynek mieszkalny oraz kilka gospodarczych. Zadaniem mojej sekcji było sprawdzenie budynku gospodarczego. Niestety w środku oprócz kilku kóz i owiec nikogo nie znaleźliśmy. Chłopaki z sekcji Chińczyka weszli do domu. Po tylu akcjach bojowych łatwo było nam ocenić, kto jest do nas przychylnie nastawiony, a kto nie. W takich sytuacjach dodatkowo pomagali nam nasi afgańscy tłumacze, Darek i Tadek. Ich doświadczenie, umiejętność rozpoznawania i wychwytywania szczegółów wyglądu, mimiki i sposobu komunikacji były naprawdę nieocenione. Nieraz potrafili rozpoznać, czy osoby zatrzymane kłamią, czy mówią prawdę. Znali

również charakterystyczne ubrania talibskich żołnierzy oraz dowódców wyższego szczebla.

W międzyczasie dostaliśmy informację z podglądu optoelektronicznego, że gdy odstrzeliliśmy zamek bramy wejściowej, z compoundu uciekło paru bojowników. Kolejna szybka reorganizacja i kilku operatorów ruszyło za zbiegami. Niestety nie udało się ich złapać. W ciemności rozmyli się jak duchy. Cały czas mieliśmy nad głową F-16, który mógł ostrzelać uciekających bojowników. Poprosiliśmy o zrzućenie 250-kilogramowej bomby. W naszym teamie mieliśmy również JTAC-a. Wykorzystywaliśmy wielokrotnie na akcjach możliwości, jakie dawały nam uprawnienia tego specjalisty. Nie raz widziałem w akcji samolot myśliwski zrzucający bomby na cele przeciwnika. To potężna siła i wsparcie dla żołnierzy. Ponieważ bojownicy znajdowali się poza terenem wioski, w odkrytym polu, procedury pozwalały na użycie wsparcia lotnictwa. JTAC zdecydował o zrzućeniu bomby przez ubezpieczający nas myśliwiec.

Zostało pięć minut do zrzutu. Czekaliśmy sekcją na dachu compoundu. Nagle usłyszeliśmy z góry potężny świst, tak jakby meteoryt miał uderzyć w ziemię, po czym nastąpiło tępe huknięcie. Nie wiedzieliśmy, co się stało, dlaczego nie ma wybuchu. Za chwilę kolejny przerażający świst, a po nim znowu tępy huk. „Co się, kurwa, dzieje? Dlaczego bomby nie wybuchły?” – zadawaliśmy sobie pytania. Bojownicy uciekli i straciliśmy ich również z podglądu optoelektrycznego. Zdenerwowani nie mogliśmy uwierzyć w to, co się stało. Pierwszy raz w życiu widziałem coś takiego.



To tylko część z tego, co znaleźliśmy

Jednak teraz musieliśmy skupić się na obiekcie, w którym znaleźliśmy broń i wyposażenie bojowników. Krótkie rozpytanie taktyczne zatrzymanych. „Co robisz na obiekcie? Kiedy tu przyszedłeś? Gdzie są pozostali, którzy przyszedli z tobą? Jak tu trafiłeś?” – to podstawowe pytania, które zawsze zadaje się zatrzymanym. Podejrzani zaczęli kręcić, opowiadali, że to jest ich *compound*, że nie wiedzą, o czym mówimy, nie znają nikogo, o kogo pytamy, i nigdy ich nie widzieli. Słyszając odpowiedzi przesłuchiwanego, Darek wpadł w furję. *This is a fucking liar!* – powiedział. Dawno nie widziałem go tak wściekłego. Zatrzymani zaczęli krzyczeć: *Allahu akbar, Allahu akbar*. Z rozpytania taktycznego oraz badania biometrycznego siatkówki (dna oka) i linii papilarnych wywnioskowaliśmy, że mamy do czynienia z bojownikiem talibskim. Zatrzymaliśmy go wraz z jeszcze jednym podejrzanym. Koniec pracy na obiekcie.



Sekcja po akcji

Teraz musieliśmy przemieścić się do punktu podjęcia. Niestety ciągle obowiązywał kod „Red” i śmigłowce nie mogły po nas przylecieć. Musieliśmy udać się marszem ubezpieczonym do rejonu podebrania przez nasze hummery. Marsz z zatrzymanymi jest uciążliwy, ponieważ trzeba eskortować osoby, które są skute, a dodatkowo mają zawiązane oczy, co bardzo zmniejsza tempo, a przez to może ściągnąć niebezpieczeństwo. Kiedy podeszliśmy do punktu podebrania, samochody już na nas czekały. Zajęliśmy wyznaczone miejsca i pod osłoną nocy wracaliśmy do bazy. Powrót „na kołach” nie jest bezpieczny ze względu na olbrzymią liczbę ajdików zakopywanych na drogach. Czasami wielkość materiału wybuchowego przekraczała sto kilogramów. Przy wybuchu tak dużego ładunku pod samochodem załoga ma naprawdę niewielkie szanse na przeżycie. Niestety wielokrotnie byłem świadkiem, jak do naszej bazy przywozili chłopaków z patroli po ajdikach – z powybijanymi zębami, połamanymi, roztrzaskanymi kończynami,

a także potężnymi obrażeniami wewnętrznymi od ciśnienia, jakie powstaje po wybuchu. Jednak tym razem dotarliśmy bezpiecznie do bazy.



Takie właśnie niespodzianki od talibskich wojowników czekały na naszych żołnierzy

Podczas przesłuchania okazało się, że aresztowaliśmy bardzo groźnego talibskiego bojownika, odpowiedzialnego za kilka egzekucji oficerów policji oraz zamachy na żołnierzy koalicji. Drugi faktycznie okazał się właścicielem compoundu, w którym „gościliśmy” poprzedniej nocy. Nie zawsze akcje przynoszą spektakularne sukcesy i nie zawsze wszystkich udaje się złapać. Tej nocy bojownicy mieli wyjątkowe szczęście. Allah naprawdę im sprzyjał, a nasze EOD miało sporo pracy przy wydobywaniu dwóch ćwierćtonowych niewybuchów, które wbiły się w ziemię na głębokość kilku metrów.



Zakładnicy

wrzesień 2010

Tego dnia szykowaliśmy się do uroczystej ceremonii. W naszej bazie TF 49 w Ghazni mieszkało kilku SEALsów, z którymi współpracowaliśmy i wykonywaliśmy czasem operacje bojowe. Jednym z nich był Alan, podoficer w stopniu sierżanta pierwszej klasy. Wyglądał niezwykle młodo, jednak był bardzo doświadczonym żołnierzem z dwudziestoletnim stażem w siłach specjalnych. Wielokrotnie żartowaliśmy sobie, że adrenalina, która towarzyszy naszej pracy, jednych szybko postarza, a innych wręcz zamraża w ich młodym wyglądzie. Alan zdecydowanie należał do tej drugiej grupy. Tego dnia miał być mianowany na stopień sierżanta majora. W amerykańskich siłach specjalnych to niezwykle prestiżowy stopień. Nadawany jest najlepszym i najbardziej doświadczonym podoficerom. W moim życiu poznałem kilkunastu sierżantów majorów z amerykańskich sił specjalnych i każdy był niezwykle doświadczonym, pewnym siebie i swoich umiejętności profesjonalistą, a jednocześnie bardzo skromnym. Taki też był wspomniany komandos.

Legendarne Navy SEALs powstało w 1961 roku i od samego początku komandosi brali udział we wszystkich konfliktach zbrojnych, w które zaangażowane były Stany Zjednoczone. Już w Wietnamie nazywani byli przez miejscowych zielonymi diabłami od pomalowanych na zielono twarzy. Brali udział między innymi w operacjach w Panamie, Kuwejcie, Somalii, Afganistanie, Iraku czy tej najbardziej znanej operacji – Włóczy Neptuna, czyli zabiciu Osamy bin Ladena. To niezwykle organizacja z pięknymi tradycjami. Jedną z nich jest rytuał przejścia do korpusu sierżantów majorów. Alan doświadczył tego właśnie swoistego rytuału poprzedniej, piekielnie dla niego ciężkiej nocy. Zadania, które wykonywał, trwały aż do południa następnego dnia, kiedy to w końcu, po wielu godzinach ciężkiej próby, ubrany w czysty mundur, stanął przed nami i w obecności innego sierżanta majora został mianowany.

Jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, że za chwilę wydarzy się coś zupełnie nieoczekiwanego. Staliśmy na uroczystej zbiórce i w skupieniu oglądaliśmy ceremoniał. Nagle do naszego dowódcy przybiegł oficer wywiadu. Zwykle oznaczało to, że szykuje się robota. Ponieważ cała uroczystość odbywała się w naszej wewnętrznej, zamkniętej bazie, szybko rozeszliśmy się po swoich bichatach. Sprzęt i wyposażenie bojowe gotowe do użycia każdy z nas miał pod ręką.

Teraz nastąpiła weryfikacja informacji. Dowiedzieliśmy się, że inny task force sił specjalnych od dłuższego czasu wiedział o porwanych zakładnikach, śledził ich i przygotowywał się do operacji uwolnienia. Jednak teraz zrezygnował i nie podjął działania. Sytuacja była bardzo poważna – źródło osobowe twierdziło, że lada moment może nastąpić ich egzekucja. Zwykle zakładnicy poddawani byli dekapitacji, czyli obcięciu głowy. Bojownicy dodatkowo nagrywali egzekucje, aby rozsiewać strach i przerażenie wśród ludności Afganistanu. Mieliśmy niewiele czasu, ale ciągle pamiętaliśmy o niedawnej historii, kiedy zwabieni przez bojowników talibskich weszliśmy w bardzo dobrze zaplanowaną i przygotowaną zasadzkę i tylko dzięki naszemu wyszkoleniu, procedurom i żołnierskiemu szczęściu nikt nie zginął, jedynie kilku chłopaków zostało rannych. Akcje uwolnienia zakładników są zawsze priorytetem dla operatorów sił specjalnych. Szybkie procedury planowania, doskonałe wyszkolenie i umiejętność błyskawicznego podejmowania decyzji pozwalają maksymalnie przyspieszyć działanie i osiągnąć sukces. Decyzja zapadła – lecimy ratować życie zakładników!

Do tej akcji potrzebni byli najlepsi piloci. Dlaczego? Ponieważ trzeba było desantować sekcje bojowe maksymalnie blisko obiektu oraz być elastycznym na dynamicznie zachodzące podczas całej operacji zmiany. Wybraliśmy naszych ulubionych pilotów: Kamela i Glizdę. Wyróżniali się spośród innych tym, że potrafili nagiąć procedurę tak, aby zadanie zostało wykonane, i sprawdzali się w każdych warunkach. Swoją brawurą i charyzmą przypominali mi legendarnych polskich pilotów z Dywizjonu 303, o których wiele kiedyś czytałem. Idealnie wpisywali się w mentalność sił specjalnych. W takich sytuacjach czas jest najważniejszy, a transport lotniczy – najszybszy. Przejrzystość powietrza i temperatura dawały dużą szansę na powodzenie operacji.



Dolot do miejsca wykonania operacji uwolnienia zakładników

Zawsze przed wyjściem na robotę spotykaliśmy się całą sekcją przed bichatą, w której mieszkaliśmy, zwarci i gotowi do akcji. Pełne wyposażenie: broń, kamizelki taktyczne, noktowizory, hełmy. Stawaliśmy w okręgu, jak sportowcy przed meczem, kładliśmy po kolei swoje dłonie na dłoniach kolegów, tworząc stos rąk, i po okrzyku energicznie wypychaliśmy je w dół. Ten rytuał pozwalał nam nabrać niesamowitej energii przed akcją. Do dzisiaj pamiętam, jakiego kopa mi to dawało. Koncentracja, skupienie uwagi, pełna gotowość, orientacja na zewnątrz – połączenie tych wszystkich umiejętności ułatwiało mi wykonywanie wszystkich zadań.

Pod plandekami naszych starów przemieściliśmy się na lądowisko, aby zapakować się do śmigłowców Mi-17, które już czekały odpalone i gotowe do startu. Dlaczego pod plandekami starów? W bazie pracowało bardzo wielu lokalnych pracowników, do których mieliśmy ograniczone zaufanie. Mogli przekazać dalej informację, że śmigłowce z komandosami na pokładzie wylatują z bazy. Bezpieczeństwo operacyjne zawsze stawialiśmy na pierwszym miejscu, dlatego nawet moja rodzina nigdy nie wiedziała, co robię i gdzie jestem. Ciężko pracujesz, wykonujesz ekstremalnie trudne zadania, a jednocześnie nie możesz o tym nikomu powiedzieć – takie zasady obowiązują w siłach specjalnych.



Twarde lądowanie

Zajęliśmy miejsca na pokładzie śmigłowca. Wszyscy gotowi. Gestem (kciuk do góry) pokazaliśmy, że możemy startować. Łopaty wirnika zassały gorące powietrze, po czym maszyna uniosła się, przelatując nisko nad ogrodzeniem naszej bazy. Podczas lotu obserwowałem z rampy zmieniające się otoczenie; mijaliśmy kolejno wioski afgańskie i rozległe pola, aż w końcu nawigator podał czas dolotu – pięć minut. Wszyscy na pokładzie umówionym sygnałem przekazaliśmy sobie tę informację, po czym kolejne: cztery, trzy, dwie. Kiedy padła komenda: „Minuta”, wszyscy byliśmy w gotowości do wyjścia.

Po wylądowaniu przez chwilę zwykle nic nie widać przez tumany kurzu i piachu. Dlatego wcześniej podajemy kierunek przemieszczania się po opuszczeniu śmigłowca. Ciężkie opancerzone Mi-17 przyziemilo. Lądowania w takich warunkach są zwykle twarde, czyli z mocnym uderzeniem w ziemię. To duży obiekt latający, który jest łatwym celem dla granatników i broni maszynowej przeciwnika, dlatego trzeba błyskawicznie opuścić pokład maszyny. Wybiegłem

i przez pierwsze kilka metrów biegu nie widziałem nic, tylko brązowy piach i kurz, który wypełnił moje płuca. Biegłem szybko w wyznaczonym wcześniej kierunku. Za chwilę w marszu sformowaliśmy szyk ubezpieczony i całością grupy bojowej przemieszczaliśmy się w kierunku obiektu.



Kontener, w którym przetrzymywani byli zakładnicy

Szliśmy przez środek wioski w szyku ubezpieczonym, trzymając swoje sektory. Mijaliśmy kolejno charakterystyczne dla miejscowej zabudowy wysokie mury ogrodzeń compoundów. Z daleka zobaczyliśmy kontener – miejsce przetrzymywania zakładników, które wskazało źródło. Było bardzo ciepło. Nie wiedzieliśmy, czy zakładnicy są w środku, a jeśli tak, to w jakim mogą być stanie psychofizycznym i czy w ogóle jeszcze żyją. Z odległości około 80 metrów dostrzegłem niewielki otwór wycięty w górnym rogu kontenera. Zobaczyłem w nim twarz – ktoś tam był, wychylał się i próbował krzyczeć. Po radiostacji dałem

informację, że w środku znajduje się żywy człowiek. Podeszliśmy jeszcze kilkanaście metrów, po czym zatrzymaliśmy się. Teraz oficer wywiadu wraz ze źródłem osobowym nawiązali kontakt z człowiekiem w kontenerze. Dowiedzieliśmy się, że w środku przetrzymywane są trzy osoby. Nie wiedzieliśmy, czy kontener nie jest zaminowany i gotowy do wysadzenia. Podeszliśmy jeszcze bliżej i sprawdziliśmy, czy coś w jego otoczeniu nie wzbudza naszych podejrzeń. W takich sytuacjach szczególnie zwracamy uwagę na wystające kable, druty czy świeżo przekopaną ziemię, czyli wszystko, co nie pasuje do normy i mogłoby świadczyć o przygotowanej zasadzce. Nie znaleźliśmy nic podejrzanego i w związku z tym dowódca podjął decyzję o otwarciu kontenera. Był zamknięty na kłódkę, którą sforsowaliśmy bez problemu, i źródło osobowe szybko otworzyło drzwi kontenera. W środku rzeczywiście było trzech wyczerpanych, brudnych i przerażonych mężczyzn. Akcja ciągle trwała. Teraz zgodnie z procedurami musieliśmy ich zidentyfikować i przeszukać. Po przeszukaniu nożycami rozcięliśmy stalowe łańcuchy na ich rękach i nogach, którymi byli skuci przez wiele dni. Mimo wyczerpania i strachu na twarzach uratowanych pojawiły się uśmiech i wdzięczność.

To jeszcze nie był koniec akcji. Cały czas spodziewaliśmy się ataku bojowników. Przez radiostację wysłaliśmy informację do bazy o uwolnieniu zakładników. Teraz musieliśmy przedostać się do miejsca podjęcia. Uwolnieni na szczęście mogli się samodzielnie przemieszczać i nie trzeba było ich dźwigać. Podeszliśmy marszem ubezpieczonym i zajęliśmy lądowisko. W ubezpieczeniu okrężnym czekaliśmy na śmigłowce. Po chwili słychać już było łopaty wirników naszych Mi-17. Pierwszy pojawił się Kamel – na jego pokład weszli zakładnicy wraz z oficerem wywiadu, źródłem osobowym i szefem lokalnych służb specjalnych NDS. Wszyscy ubezpieczani przez kilku operatorów. Moja sekcja w tym czasie zabezpieczała lądowisko. Ewakuacja nastąpiła płynnie i pierwszy śmigłowiec odleciał do bazy.



Wejście na pokład i powrót do bazy

Teraz nasza kolej. Drugi śmigłowiec z Glizdą za sterami powoli podlatywał na nasze pozycje. Najbardziej niebezpieczny jest moment, w którym śmigłowiec znajduje się już na ziemi, a kurz i piach podniesiony przez łopaty wirnika zasłaniają całkowicie widoczność. Dlatego po przyziemieniu błyskawicznie zajęliśmy miejsca w środku. Po radiostacji pilot dostał informację, że jesteśmy wszyscy na pokładzie, a w odpowiedzi na to wychylił głowę zza kokpitu i szeroko się do nas uśmiechnął. Wracaliśmy do bazy.



Pamiętkowe zdjęcie po pomyślnym zakończeniu operacji odbicia zakładników

Na płycie lądowiska czekała na nas cała ekipa chłopaków – wszyscy, którzy brali udział w operacji. W takich akcjach zawsze część z nas pozostaje w QRF-ie (*Quick Reaction Force*). To grupa bojowa czekająca w pełnej gotowości na konieczność ewentualnego wsparcia. Wylądowaliśmy, pilot wyłączył silnik, a my wyszliśmy z maszyny. Okazało się, że uratowaliśmy, tuż przed egzekucją, pułkownika wojska afgańskiego, jego syna i wysokiego rangą oficera policji. Nigdy nie zapomnę twarzy tych ludzi, ich wdzięczności oraz wzruszenia, które towarzyszyło również mnie. Dla takich właśnie chwil warto zostać operatorem sił specjalnych. Długie lata morderczych szkoleń i wyrzeczeń, aby na końcu uratować czyjeś życie. Nasz Task Force 49 podczas swoich misji bojowych ocalił wiele istnień ludzkich. Takie było nasze przeznaczenie. I taka była moja droga.



Epilog

„Dobrym nie jest się przez przypadek”

Wojska specjalne to niezwykła organizacja. Żołnierze, którzy się do nich dostają, potrzebują czasu, aby zmienić swoją mentalność. Nie mogą już czekać na rozkazy, tak jak w konwencjonalnym wojsku. Nie mogą również bać się samodzielnego podejmowania decyzji. Tu istnieją pewne podobieństwa do działań operacyjnych wywiadu. Taką kulturę organizacyjną do Jednostki Wojskowej GROM wprowadził generał Sławomir Petelicki. W GROM-ie nazywaliśmy to „szukaniem sobie roboty” lub „dyscypliną zadaniową”. Kultura organizacyjna jednostek specjalnych na całym świecie jest bardzo podobna. Pożądane profile psychologiczne żołnierzy oraz funkcjonariuszy są bardzo zbliżone i sprawiają, że gdziekolwiek się znajdziesz, wszędzie jest taka sama atmosfera pracy, motywacja oraz determinacja do wykonywania swoich zadań.

W każdym z nas kryje się wojownik, musisz tylko chcieć go w sobie odnaleźć. Aby dostać się do wymarzonej jednostki specjalnej, pracy, szkoły, organizacji czy stworzyć własny biznes, musisz mieć w sobie optymizm i samodyscyplinę. Psychika optymisty połączona z samodyscypliną to najważniejsze cechy zwycięzców. Realizuj wytrwale małe cele, które doprowadzą cię do osiągnięcia właściwego, końcowego celu. Nie odkładaj nic na później, planuj działania i codziennie pracuj nad sobą. Jeśli na swojej drodze ciągle widzisz przeszkody i nie masz w sobie wiary, nigdy nie osiągniesz wymarzonego celu. Jeśli zaczynasz coś robić, musisz uwierzyć w to tak, jakbyś miał misję do wykonania, i robić to najlepiej, jak potrafisz.

O tym właśnie się przekonałem, służąc w wojskach specjalnych. Każdy z nas wykonywał swoją robotę najlepiej, jak umiał, i zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że w tak małym zespole specjalistów każdy z nas musi być na najwyższym poziomie. Kiedy stoisz jako „jedynek” do wejścia do budynku, a z informacji wywiadowczych wiesz, że w środku mogą być zamachowcy samobójcy, którzy tylko czekają na ciebie i twój zespół, nie możesz się zawahać. Wszyscy z zespołu

ufają ci i wiedzą, że podejmiesz właściwą decyzję, nawet jeśli zapłacisz za to najwyższą cenę. Nigdy przez cały okres mojej służby i setki akcji bojowych nie spotkałem się z sytuacją, aby którykolwiek z chłopaków zawahał się i odpuścił na jakimkolwiek odcinku swojego zadania. Nie przypominam sobie również podczas dwudziestodwuletniej służby w wojskach specjalnych, aby ktokolwiek z nas przedkładał sprawy osobiste ponad misję jednostki. Naszą misją było ratowanie ludzkiego życia. Jako żołnierze wojsk specjalnych reprezentowaliśmy nasz kraj.

Co zawsze było dla nas najważniejsze? Atmosfera pracy, dyscyplina zadaniowa, poczucie misji i satysfakcja z dobrze wykonanej roboty. Byliśmy niepokorni, nie potrafiliśmy pięknie maszerować, ale za to umieliśmy skutecznie walczyć, odnaleźć się i działać w sytuacji zagrożenia życia. Tak byliśmy szkoleni. Wszystkie treningi prowadzone były tak realnie, jak tylko to było możliwe. Tylko w ten sposób żołnierz, zawodnik i każdy, kto chce być profesjonalistą w swoim fachu, nabiera pewności siebie i swoich umiejętności.



To właśnie dla takich chwil warto zostać szturmowcem

Komandosi wojsk specjalnych czują, że mogą spełniać swoje marzenia, dlatego pokonują wiele trudności i wszelkie przeciwności losu, aby dostać się do swojej upragnionej jednostki. Nie mogą chwalić się tym nawet przed najbliższymi. Z pokorą znoszą trudy ciężkiej służby, aby w końcu ich nagrodą stało się ratowanie ludzkiego życia. Pamiętam, że na jednej z akcji bojowych w Afganistanie, po udanym szturmie, kiedy jeszcze kurz, zapach prochu i materiałów wybuchowych wisiały w powietrzu, świdrując nasze nozdrza, a śmigłowce bojowe krążyły nad naszymi głowami, powtarzaliśmy: „To właśnie dla takich chwil warto zostać szturmowcem”. Nigdy nie zapomnę wyrazu szczęścia na twarzach uratowanych przez nas zakładników.

Jeśli masz poczucie więzi ze swoją organizacją, która stoi za tobą w każdych warunkach, to nie wynagrodzenie i awanse pozwolą ci przetrwać bardzo długą rozłąkę ze swoją rodziną w czasie misji bojowych, poligonów czy podróży służbowych, ale to, że jesteś dla niej ważny i nie wypluje cię, jak przestaniesz być potrzebny. Organizacja to jednak przede wszystkim ludzie. Dla nas najważniejsza była więź między nami, to, że mogliśmy na sobie polegać, ufać sobie i tworzyć razem zgrany zespół specjalistów, który osiągał sukcesy.

Co to jest sukces? Można go opisać na wiele sposobów, a jednym z nich jest „wytrwała realizacja zamierzonego celu”. Jeśli wiesz dokładnie, co chcesz osiągnąć, i nad tym pracujesz, to jesteś człowiekiem sukcesu. Jeśli jednak na jakimś etapie zatrzymujesz się i przestajesz to robić – ponosisz porażkę. Nic nie może powstrzymać cię przed osiągnięciem wymarzonego celu, musisz być tylko zdeterminowany, pewny tego, co chcesz osiągnąć. Jak mawiał jeden z moich ulubionych mentorów: „Myśl, planuj, zrób to”.

Czasem jednak w dążeniu do wymarzonego celu możesz napotkać różne nieprzewidziane sytuacje, które wywołają w tobie stres i chwilowo cię spowolnią lub wręcz zatrzymają. Jak ja sobie z tym radzę? Lata przebytych treningów pod olbrzymim obciążeniem psychicznym i fizycznym spowodowały przesunięcie mojego progu wytrzymałości na stres. Tu przypomina mi się powiedzenie chłopaków z zespołu bojowego, do którego przyszedłem po kursie podstawowym w GROM-ie: „Selekcja ciągle trwa, pamiętaj o tym”. I okazało się to prawdą. Każdy dzień w GROM-ie był dla mnie selekcją, wszystkie treningi, kursy, misje i akcje bojowe stanowiły jej kontynuację. To olbrzymi stres, kiedy wiesz, jak wiele zależy od ciebie. Jeśli coś zawalisz, to w najlepszym wypadku będziesz ranny ty lub twoi koledzy. Jednak nie mogłem ciągle żyć w takim przeświadczeniu. Nie mogłem pozwolić, aby stres paraliżował moje działanie. Byłem pewny swoich umiejętności oraz umiejętności chłopaków, z którymi pracowałem.

Wyostrenie zmysłów jest naszą pierwotną umiejętnością. W dawnych czasach człowiek walczył niejednokrotnie z dzikimi zwierzętami o pożywienie lub

o przetrwanie. Potrafił wyczuć i przewidzieć niebezpieczeństwo. Dzisiaj również intuicja podpowiada ci, że może wydarzyć się coś nieprzewidzianego. Tylko czy potrafisz jej posłuchać i zaufać? Podczas akcji bojowych wchodziliśmy do obiektów, w których było realne niebezpieczeństwo. Wtedy wyczuwałem to wszystkimi zmysłami. Wiedziałem podświadomie, że zaraz coś się wydarzy. Ważne, abyś ty też o tym wiedział i potrafił to rozpoznać.

Na początku swojej drogi życiowej wielu z nas jest pełnych wiary, optymizmu i myśli, że świat stoi przed nami otworem. Jednak w miarę dorastania i wchodzenia w wiek dojrzały wspaniałych, pełnych entuzjazmu ludzi jest coraz mniej. Dlaczego tak się dzieje? Ponieważ postępujemy według pewnych wzorców przyjętych w społeczeństwie i związanych z kulturą, w której żyjemy. Idziemy przetartymi, sprawdzonymi ścieżkami. Aby tak się nie stało, to ty musisz zacząć kreować swoje życie, zmienić sposób myślenia. Ludzie odnoszący sukcesy wyznaczają sobie cele, a następnie je realizują. Tak jak kandydaci na selekcji do jednostek specjalnych muszą przejść morderczą próbę, aby w końcu dostać się do wymarzonej jednostki. Co by było, gdyby kapitan statku nie wiedział, dokąd płynie, nie znał celu podróży? Choćby miał najlepszą załogę, najprawdopodobniej rozbiłby się i nigdy nie dopłynął do portu. Tak właśnie dzieje się z ludźmi, którzy nie mają sprecyzowanego celu. Dryfują w nieznanie. Moim celem było zostanie żołnierzem sił specjalnych i podporządkowałem temu całe życie. Jeśli twoim marzeniem jest zostać naukowcem, lekarzem, prawnikiem, murarzem czy mechanikiem samochodowym i będziesz dążył do osiągnięcia tego celu, najprawdopodobniej ci się uda, a dzięki pasji, z jaką będziesz wykonywał swoją pracę, przewyciężysz wszystkie trudności, ból, zniechęcenie, rozczarowanie, rozterki. Warto mieć cele – i to nie tylko duże, życiowe; każdego dnia możemy tworzyć swoje małe plany i je realizować. Daje to ogromną satysfakcję i wzmocnienie poczucia sprawczości, sukcesu, wiary w siebie i swoje możliwości.

Podczas mojej wieloletniej służby doświadczyłem również tragicznych chwil. Straciłem licznych przyjaciół, którzy zginęli w różnych okolicznościach: podczas treningów bojowych, skacząc na spadochronie, rozerwanych od min pułapek, zastrzelonych w akcjach bojowych. Do dzisiaj pamiętam samoloty, do których wnoszone były ich trumny. W uszach słyszę muzykę żałobną graną na szkockich dudach. Łzy płynęły po mojej twarzy. To były bardzo trudne momenty dla mnie i moich przyjaciół, ale przede wszystkim dla ich rodzin. Te wszystkie tragiczne chwile już na zawsze zostaną w mojej pamięci. Jednak kiedy myślę o tych wszystkich wspaniałych chłopakach i dziewczynach, zawsze widzę ich uśmiechnięte, pełne optymizmu twarze.

Tylko pamiętaj: myślisz pozytywnie, więc osiągasz pozytywne efekty. Nie narzekaj na położenie geograficzne, pochodzenie, brak pieniędzy, nie obwiniaj

rodziców czy okoliczności za swoje niepowodzenia. Wszystko zależy wyłącznie od ciebie. Zastanów się, kim chcesz być, co chcesz robić. Nieważne, co to będzie – to ty wiesz najlepiej. Masz tylko jedno życie – nie poddawaj się, kreuj je, nie porzucaj swoich marzeń. Nie masz nic do stracenia, a wszystko do zyskania.

Cytując słowa Seneki: „Dobrym nie jest się przez przypadek”!

Specjalne podziękowania dla Dominiki Petelickiej za inspirację i pomoc przy napisaniu książki.